CHORZY Z NIENAWIŚCI
CO NAM MÓWI HEJT WOBEC ZBIGNIEWA ZIOBRY

URSULA VON DER LEYEN
– PANI NIEMIECKIEJ EUROPY. Z BERLINA WYSZŁA, BERLINOWI SŁUŻY

SIECI

STRACH PRZED UPADKIEM UKRAINY NAPĘDZA DYSKUSJĘ O WPROWADZENIU ZACHODNICH WOJSK

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
10 (588) 2024
4–10 marca 2024
CENA: 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

PREZES PiS JAROSŁAW KACZYŃSKI W SPECJALNYM WYWIADZIE:

ZOSTAJĘ WALCZYMY DALEJ

BO STAWKĄ JEST POLSKA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

NOWA TELEWIZJA W POLSCE PL

POLITYKA NA DESER

CODZIENNIE O 20:35

Wydarzenia dnia komentują dla Państwa znani i lubiani:

- **Dorota Łosiewicz**
- **Krzysztof Feusette**
- **Stanisław Janecki**

OGLĄDAJ NAS

polsat box (wcześniej Cyfrowy Polsat)	NA POZYCJI 196
NETIA	NA POZYCJI 192
orange	NA POZYCJI 32
vectra	NA POZYCJI 825
PLAY (dawniej UPC)	NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox, 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Sami sobie ich wyhodowali

Agnieszka Holland jest „szalenie rozczarowana” działaniami ekipy Donalda Tuska w sferze kultury. Konkretnie tym, że obecna władza opóźnia wdrożenie regulacji, dzięki którym twórcy mogliby dostawać tantiemy za filmy i seriale oglądane za pośrednictwem platform streamingowych. Ale problem jest znacznie szerszy – władza ewidentnie lekceważy swoich apologetów ze świata kultury, jednocześnie wiernych wyborców.

„Głosowaliśmy na nich z pewną nadzieją i zaufaniem. Teraz podaje się jakieś tajemnicze powody, więc rodzą się podejrzenia, jakieś spiski. To są niepotrzebne rzeczy. Komunikacja w tej sprawie jest fatalna. Nie można się kompletnie porozumieć w sposób otwarty z żadnym z decydentów” – roniła kulturalne łzy Agnieszka Holland w Radiu TOK FM. Twórcy bardzo zaufali Tuskowi i spółce, a zamiast przytulenia do piersi dostali kopa.

„Szczerze mówiąc, jestem smutna. Nie tego typu decyzji się spodziewałam. Są jakieś intrygi w tle, wzajemne oskarżenia. To głęboko nie w porządku. Przeraża ten brak transparentności. Liczyliśmy, że demokratyczna władza zacznie nas traktować jak partnerów, ludzi, którzy tworzą kulturę, a nie tylko jako petentów” – rozklejała się Holland.

Skąd ta niewdzięczność, skoro „większość środowiska głosowała na tę władzę z wielkim zaufaniem”. Z zaufaniem że co? Że ktokolwiek może się uważać za partnera władzy? Tylko po co, skoro władza dostała od środowisk kultury „za frajer” wszystko, czego chciała. A to, że twórcy wręcz się do tej nowej władzy ślinili jeszcze zanim zaczęła rządzić, upewniło polityków, że mogą ich kopnąć bez żadnych konsekwencji. I tak przyjdzie koza do woza. No i przyszła. Na razie po to, żeby się wypłakać.

Teraz biedni twórcy czują się wykorzystani. Nie sądzili, że nie będzie wdzięczności. Z jakiej choinki się urwali? Przecież Holland narzekała na to, że kultura „leżała” już w czasie rządów PO-PSL w latach 2007–2015. Teraz Koło Młodych Stowarzyszenia Filmowców Polski przygotowało list do ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza. I pytają podpułkownika, czy „nasz rząd oszukał”. Tak jakby ten rząd robił cokolwiek innego.

Twórcom chyba najbardziej doskwiera traktowanie ich przez obecnie rządzących jak użytecznych idiotów. Ale przecież sami się pchali do tej roli. Demonstrowali takie oddanie i przywiązanie, że było to rodzajem patologicznego uczucia. No to rządzący odpowiedzieli w ten sam patologiczny sposób, czyli symbolicznym daniem po buzi. Gdy ktoś bezwarunkowo kocha i demonstruje na każdym kroku to, to ludzie o skłonnościach przemocowych korzystają z okazji.

Twórcy sądzili, że niemiłosiernie się podlizując nowej władzy (wcześniej opozycji) i aportując na każde skinienie albo i bez niego, zostaną docenieni i nagrodzeni. Założenie godne kilkunastoletniej pensjonarki. Wszyscy zainteresowani, a przede wszystkim Holland, wiedzieli, że nie mają do czynienia z ludźmi kulturalnymi, tylko z barbarzyńcami, a wręcz kulturowymi troglodytami. Udawanie teraz dziewic jest po prostu groteskowe. Obecna władza nigdy nie była zainteresowana kulturą. Jeśli już, to wyłącznie ludźmi kultury jako narzędziem ideologii i władzy.

Agnieszka Holland dała wiele dowodów w swej twórczości, że rozumie, iż kultura i rewolucja kulturalna to sprawy odległe od siebie o lata świetlne. Donald Tusk z Bartłomiejem Sienkiewiczem nie troszczą się o kulturę, tylko robią polską wersję rewolucji kulturalnej. Wedle chińskiego oryginału z lat 60. XX w. Sienkiewicz zachowuje się jak żona Mao Jiang Qing, która była główną macherką rewolucji na polu kultury. A chodziło w niej o to, żeby nic nie było takie jak wcześniej. Niszczono całą tradycję („stare idee, kulturę, zwyczaje i obyczaje”), przestano wydawać „normalne” książki i robić „normalne” filmy (przez pięć lat nie powstała żadna fabuła). Niszczono muzea, zabytki, dzieła sztuki.

Rewolucja kulturalna niszczyła nie tylko kulturę, ale i edukację. Redukowano programy nauczania, ze szkół praktycznie zniknęła historia. Nauczyciele chcący się trzymać jakiegoś kanonu czy edukacyjnego minimum stali się podejrzani. Uczniów zachęcano do donosicielstwa, a nawet pozwalano im na szykanowanie i poniżanie nauczycieli. Przedmiotem edukacji przestała być wiedza. Celem stało się wychowanie jak największej liczby hunwejbinów, czyli młodych bojówkarzy, atakujących inteligencję jako warstwę społeczną i niszczących dorobek przeszłości.

Nie sposób uwierzyć, że ktoś taki jak Agnieszka Holland nie wie, że Sienkiewicz i spółka chcą robić rewolucję kulturalną, a nie dbać o kulturę. Rewolucja kulturalna ma wprawdzie w nazwie kulturę, ale nie ma z nią nic wspólnego. Chyba że chodzi o niszczenie kultury. I z tym niszczeniem mamy do czynienia od 13 grudnia 2023 r. Właśnie wtedy w polskiej kulturze skończyła się wolność. A troglodyci dlatego mają za nic wszelkie zasady, bo byli bezwarunkowo popierani przez takich twórców jak Agnieszka Holland.

Tacy twórcy jak pani Holland wyhodowali sobie tych troglodytów, obdarzając ich pełnym zaufaniem. Teraz mają więc rezultat. A to dopiero początek. Ciekawe, czy i kiedy Agnieszka Holland zrozumie, że tu nie chodzi o tantiemy z platform streamingowych, tylko o rewolucję, która przetoczy się przez polską kulturę i edukację niczym tsunami. I nie zostanie kamień na kamieniu.

Stanisław Janecki

Autopromocja

eprasa.pl 5f6f9c76fc

SIECI

spis treści

28 Ofiara czy sprawca?
Marek Pyza

34 Porażka króla Europy
Konrad Kołodziejski

60 Z Dariuszem „Maleo” Malejonkiem
rozmawia Goran Andrijanić

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 AGRONATURYŚCI
Krzysztof Feusette

9 ŻARŁO, ŻARŁO I ZDECHŁO
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 APEL TOWARZYSTWA PATRIOTYCZNEGO
Jan Pietrzak

12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

13 INTELIGENCI MOGĄ ODEJŚĆ
Bronisław Wildstein

14 WALIZKA MARKA AŁASZEWSKIEGO JR.
Michał Korsun

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 POLITYKA SPRZECZNOŚCI
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 *QUO VADIS*, PRAWICO?
Samuel Pereira

19 INWESTYCJA
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 Z JAROSŁAWEM KACZYŃSKIM
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

28 OFIARA CZY SPRAWCA?
Marek Pyza

32 KOMISJA DO SPRAW KOMISJI
Stanisław Janecki

34 PORAŻKA KRÓLA EUROPY
Konrad Kołodziejski

37 WIELKA DRAKA W RZĄDZĄCEJ KOALICJI
Dorota Łosiewicz

40 CHORZY Z NIENAWIŚCI
Maciej Walaszczyk

42 KTO NAKRĘCA KRYZYS ROLNY Z UKRAINĄ?
Jakub Augustyn Maciejewski

44 URATOWAŁ SZKOŁĘ PRZED LIKWIDACJĄ, TERAZ CHCE POSTAWIĆ MIASTO NA NOGI
Piotr Filipczyk

46 ORNAMENTATORZY NOWEJ WŁADZY
Małgorzata Wołczyk

ŚWIAT

49 CZY PROTESTY ROLNIKÓW DOPROWADZĄ DO POLITYCZNEJ REWOLUCJI W EUROPIE?
Marek Budzisz

52 STRACH PRZED UPADKIEM UKRAINY
Jan Rokita

55 PANI (NIEMIECKIEJ) EUROPY
Aleksandra Rybińska

58 DZIEJE MILIONA POCISKÓW
Dariusz Matuszak

OPINIE

60 Z DARIUSZEM „MALEO” MALEJONKIEM
rozmawia Goran Andrijanić

SIECI KULTURY

63 MATYLDA I STATUETKI
Jolanta Gajda-Zadworna

66 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

68 BŁOGOSŁAWIONE ZBURZENIE NINIWY
Robert Tekieli

69 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

70 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY
Maciej Walaszczyk

NATURA DLA LUDZI

72 GDZIE SIĘ SCHOWAŁY ŻURAWIE
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

74 MOJE SZLAKI: CHRISTOPHER NOLAN
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

76 WIATRY MARCOWE WIEJĄ
Leszek Długosz

78 BAL MARIONETEK
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 38/0224/F

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Narodowy Bank Polski informuje:

Dzięki dobrej polityce pieniężnej NBP inflacja szybko się obniża, zgodnie z prognozą NBP.

Roczna dynamika cen konsumpcyjnych w okresie luty 2023 r. – marzec 2024 r.

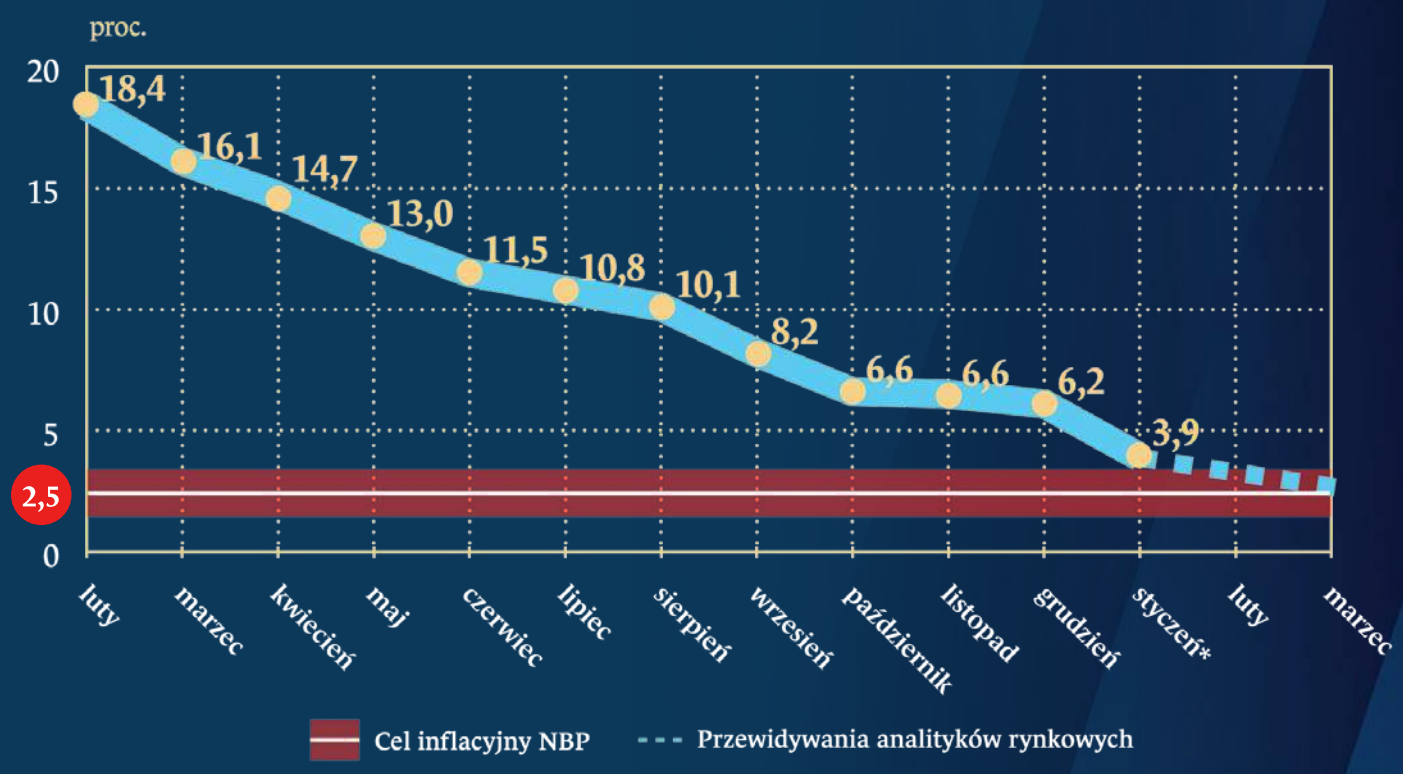

Źródło: dane GUS. | *wstępne dane GUS za styczeń 2024 r.

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

W styczniu inflacja wyniosła 3,9% r/r i jest już bardzo blisko celu inflacyjnego NBP, który wynosi 2,5% +/-1 pkt proc.

nbp.pl

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Sygnalista nadaje

Bartłomiej Sienkiewicz, minister kultury, chwali się działaniami w sprawie pałacu Saskiego. „Ponad rok poprzedni zarząd nie był w stanie zabezpieczyć zabytkowych piwnic i fundamentów. Wystarczyło zmienić zarząd i w dwa tygodnie zaczęło się już zabezpieczenie. Da się? Da się. Będziemy budować pałac Saski. Szybko". I dalej: „Nasza ostateczna odpowiedź, czy budujemy pałac Saski – tak. Szybko. Wystarczyły dwa tygodnie i zabezpieczyliśmy zabytkowe piwnice". Nie dziwimy się. W Polsce jest tylko jeden sensowny program rozwoju kraju – program PiS. Nie dziwmy się więc, że podkradają.

Prof. Piotr Gliński odpowiedział tak: „Nic nie przyspieszą, ponieważ wszystko było przygotowane przez poprzednią ekipę bardzo profesjonalnie, zgodnie z terminami". W sumie „pan Sienkiewicz troszeczkę robi z siebie klauna": „Wie pan, no, niepoważną osobę, mówiąc, że to on odbudowuje pałac Saski. Wszystkie decyzje były dwukrotnie podejmowane przez nasz obóz polityczny. Raz PO wszystko odwołała i zniszczyła. Teraz już nie mieli odwagi. I Bogu dzięki!". Tak, Bogu dzięki. Ale i widać, że lata rządów PiS coś jednak w Polsce zmieniły.

„Newsweek" zapytał ministra Sienkiewicza o przyszłość „schodów smoleńskich", co samo w sobie jest już próbą poniżenia ofiar i bliskich ofiar wielkiej katastrofy, w istocie tragedii narodowej. „Nie sądzę, żeby mogły stać w tym samym miejscu" – odpowiedział podpułkownik. Myśli nie rozwinął. Cóż, wolni Polacy będą bronili tego upamiętnienia. A strategia prowokowania i pacyfikowania szybko obróci się przeciwko jej autorom.

I jeszcze jeden cytat z Sienkiewicza: „Nie chciałbym, żeby to, co teraz robię, było traktowane jak akt mojej woli. Nie robię nic ponad to, co zapowiadał Donald Tusk przed wyborami. To cztery proste słowa: zwyciężymy, rozliczymy, zadośćuczynimy i pojednamy się". Program dobry i w końcu zostanie wdrożony. Winni grudniowego puczu odpowiedzą za podeptanie konstytucji i sprowadzenie Polski do poziomu republiki bananowej.

Szymon Hołownia nadal walczy z CPK. „Ja jestem sceptyczny. Ale jeżeli się będzie opłacało i będzie sens, jedźmy z tym i róbmy. Róbmy to lotnisko. Natomiast, no okej, dobra, a kto będzie z tego latał, jeżeli po pandemii wyszliśmy z takim kryzysem branży lotniczej, ona się teraz odradza. To będzie naprawdę tak, że ktoś w Australii budzi się z taką myślą: »Poleciałbym dziś do Baranowa, no«? A w Korei Południowej już ludzie mówią: »Chcemy pod Łódź polecieć, to zawsze było nasze marzenie«. Przecież to nie o to chodzi. Chodzi o to, żeby wiedzieć, czy będzie do tego siatka połączeń". On chyba naprawdę sądzi, że zna się na wszystkim.

Maciej Wilk, prezes Stowarzyszenia „Tak dla CPK", rozbił w puch argumentację Hołowni: „Oto stan branży lotniczej po kryzysie – w 2023 r. światowe przewozy pasażerskie wyniosły 94,1 proc. stanu z 2019 r., a w 4 kwartale 2023 r. już 98,2 proc. W tym roku branża osiągnie najwyższe wolumeny

Nowe władze Poczty Polskiej zdecydowały, że 1 marca br., czyli w Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych", nie wejdzie do emisji znaczek pocztowy z mjr. Hieronimem Dekutowskim „Zaporą". „Znaczek miał się ukazać 1 marca w nakładzie 120 tys. egz. Został wydrukowany" – poinformował na Facebooku rozgoryczony decyzją Poczty Jarosław Wróblewski, redaktor naczelny biuletynu Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL „Rakowiecka 37". Cóż, historie rodzinne znacznej części nowej władzy zobowiązują.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

przewozów w historii. Rynek polski zamknął 2023 r. z absolutnym rekordem przewozów na poziomie 52,4 mln pasażerów, względem 49,0 mln w 2019 r. (+6,9 proc.). Lotnisko Chopina ponownie zbliżyło się do limitu przepustowości i obsłużyło 18,5 mln pasażerów, jedynie 2 proc. poniżej stanu sprzed pandemii. PLL LOT ponownie przewiózł ponad 10 mln pasażerów, wypracowując przy tym historyczny zysk w wysokości ponad 1 mld zł". Hołownia szuka kija, ale tym, co wziął do ręki, nie da się CPK skutecznie uderzyć.

„Protesty rolników przelewają się przez kraj. W pełnych oburzenia głosach jak mantra przewija się Zielony Ład. Czym jest ten znienawidzony Zielony Ład? Jest to strategia walki z degradacją naszego otoczenia obejmująca wszystkie unijne kraje i dziedziny gospodarki, nie tylko rolnictwo" – zachwalała Zielony Ład z mównicy sejmowej Klaudia Jachira, posłanka KO. Jednocześnie uderzała w protestujących rolników: „Gdzie tu widzicie zagrożenia? Czy 20 lat hojnych unijnych dopłat dla polskiego rolnictwa nic już nie znaczy? Wystarczy mieć pole, a unijne pieniądze płyną". Tezy gładkie, ale puste. No i za nami dwie dekady doświadczeń. A one mówią jasno: UE nie daje nic za darmo. Zawsze wystawia wysoki rachunek. A tego, co weźmie, już nie odda.

Prof. Magdalena Środa poszła jeszcze dalej. „Zero solidarności z rolnikami. To bogata i bardzo roszczeniowa klasa społeczna. Mają ogromne dopłaty z Unii, ale gardzą nią, nie płacą podatków, ale gardzą rządem, nie pamiętają, kto zaniedbał ich interesy (PiS), ale walą w KO; nie mają żadnej wrażliwości na to, co się dzieje w Ukrainie: przedkładają swój interes ekonomiczny nad sprawy życia i śmierci naszych sąsiadów; współdziałają ramię w ramię z konfederatami i myśliwymi (trudno powiedzieć, co gorsze), są przeciwko wszelkim prawom, które humanizują stosunek do zwierząt, przeciw zielonej Europie (w ogólności ekologię mają w d...)". Dehumanizacja przeciwników godna lat 30. XX w. Czy pojawią się propozycje rozwiązań nawiązujące do tamtych czasów?

Adam Michnik uważa, że PiS to wirus, który „w pewnej konstelacji kulturowo-społecznej może od nowa nabrać powietrza i eksplodować". Jak twierdzi, tylko dzięki „buntowi" i „duchowi wolności" doszło w Polsce do zmiany władzy. „To nigdy nie jest koniec, dlatego że, jak pisał Albert Camus w »Dżumie«, ten wirus, bakcyl może się schować, ale on nie umiera, on zawsze istnieje. On jest schowany pod podłogą, w bieliźnie, w śmietnikach, ale on istnieje" – mówił w neoTVP. Pełna zgoda: to nie koniec polskiej historii, to nie koniec niepodległości. Bakcyl wolności żyje i powróci.

Michnik nie widzi możliwości osiągnięcia porozumienia ze Zjednoczoną Prawicą. „Jeżeli to oznacza jakieś porozumienie, nie wiem, z Macierewiczem czy Kaczyńskim, czy z tymi innymi, żeby tak było po połowie, prawda. Po połowie Bodnara, po połowie Ziobry. No nie, to takiego porozumienia oczywiście być nie może, ani pojednania. Jakiekolwiek porozumienie jest możliwe tylko wtedy, jeżeli się zgodnie uzna reguły demokratycznego państwa prawa. I tu trzeba przyznać, to jest zasadnicza różnica między Kaczyńskim i Jaruzelskim. Jaruzelski w 1989 r. powiedział – uznaję nowe reguły gry. Jako prezydent on je uznawał, a Duda nie uznaje". Ciekawe, czy redaktor naprawdę wierzy w te bzdury. Jeśli wierzy, to można tylko współczuć takiej degradacji.

Poseł Paweł Kowal w rozmowie z Interią odpowiedział na pytanie, co Polska może teraz uzyskać w sferze relacji polsko-ukraińskich. „A co jest do uzyskania? Obecnie nic nie da się uzyskać. Dogadać można się jedynie na ekshumacje i oznaczenie grobów [ofiar rzezi wołyńskiej – przyp. red.]. Jeżeli Ukraińcy uznają, że nie jest to dla nich ważna rzecz, trzeba poczekać, aż zmienią zdanie. Przecież nie będziemy działać na siłę. Jeżeli ktoś ma pomysł, żeby co drugą ulicę na Ukrainie nazwać arterią Romana Szuchewycza, niech to zrobi. To nie jest powód do najeżdżania Ukrainy, prawda?". No nie. Ale polską krew trzeba szanować, a celebrowania pamięci o zbrodniarzach zaakceptować nie można, nawet milcząco, nawet biernie. Ale PO będzie ustępowała. Oni psychicznie nie są w stanie znieść konfliktu z jakimkolwiek sąsiadem.

Prezydent ***Andrzej Duda*** wręczył odznaczenia autorom raportu o polskich stratach wojennych. Podziękował wszystkim zaangażowanym w przygotowanie tego cennego dokumentu. I podkreślił: „Nie da się przecenić wartości historycznej i politycznej dzieła, które państwo zrealizowaliście. Jestem wdzięczny nie tylko za tę żmudną pracę, którą trzeba było wykonać, lecz także za odwagę". I dalej: „Sprawa reparacji nie została załatwiona. I nie jest zamknięta, a od strony finansowanej jest co najmniej sporna. Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy. Nawet jeżeli tę sprawę próbuje się schować pod dywan i zakopać, bo jest niewygodna, to przyjdzie na nią czas". Przyjdzie. I znów wróci Polska, w której ambasador Niemiec jest tylko ambasadorem, a nie nieformalnym patronem układu rządzącego.

Fot. Andrzej Wiktor (3x), Julita Szawczyk (2x)

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Agronaturyści

Tusk: Poszli?
Kierwiński: Ale kto?
Tusk: Rolnicy! Czy wy w ogóle ogarniacie, jaka fala i czego konkretnie nas zalewa? Już was całkiem od tych spółek pokręciło? Wasi chłopcy mają być zwarci, rozwarci i gotowi. Czy muszę powtarzać, że kto ma policję, ten ma koalicję?
Kierwiński: Jasne jak słońce. Peru i polskie. Tak mi się zrymowało apolitycznie. A gdzie pan był?
Tusk: W Pradze.
Trzaskowski: Chyba „na Pradze"?
Tusk: Chyba nie. Wiem, gdzie byłem. A wam lepiej niech się nie rymuje, bo rym do „rymuje" znamy aż za dobrze. Czepiają się nas po wyborach o wszystko, a teraz jeszcze ci ciągnikami przyjechali? Czy po to wracałem? Proszę bardzo, głos zabierze kolega Budka...
Budka: Oczywiście, że nie. Nie po to. W sensie, że nie po to pan przewodniczący zwracał, przepraszam, zawracał... No i zapomniałem, co chciałem powiedzieć. Nie po to pan przewodniczący wracał... żeby... się użerać... z tą naszą nienormalnością, która...
Tusk: Wystarczy, bo zaraz źle zacytujecie. Czy jest ktoś z resortu rolnictwa?
Kołodziejczak: Obecny. Minister Siekierski prosił, żebym go zastąpił, bo akurat dzisiaj wieczorem obiecał rolnikom, to znaczy dzieciom, czy tam wnukom, że im baśnie z tysiąca nocy poczyta...
Tusk: Z tysiąca i jednej, głąbie.
Kołodziejczak: Z ust mi pan przewodniczący, prezes rady ministrów, premier wszystkich Polaków i wszystkich rolników, bo każdy rolnik to Polak, z wyjątkiem oczywiście zdrajców, to wyjął.
Tusk: Weźcie go, bo zaraz cały resort zlikwiduję. Pałkownik, to znaczy pułkownik Sienkiewicz może was postawić w stan likwidacji w każdej chwili. Ma takie wejścia w prokuraturze, że Cruella de Mon to przy nim mały dalmatyńczyk.
Trzaskowski: Nie chcę przerywać tej pasjonującej dyskusji, ale może by tak, chociaż przed wyborami, jakoś ten Zielony Ład, no nie wiem, złagodzić trochę?
Der Leyen: I tak już zawiesiliśmy przymusowe ugorowanie. Chcieliśmy, żeby każdy rolnik miał puścić 10 proc. ziemi na zmarnowanie, to znaczy przywracanie terenów dzikich. To byłby zresztą piękny pomnik naszych rządów w Europie. Niestety był opór, więc stanęło na 4 proc., a i tak musieliśmy to zawiesić. Oczywiście na czas ograniczony. Więc co pan jeszcze chce złagodzić, kolego Trzaskowski?
Hołownia: Właśnie. Piękne i mądre słowa. Jak będziemy w kółko zawieszać, to w międzyczasie planeta spłonie. Spłonę ja, spłonie pani Ursula i nawet ty spłoniesz, Rafale.
Trzaskowski: Być może. Ale najpierw mamy wybory prezydenckie i jeśli ktoś ma w nich spłonąć, to raczej ty. A nie kandydat wystawiony przez, nie waham się użyć tego słowa, przywódcę...

KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Przy jakiej „wódce"? Chyba przy wodzie sodowej, he, he! Do wyborów jeszcze szmat czasu, lepiej myśl, jak następnym razem rolników do stolicy nie wpuścić. Widziałeś, co mieli na transparentach?
Trzaskowski: Żeby Putin zrobił porządek?
Tusk: E tam. Jeden czubek, do tego nie wiadomo, czy nasi za nim nie stali. Ale te o mnie hasła? Po nazwisku? „Donald, matole?"?
Budka: To kibole też byli?
Kierwiński: Ty jak coś powiesz, to naprawdę...
Tusk: Jako „farmboje" się podpisali.
Kosiniak-Kamysz: Ciekawe. To by wskazywało na tropy amerykańskie.
Tusk: O, Władku! Dotarłeś? Jak sytuacja w armii?
Kosiniak-Kamysz: Bardzo dobrze. Powoli rozkręcamy akcję z telefonem zaufania dla żołnierzy.
Tusk: Słucham?
Kosiniak-Kamysz: No, żeby mogli dzwonić, gdyby mieli problem.
Tusk: I dzwonią?
Kosiniak-Kamysz: Dwóch. Pierwszy pytał, jak się gacie składa w kostkę, drugiemu nie odpowiada obsada resortu. Kompletny wariat.
Tusk: Doczytaliście już, co to jest „infrastruktura krytyczna"?
Budka: Oczywiście. Impra... struktura impry... to znaczy infry..., k...a, strasznie jestem zdenerwowany przez te aktywa państwowe, tylu ludzi trzeba zadowolić, tyle interesów zaspokoić, że człowiek się potem czuje jak ten przysłowiowy Hołdys. No więc bezkrytyczna infrastruktura jest infrastrukturą, która jest infrastrukturą krytyczną w takim sensie, że...
Tusk: Kosiniaka pytałem.
Kosiniak-Kamysz: Na terenie infrastruktury krytycznej nie wolno nagrywać i filmować.
Tusk: Tak jest, kapralu. Że pozwolę sobie na mały żart z koalicjanta.
Hołownia: Wy to w ogóle lubicie nas hejtować. Jakiś Mosrales brał od was kasę, a na nas pluł co najmniej w połowie tak jak na pisiorów.
Kierwiński: Nie łączcie z tym, kolego, pana przewodniczącego, bo to nie przystoi drugiej osobie w państwie. Kto płacił i komu, nigdy się nie dowiemy. Poczytajcie kolegę Lisa, że dla niego pan Sromales, to znaczy, przepraszam, ale jak się ten Koparka nazywał? No, w każdym razie dla Lisa jest autorytetem.
Hołownia: Ale dla Lisa nawet Michalikowa jest.
Tusk: Jama?
Hołownia: Nieładnie. Ale można tak powiedzieć.
Kierwiński: A kto to?
Hołownia: Biedaczka, która ogłosiła, że Ziobro wcale nie jest chory, a „jak umrze, to ona przeprosi".
Tusk: To może ją na tych rolników posłać i cała złość się skupi na niej? Ktoś ma do niej telefon?
Kierwiński: Teraz to już chyba każdy.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

WIEŻA BAB

Żarło, żarło i zdechło

Z najnowszego sondażu wynika, że Hołownia nie wszedłby do drugiej tury prezydenckiego wyścigu

Tak się stara, dwoi się i troi, zachęca do spożywania popcornu podczas obrad Sejmu, rzuca bon motami, upaja się własnym głosem i dowcipami, ale wszystko wskazuje na to, że wyborcy zmęczyli się show Szymona Hołowni.

Z najnowszego sondażu Ipsos dla Tok FM i OKO.press wynika, że Szymon Hołownia nie wszedłby do drugiej tury prezydenckiego wyścigu. Największe szanse na to mają Rafał Trzaskowski i Mateusz Morawiecki. Pracownia Ipsos zadała respondentom pytanie: „Na jakiego kandydata zagłosował(a)by Pan/i w pierwszej turze wyborów prezydenckich, jeśli lista byłaby następująca?". Najwięcej, bo 26 proc. ankietowanych, wskazało na Rafała Trzaskowskiego (KO). Tuż za nim uplasował się Mateusz Morawiecki (PiS) z wynikiem 25 proc. Trzeci jest Szymon Hołownia (Trzecia Droga) – chce na niego głosować 16 proc. badanych. Na Krzysztofa Bosaka z Konfederacji głos oddałoby 10 proc., na Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk z Nowej Lewicy – 4 proc., a na dziennikarza Krzysztofa Stanowskiego 3 proc. 7 proc. badanych zadeklarowało, że nie wie, czy weźmie udział w wyborach, a 9 proc. jeszcze nie zdecydowało, na kogo odda głos. 1 proc. odmówiło odpowiedzi na pytania sondażowni.

Marszałek Sejmu musi być mocno rozczarowany wynikami badania, bo do tej pory plan szedł po jego myśli. Lider Polski 2050 od początku opowiadał się przeciwko jednej liście partii opozycyjnych, twierdząc, że ten wariant nie zapewni opozycji zwycięstwa nad Zjednoczoną Prawicą. Przypominam sobie, że gdy ponad rok temu, w styczniu Hołownia złamał porozumienie liderów opozycji, głosując przeciwko nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym, co miało otworzyć Polsce drzwi do KPO, nie zostawiono na nim suchej nitki. Opozycja miała się wówczas wstrzymać od głosu, by nie blokować środków z KPO, jednak Polska 2050 zmieniła zdanie i zagłosowała przeciw. Od tamtej pory Hołownia stał się wrogiem numer jeden polityków opozycji oraz sprzyjających im mediów. Został okrzyknięty „grabarzem jednej listy" i uraczony wieloma mniej przyjaznymi epitetami. Ataki na Hołownię się nasiliły, gdy apelował, by odpuścić sobie czerwcowy marsz Tuska. Dziś już wiemy, że pomyje na głowę Hołowni wylewali także opłacani przez PO hejterzy w stylu Pablo Moralesa.

Tuż przed wyborami większość sondażowni sytuowała Trzecią Drogę pod progiem wyborczym. Opamiętanie w ówczesnym obozie opozycyjnym odnośnie do Trzeciej Drogi przyszło dopiero wtedy, gdy uświadomiono sobie, że KO nie jest w stanie pokonać PiS, a Trzecia Droga pod progiem zagwarantuje Zjednoczonej Prawicy samodzielną większość na trzecią kadencję. Wówczas pojawiły się apele, m.in. Aleksandra Kwaśniewskiego czy Leszka Balcerowicza, by głosować na Trzecią Drogę. W efekcie Hołownia wyszedł z tego starcia zwycięsko – na tyle, że w nowej koalicji mógł stawiać warunki.

I postawił. Niektórzy twierdzili, że Tusk zgodził się, by Hołownia został „marszałkiem rotacyjnym", by do czasu wyborów prezydenckich pozwolić mu się spalić i ośmieszyć. Inni zapewniali, że to był pomysł Hołowni, który od jego spełnienia uzależniał utworzenie koalicji, bo z fotela marszałka chciał sobie zrobić trampolinę do prezydentury. I lider Polski 2050 konsekwentnie realizował pomysł na siebie. Zdaje się, że to dość szybko przejadło się wyborcom, bo Hołownia stracił poparcie.

Gdy na początku grudnia pisałam tekst o strategii nowego marszałka Sejmu, Marek Jakubiak z Kukiz'15 przewidywał dokładnie taki scenariusz: „Będzie bolało. Ta popularność to słomiany ogień, a on szybko się spala" – mówił mi Jakubiak. „Jest cienka granica pomiędzy byciem fajnym i zabawnym a byciem śmiesznym. Szymon Hołownia powinien zatem uważać, żeby za bardzo nie skrócić dystansu" – tłumaczył zaś w rozmowie z „Super Expressem" medioznawca dr Sergiusz Trzeciak.

Na razie w sondażach Szymona Hołownię zestawia się z Rafałem Trzaskowskim, ale jest tajemnicą poliszynela, że na urząd prezydenta ma chrapkę Donald Tusk, bo tylko tego stanowiska brakuje mu w politycznym CV. Gdy w wyścigu gigantów staną naprzeciw siebie były (choć to oczywiście nie jest przesądzone) i urzędujący premier, karykaturalny Szymon Hołownia w ogóle może przestać się liczyć.

Dorota Łosiewicz

Izrael

Ciężar wojny

Izrael

Fot. ChameleonsEye/Shutterstock.com

Rosną ekonomiczne koszty wojny z Hamasem. W IV kwartale ub.r. gospodarka Izraela skurczyła się o 19,2 proc. Ma to bezpośredni związek zarówno z powołaniem do wojska 300 tys. rezerwistów, jak i z blokadą Strefy Gazy, która oznacza ubytek kilkudziesięciu tysięcy palestyńskich pracowników. Dużym obciążeniem jest również ewakuacja 120 tys. obywateli z regionów nadgranicznych.

Wojna spowodowała wzrost wydatków budżetowych, które w IV kwartale wzrosły o 88 proc. Izraelska gospodarka odnotowała w tym okresie spadki wszystkich podstawowych wskaźników makroekonomicznych – eksport zmniejszył się o 18 proc., import spadł o 42 proc., a konsumpcja wewnętrzna uległa redukcji o 27 proc. W skali całego roku izraelska gospodarka odnotowuje wprawdzie wzrost na poziomie 2 proc., jednak jest on znacznie mniejszy niż przedwojenne prognozy, zakładające przyrost PKB o 6,5 proc.

Agencje ratingowe zaczęły obniżać notowania izraelskiego długu w obawie przed kontynuacją wojny w Strefie Gazy oraz prawdopodobieństwem wybuchu nowego konfliktu – tym razem na granicy z Libanem. Jest to niekorzystne dla rządu Binjamina Netanjahu, który planuje wzrost długu publicznego o 60 mld dol., co ma bezpośredni związek z trwającą wojną. Będą temu towarzyszyć działania oszczędnościowe w rodzaju zamrożenia naboru i płac w administracji publicznej. Rząd planuje też podniesienie podatku VAT o 1 proc. oraz wzrost stawek innych obciążeń publicznych. Jest to niezbędne, bo wskutek wojny podwoiły się wydatki na siły zbrojne i zaczyna brakować środków na ich sfinansowanie.

Yali Rothenberg, główny księgowy izraelskiego ministerstwa finansów, powiedział dziennikowi „The Financial Times", że w związku z deeskalacją konfliktu możliwe jest zwolnienie 30–40 tys. poborowych do cywila. Stoi to jednak w sprzeczności z ostatnimi wypowiedziami premiera Netanjahu, który sugerował dalsze uderzenia sił izraelskich w Strefie Gazy, a także potrzebę utrzymania silnego kontyngentu wojskowego na jej terytorium po zakończeniu wojny.

Z finansowego punktu widzenia tego rodzaju scenariusz byłby poważnym ciosem dla izraelskiej gospodarki i jej perspektyw rozwojowych. Jeśli Izrael będzie musiał utrzymywać znaczące siły w Gazie, militarna wygrana z Hamasem może okazać się porażką na polu ekonomicznym.

Marek Budzisz

Dysydent z Frontexu

Były szef unijnej agencji Frontex Fabrice Leggeri wystartuje w czerwcowych wyborach do Parlamentu Europejskiego z poparciem Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen. „Możemy razem przywrócić Francuzom kontrolę nad swoją przyszłością. Nasz cel jest jasny: odzyskać kontrolę nad granicami Unii Europejskiej i Francji" – zapowiedział.

Francja

Fot. photoflipp066/Shutterstock.com

W nadchodzących wyborach europejskich francuska prawica ma szansę odnotować najwyższy wynik w historii. Sondaże dają Zjednoczeniu Narodowemu ok. 33 proc. poparcia, dzięki czemu ugrupowanie Marine Le Pen zdecydowanie wyprzedza partię Renaissance prezydenta Emmanuela Macrona, która może liczyć na zaledwie 14 proc. głosów. Nic więc dziwnego, że we Francji panuje przekonanie, że wybory do Parlamentu Europejskiego mogą doprowadzić do zmiany orientacji politycznej nie tylko we Francji, lecz także w całej Unii.

Fabrice Leggeri od 2015 r. przez siedem kolejnych lat kierował Europejską Agencją Straży Granicznej i Przybrzeżnej Frontex, jednak został zmuszony do rezygnacji. Zarzucano mu tuszowanie tzw. pushbacków, a więc akcji zawracania łodzi z imigrantami, które przeprowadzała grecka straż graniczna. Odpierając zarzuty, Leggeri argumentował, że za atakiem na niego stoi wpływowe lobby imigracyjne. Oskarżył także Komisję Europejską o kreowanie i systemowe wspieranie fali migracyjnej, która od wielu lat zalewa Unię.

Zjednoczenie Narodowe od pewnego czasu postuluje rozpisanie ogólnonarodowego referendum w sprawie polityki azylowej. Marine Le Pen już w 2021 r. proponowała wprowadzenie surowych kryteriów wjazdu na terytorium Francji oraz zaostrzenie reguł przyznawania francuskiego obywatelstwa i uzyskiwania świadczeń socjalnych.

Ostatnie ogólnonarodowe referendum we Francji odbyło się w 2005 r., a jego wynik był szokiem dla establishmentu. Francuzi sprzeciwili się wówczas ratyfikacji konstytucji europejskiej. Nic więc dziwnego, że jak dotąd nikt nie zaryzykował podobnego głosowania w sprawie imigracji. Jego rezultat byłby bowiem równie miażdżący dla liberalnej oligarchii.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Korea Południowa

Kasa ponad życie

Fot. Shutterstock

Po tym, jak rząd w Seulu ogłosił zwiększenie naboru studentów na kierunki lekarskie, południowokoreańscy lekarze rozpoczęli masowy strajk. Protestujący obawiają się, że większa liczba lekarzy zaostrzy konkurencję na rynku i doprowadzi do spadku ich zarobków.

W ciągu pierwszych czterech dni strajku wypowiedzenie złożyło 80 proc. lekarzy stażystów. Doprowadziło to do błyskawicznej zapaści w służbie zdrowia, ponieważ szpitale w Korei Południowej musiały nagle odwołać blisko 50 proc. zaplanowanych operacji. W odpowiedzi rząd ogłosił najwyższy poziom alertu w służbie zdrowia, co jest wydarzeniem bez precedensu – czerwonego alertu nie ogłoszono bowiem nawet podczas pandemii koronawirusa, która w Korei Płd. miała dość burzliwy przebieg. Jednocześnie władze zagroziły aresztowaniem strajkujących lekarzy i postawieniem im zarzutów narażenia życia pacjentów na niebezpieczeństwo.

Strajkujący zupełnie otwarcie przyznali, że przyczyną ich protestu jest obawa przed obniżką zarobków. Jak twierdzą, ich standard życia spadnie, jeśli w kraju – zgodnie z planami rządu – zostanie zwiększona liczba lekarzy i wzrośnie konkurencja na rynku.

Południowokoreańska służba zdrowia w większości opiera się na prywatnych placówkach lub indywidualnej praktyce medycznej. Leczenie pacjentów jest jednak opłacane z państwowego ubezpieczenia zdrowotnego. W tej chwili na 1 tys. mieszkańców Korei Południowej przypada statystycznie 2,6 lekarza, podczas gdy średnia w krajach rozwiniętych wynosi 3,7. Żeby temu zaradzić, zapowiedziano zwiększenie liczby studentów na kierunkach lekarskich. Rząd ma tu na uwadze zarówno niedobór medyków poza największymi metropoliami, jak i starzejące się w błyskawicznym tempie społeczeństwo, które wkrótce będzie wymagać znacznie większej liczby personelu medycznego. Rozpaczliwie brakuje także pediatrów, ponieważ nikt nie chce kształcić się w tej specjalizacji z powodu głębokiego kryzysu demograficznego i braku pacjentów wśród dzieci, co przekłada się na niższe dochody. Brutalna prawda jest bowiem taka, że dla przytłaczającej części lekarzy w Korei Południowej ważniejszy od niesienia pomocy stał się mocno nabity portfel.

„W żadnym kraju na świecie nie widziano, aby personel medyczny podejmował zbiorowe działania, pozostawiając pacjentów w stanie krytycznym lub w nagłych przypadkach" – powiedział wiceminister zdrowia Park Min-soo. I przypomniał, że prawo do protestu nie może mieć pierwszeństwa przed prawem człowieka do życia. Jak się jednak okazuje, południowokoreańscy lekarze są innego zdania.

Konrad Kołodziejski

Szwecja

Segregacja płciowa

Sztokholmem rządzi koalicja socjaldemokratów, zielonych i Partii Lewicy. Na każdym kroku lubi ona podkreślać, że opowiada się za równouprawnieniem płci oraz przeciwko dyskryminacji kobiet. Ostatnio municypalna władza podjęła jednak decyzję, którą trudno uznać za zgodną z deklarowanymi przez nią wartościami. Postanowiono mianowicie, że na 3 z 14 basenów miejskich zostanie wprowadzona segregacja płciowa. Inne są godziny otwarcia tych obiektów dla mężczyzn, a inne dla kobiet.

Decyzja ratusza wywołała debatę na temat wpływu społeczności muzułmańskiej na życie publiczne w kraju. Segregacja płciowa na basenach została bowiem odebrana przez wielu Szwedów jako ustępstwo wobec islamskiego prawa wyznaniowego – szariatu. Niektórzy komentatorzy zastanawiają się, czy następnym krokiem staną się oddzielne autobusy lub stoliki w kawiarniach dla kobiet i mężczyzn. Inni przypominają o coraz częstszych przypadkach seksualnego nękania dziewcząt na basenach przez chłopców z rodzin imigranckich.

Postanowienie stołecznych władz chwalą natomiast przedstawiciele islamu. Ich zdaniem koedukacyjne baseny sprawiają, że kobiety z rodzin muzułmańskich nie korzystają z kąpieli w takich miejscach, ponieważ zabrania im tego religia. Muzułmanki krępują się też chodzić przy obcych mężczyznach w strojach kąpielowych. Dla nich segregacja płciowa otwiera szansę na pływanie.

Tę samą argumentację powtarza rządząca Sztokholmem lewica. Według niej oddzielne godziny kąpieli tworzą bezpieczniejszą atmosferę, w której kobiety mogą czuć się swobodnie i dzielić nawzajem doświadczeniami. Aktywność fizyczna sprzyja ich zdrowiu, zaś umiejętność pływania może w przyszłości decydować o ocaleniu życia. Zdaniem miejskich władz jest to wystarczające uzasadnienie, by odejść od zasady równego traktowania kobiet i mężczyzn. Tak oto religia oparta na moralnym rygoryzmie powoli zmienia zasady funkcjonowania jednego z najbardziej liberalnych obyczajowo krajów na świecie.

Grzegorz Górny

Fot. Lasse Johansson/Shutterstock.com

eprasa.pl 5f6f9c76fc

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Apel Towarzystwa Patriotycznego

Jan Pietrzak

Szanowni rodacy, w sposób niemilitarny, lecz konsekwentny jest prowadzony atak przeciwko wszystkiemu, co nazywamy Polską. Trwa inwazja na kulturę, media, prawo, katedry, lasy, rzeki, infrastrukturę przemysłową, uprawy rolne... a także na rzeczywistość duchową, zawartą w zbiorowej pamięci.

W ostatnich dniach słyszeliśmy rolników, śpiewających podczas drogowego protestu „Rotę" Marii Konopnickiej, wykonaną po raz pierwszy z okazji odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie w 1910 r. „Orężny stanie hufiec nasz, duch będzie nam hetmanił!" Już po paru latach Polacy pod wodzą tego właśnie ducha na wielu frontach I wojny światowej i w wojnie z bolszewikami zwycięsko wykuwali granice II Rzeczypospolitej. To był ten sam duch, którego kilka pokoleń później skutecznie wezwał św. Jan Paweł II. Duch przyjął nazwę Solidarność i uwolnił Polskę z sowieckiego łagru. Gdyby nie on, bylibyśmy dziś w sytuacji Ukrainy, której szczerze życzymy niepodległości, niezależnie od konfliktu celnego, narzuconego nam przez wspólnych wrogów.

Inna strofa „Roty" głosi: „Do krwi ostatniej kropli z żył, bronić będziemy ducha". Znali te słowa żołnierze września, zdobywcy Monte Casino i żołnierze wyklęci. Polski duch, opiewany przez poetów, jest szczególnym splotem pamięci, wiary, miłości do ojczyzny. To on wytycza przyszłość, kształtuje teraźniejszość. Jest fundamentem narodowego istnienia. Sprawia, że my, żyjące pokolenia, jesteśmy odpowiedzialni za rząd fałszujący „podstawę programową" lekcji historii (odsyłam do przejmującego wykładu prof. Andrzeja Nowaka).

Nasi okupanci nie lubią polskiej historii, bo nie życzą sobie polskiego państwa. Tę wolę najdobitniej wyraził dotyczący powstania warszawskiego rozkaz Hitlera. „Każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców, Warszawa ma być zrównana z ziemią". Wiem, że *reductio ad Hitlerum* nie jest dobrze widziane w publicystyce, lecz redukcja historii Polski do steku podłych kłamstw nie może być akceptowana przez Polaków!

Towarzystwo Patriotyczne apeluje do rodaków o podejmowanie wszelkich możliwych działań, ograniczających antypolską „reformę" ministry edukacji, pani Nowackiej.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Jak ryczała krowa

Dominik Zdort

Wkurza mnie amnezja. A właściwie nie tyle amnezja, ile przemilczanie faktów z przeszłości. Nie mam nic przeciw nowemu prezydentowi Czech. Ma pełną demokratyczną legitymację, taką, jaką miał u nas Aleksander Kwaśniewski. Problem jest w życiorysach.

Otóż Kwaśniewski był „do końca" członkiem PZPR, partii wiernie służącej sowieckiemu imperium, i ministrem w komunistycznym rządzie, czego zapominać mu nie należy.

Zaś Pavel był oficerem Czechosłowackiej Armii Ludowej, służył w jednostce spadochronowej, a następnie w wywiadzie Układu Warszawskiego. W 1985 r. wstąpił do Komunistycznej Partii Czechosłowacji. W 1988 r. został odznaczony Medalem za Służbę Krajowi, jako oficer „świadomy swojego klasowego pochodzenia i dojrzały politycznie, pomagający promować przywództwo partyjne wśród podwładnych". To nie musi być zarzut, ale wspomnę: kroczył drogą swojego ojca, także komunisty i oficera wywiadu, zajmującego się inwigilacją NATO.

Jeszcze raz: wiem, że ludzie mogą się zmieniać. Choć w przypadku Kwaśniewskiego i Pavla widać raczej nie głęboką refleksję, ale raczej pęd do kariery. I znów: niechże sobie robią te kariery, bylebyśmy nie przemilczali ich haniebnej przeszłości. Kiedy czytam, jak znany brytyjski historyk Timothy Garton Ash nazywa Pavla „byłym generałem NATO", jest mi przykro, bo dla historycznej uczciwości należałoby napisać: „były oficer bloku sowieckiego, a następnie NATO".

Skądinąd to typowe dla Amerykanów, że – gdy toczy się gra o sukcesy militarne – zapominają o przeszłości ludzi gotowych im służyć. Pokazany ostatnio we wspaniałym filmie Robert Oppenheimer, z którego usług korzystały władze USA, miał poglądy komunistyczne, niewykluczone, że (nieostrożnie czy celowo?) przekazywał sowieckim agentom tajne informacje. Zaś naukowcy z III Rzeszy współtworzyli program kosmiczny USA. Hitlerowski gen. Adolf Heusinger (autor m.in. planów zajęcia Austrii i Czechosłowacji oraz agresji na Polskę i Francję) po porażce Niemiec też zmienił poglądy, był najpierw amerykańskim świadkiem podczas procesów w Norymberdze, potem współpracował z USA i chadeckim, antynazistowskim kanclerzem Konradem Adenauerem przy budowie Bundeswehry.

Dobro i zło się mieszają. Ludzie dla kariery bądź po prostu zachowania posad, są skłonni odwrócić się od swojej przeszłości. Wiem, tylko krowa nie zmienia poglądów. Ale jakby zmieniła, to warto pamiętać, jak ryczała wcześniej.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

BRONISŁAW WILDSTEIN

Inteligenci mogą odejść

Parlament Europejski to instytucja nie tylko niepotrzebna, ale i szkodliwa. Jej kompetencje są niejasne, a oddalenie od wyborców, którzy zwykle nie mają pojęcia, co ich „przedstawiciele" przy UE wyprawiają, powoduje, że funkcjonują oni poza kontrolą, a ponieważ konsekwencje ich działań wydają się niewielkie, oddają się ideologicznym harcom, nie przejmując się już zupełnie potrzebami mieszkańców Europy. Jednak nie tylko.

Ostatni skandal związany z przekupywaniem socjalistów przez Katar i Maroko pokazał, że mają oni wpływ na bardzo konkretne i finansowo policzalne sprawy. To w komisjach PE rozpoczynają swój bieg tysiące regulacji wypracowanych przez armię lobbystów oplatających go i zasilających w ten czy inny sposób fundusze ugrupowań oraz prywatnych kont posłów. Pod hasłami dbałości o środowisko, nasze bezpieczeństwo czy konkurencyjną przejrzystość (tak, tak) wypracowane zostają i obowiązywać zaczynają najdziwniejsze zarządzenia. Ich bliższa analiza wykazuje, że sprzyjają najpotężniejszym firmom i blokują ich konkurentów. Ponieważ większość parlamentarna pochodzi z tych samych orientacji, to również w Brukseli przygotowywane są rozwiązania, które zmieniają praktykę i zasady funkcjonowania UE.

Skoro już się w niej męczymy, to musimy obserwować funkcjonowanie PE i starać się na nie wpływać. Czy delegacja PiS, która w roli bezwzględnie zwalczanej opozycji miała sytuację utrudnioną, wykorzystała ostatnie dwie kadencje? Można mieć wątpliwości. Czy ostatnie zmiany, które przeprowadził w niej Jarosław Kaczyński poprawią ten stan rzeczy? Można odnieść wrażenie, że wręcz przeciwnie.

Decyzje Jarosława Kaczyńskiego pozbawiają polską delegację niekwestionowanych i sprawdzonych ludzkich aktywów. Pierwsza to odwołanie przewodniczącego polskiej delegacji, prof. Ryszarda Legutki. To jeden z najwybitniejszych polskich żyjących filozofów, który stał się już marką na świecie. Oto jak zaczyna omówienie jego angielskiej książki „The Cunning of Freedom" jeden z bardziej uznanych myślicieli konserwatywnych, Yoram Hazony: „Zapomnijcie Rawlsa, Nozicka i Dworkina. Musicie czytać Legutkę".

Polski filozof to oczywiście „bête noire" postępowych środowisk, ale jednocześnie stanowi punkt odniesienia. Jego wystąpienia na forum PE są powszechnie znane. Nie chodzi tylko o merytoryczną krytykę, lecz także o ironię, aforystyczne punktowanie sprzeczności dominującej dziś ideologii. Dzięki szerokości perspektyw Legutko potrafił wypowiadać się kompetentnie w rozmaitych dziedzinach, a nawet jego najzajadlejsi krytycy nie mogli odmówić mu intelektualnej klasy.

Jeśli lider PiS uznał, że przewodniczący delegacji polskiej był za mało dynamiczny, to wystarczyło wspomóc go aktywnym zastępcą, a nie rezygnować z osoby, która w UE stanowiła intelektualny wzorzec. Co więcej, sposób, w jaki zostało to przeprowadzone, pozostawiał wiele do życzenia.

Kolejnym wyborem Kaczyńskiego, który może zdumiewać, jest doprowadzenie do rezygnacji z kandydowania do europarlamentu prof. Zdzisława Krasnodębskiego. To wybitny, również znany na świecie filozof i socjolog. Na pewno jeden z bardziej aktywnych polskich posłów. Przez ostatnie kadencje nawoływał do intensyfikowania naszych wysiłków dyplomatycznych, a sam mógł być w tej mierze wzorem zarówno z powodu doskonałej znajomości języków oraz polityki zachodniej, jak osobistych kontaktów i zaangażowania. Za swoje wysiłki i niezwykle intensywną pracę został nagrodzony... degradacją na liście wyborczej PiS. Co, jak można się było spodziewać, spowodowało jego rezygnację.

Apel Kaczyńskiego o intensyfikację pracy w PE jest ze wszech miar słuszny. Zdumiewa natomiast, że ludzie, którzy stanowili model do naśladowania jak Krasnodębski czy intelektualny autorytet jak Legutko, padają ofiarą strategii, której winni być liderami. Problemem delegacji PiS w Brukseli była spora liczba posłów, którzy traktowali swoje stanowiska nie jako pracę, ale jako synekurę. Okazuje się, że im akurat nic nie zagraża.

Legutko i Krasnodębski to zgodnie ze współczesną nomenklaturą intelektualiści i to tacy, którzy mogą stanowić dumę każdego gremium, które zechcą reprezentować. To jednak przede wszystkim inteligenci, czyli przedstawiciele specyficznej dla Europy Środkowo-Wschodniej formacji, która brała na siebie odpowiedzialność za losy pozbawionej głosu wspólnoty. Słyszymy, że w związku z odzyskaniem niepodległości grupa ta straciła rację bytu i obserwujemy zanik etosu, który ją konstytuował. Tymczasem ofensywa ideologii uderzającej we wszelkie także narodowe tożsamości i postępującej za nią europejskiej polityki, która przekuwa ją w nihilistyczne normy prawne, każe zrobić wszystko, aby próbować go odbudować. A z pewnością nie pozbywać się jego wybitnych reprezentantów, którzy potrafią nadać mu atrakcyjność w uniwersalnym wymiarze.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Walizka Marka Ałaszewskiego Jr.,

projektanta wzornictwa, malarza, basisty zespołu Klan

Od wczesnego dzieciństwa były góry i morze. Zaiks w Zakopanem, Gorce, Karwia i Ostrowo nad Bałtykiem. Tam bywałem najczęściej. Poważniejsze podróże zaczęły się na studiach. Zdecydowanie wolę tereny niedostępne dla kółek walizki. Dlatego wybieram plecak. Zawsze wiedziałem, co na pewno będę robił. Było to malarstwo i muzyka. Dwie wielkie pasje, które zaszczepił we mnie mój Ojciec. Ta podróż trwa do dzisiaj, przeplatana koniecznością wykonywania zawodu, który także uprawiam z przyjemnością.

OBRAZY TATY

Od dzieciństwa byłem przesiąknięty malarstwem. Obrazy Ojca, Marka Ałaszewskiego, były w całym domu. Wychowałem się przy zapachu farb olejnych.

SZTANGA

Noszę ją w plecaku od wczesnego liceum, mimo niedogodności w środkach transportu publicznego. Czasem jest lżejsza, czasem cięższa, ale zawsze pilnuję tego, żeby dała się oderwać od ziemi.

KUBEK Z MAŁYSZEM

Kiedyś wypełniany bawarką, teraz głównie kawą rozpuszczalną. Oglądałem skoki narciarskie jeszcze przed erą Małysza. Z Wielkiej Krokwi zjeżdżałem na sankach. Kubek zakosiłem z mieszkania w centrum Warszawy, wynajmowanego na pracownię projektową.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

PLECAK

Dostałem go w prezencie z demobilu wojskowego ponad 25 lat temu. Plecak po testach, zrzutach z helikoptera, zjechałem z nim trzy czwarte Europy, trochę Azji i Afryki. Zmieści się w nim wszystko.

MOJE AKWARELE

Obecnie moja ulubiona technika malarska, jedna z trudniejszych, ale za to szybka. Lubię plenery, zwłaszcza w górach.

KONTRABAS...

....a raczej alfabian, jak nazwał ten instrument kilkuletni wówczas syn mojego kolegi. Kiedyś muszę nagrać płytę pod takim tytułem. Fascynacja gitarą basową spowodowała chęć głębszej eksploracji tajników muzyki. Równolegle do Liceum Plastycznego uczęszczałem do szkoły muzycznej przy Bednarskiej, dopóki nie zdałem na ASP. Później grałem w orkiestrze i trio jazzowym.

SKUTERY

To długa opowieść o kilkuletnich podróżach do Chin z towarzyszem niedoli Remigiuszem i projektowaniu skuterów. Owocem tego jest osiem modeli, widywanych pod różnymi nazwami na ulicach Polski, a także na świecie. To był intensywny czas. Równocześnie zajmowałem się projektowaniem wnętrz komercyjnych w Polsce.

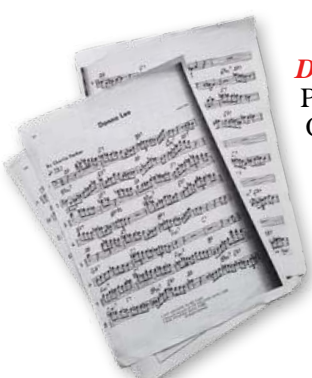

DONNA LEE

Ponadczasowa kompozycja Charliego Parkera nagrana na pierwszej płycie Jaco Pastoriusa, który miał wpływ na większość basistów na Ziemi. Także na mnie. Od usłyszenia tego kawałka rozpoczęła się moja przygoda z jazzem. Co jakiś czas uczę się go na nowo.

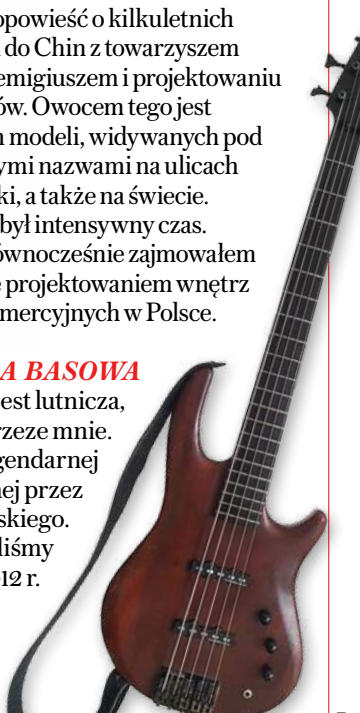

GITARA BASOWA

Mam ich kilka. Ta jest lutnicza, wstępnie zaprojektowana przeze mnie. Grałem na niej w Klanie, legendarnej grupie rockowej założonej przez mojego Ojca Marka Ałaszewskiego. Dużo razem koncertowaliśmy i nagraliśmy płytę w 2012 r.

BUT NARCIARSKI

Narciarstwo – mój ulubiony sport – wyjazdy w Tatry, Alpy. Klasyczne „marchewy" firmy Tecnica. Muszą być pomarańczowe i być bardzo twarde, powodują kontuzję przy każdym wkładaniu i zdejmowaniu, ale za to ekstremalnie dobrze trzymają stopę.

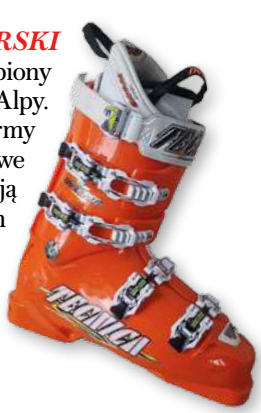

PŁYTA

Oto wspomniana płyta. Laufer. Miałem zaszczyt pracować przy jej powstawaniu. Ostatnia płyta Klanu.

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

Fot. Marek Ałaszewski Jr., Michał Korsun

eprasa.pl 5f6f9c76fc

OGNIEM NA WPROST

Ustawka?

Kijów hucznie uczcił drugą rocznicę rozpoczęcia agresji Federacji Moskiewskiej na Ukrainę, strącając stosunkowo dużą liczbę kacapskich samolotów. W ciągu niespełna dziesięciu dni glebę zaliczyło dziewięć suk (suki to slangowa nazwa odrzutowców bojowych Suchoja), z tego siedem Su-34 i dwa Su-35 oraz, co jest szczególnie ciekawe, samolot rozpoznania powietrznego typu AWACS, czyli ruski A-50. Żeby było jeszcze lepiej, to w ub.r. rosyjski przemysł dostarczył armii sześć sztuk Su-34. Zatem Wojska Powietrzno-Kosmiczne są na minusie. A to dopiero koniec lutego. Latający radar A-50 został spruty 250 km od linii frontu nad Krajem Krasnodarskim koło Jejska, czyli ponad 100 km od Mariupola. Żeby go strącić, Tryzuby musiały zastawić sidła. Od jakiegoś czasu A-50 był obserwowany przez członków ruchu oporu w Mariupolu, gdzie lądował, by uzupełnić paliwo. Na filmie widać, jak atakowana maszyna puszcza flary (pułapki termiczne, mające zmylić pędzącą w jej kierunku rakietę), ale nic to nie dało. Oberwał, jak trzeba. To już trzeci wyeliminowany z gry samolot tego typu. Pierwszy został poważnie uszkodzony na białoruskim lotnisku dokładnie rok temu (ale może po naprawie wrócił do służby). Drugi zestrzelono 14 stycznia br. Ten jest trzeci. Cyryl Budanow, szef ukraińskiego wywiadu wojskowego (HUR), twierdzi, że Moskwa ma jeszcze sześć takich maszyn. Po trzy na dobę. Wyeliminowanie jednej uniemożliwia całodobowe monitorowanie przestrzeni powietrznej nad Ukrainą. Na pytanie dziennikarki, kiedy kolej na następny wrogi samolot, Budanow odpowiedział: „Szukamy samolotu, a nie daty".

Zacny jest też dwuletni bilans strąconych kacapskich maszyn. Według danych Kijowa w 2022 r. z nieba spadły 283 odrzutowce i 269 helikopterów; w 2023 r. 46 maszyn myśliwsko-szturmowych i 55 śmigłowców, a w 2024 r. 13 samolotów i helikopter. Nic ująć, ale można by jeszcze dodać, czego życzymy Siłom Zbrojnym Ukrainy.

Redakcja portalu internetowego Ukraińska Prawda opublikowała oświadczenie o zatrzymaniu przez naszą policję przy białoruskiej granicy dwóch ukraińskich dziennikarzy robiących zdjęcia do materiału dotyczącego tranzytu towarów z Rosji i Białorusi do Rzeczypospolitej. „Celem wczorajszych działań Policji Polskiej wobec kierownika działu śledczego Ukraińskiej Prawdy Mychajła Tkacza i operatora Jarosława Bondarenki nie było dbanie o bezpieczeństwo w strefie przygranicznej. Działania funkcjonariuszy miały znamiona przeszkadzania w pracy dziennikarskiej, ingerencji w nią oraz rażąco naruszały procedurę ustalenia tożsamości. Funkcjonariusze przeszukali pojazd, wyciągnęli karty pamięci z kamer, zarekwirowali naszym dziennikarzom telefony komórkowe i dokumenty. Redaktorów Ukraińskiej Prawdy przewieziono do komendy policji w Łukowie, gdzie zatrzymywano na co najmniej cztery godziny" – pisze tryzubi portal. Sprawa jest o tyle dziwna, że w relacji samego Tkacza nie padają żadne nazwiska, a każdy funkcjonariusz w Polsce musi się przedstawić lub podać numer służbowy na żądanie osoby, wobec której podejmuje czynności. Tkacz mówi o komendancie, a przecież tabliczka z nazwiskiem wisi przy drzwiach gabinetu i na tablicy ogłoszeń przy wejściu. Dziennikarz nie spojrzał? Nie ma nazwy miejscowości ani określenia rejonu, w którym zostali zatrzymani, a granica polsko-białoruska liczy ponad 400 km. W artykule nie pada też nazwa służby, która zatrzymała Tkacza. Niby mowa o „służbach" (w domyśle specjalnych), ale zdjęcie jest zrobione przed jakimś komisariatem. W dodatku tak, żeby nie dało się odczytać żadnych danych. Z fotki można wnosić, że dziennikarza przetrzepano na masce samochodu. Nie ma takiej możliwości. Jeśli już byli przed jednostką policji, to przeszukanie powinno być przeprowadzone w pomieszczeniach służbowych – choćby po to, żeby delikwent nie mógł uciec. W relacji Tkacza jest jeszcze kilka nieścisłości. Słowem, pachnie to wszystko ustawką na bezczela. A smaczku dodaje fakt, że portal Ukraińska Prawda to medium ogólnie mało wiarygodne, powiązane z Georgem Sorosem. Oj! Moskal miesza, gdzie się da.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

Polityka sprzeczności

Marta Kaczyńska-Zielińska

W ostatnich dniach lutego br. Parlament Europejski przyjął porozumienie z Radą UE w sprawie nowego prawa o odbudowie zasobów przyrodniczych. Zobowiązuje ono państwa członkowskie do odbudowy do 2030 r. co najmniej 30 proc. siedlisk przyrodniczych ze stanu złego do dobrego, co najmniej 60 proc. do 2040 r. i 90 proc. do 2050 r. Priorytetowo mają być traktowane obszary Natura 2000. Kraje Wspólnoty muszą odtworzyć co najmniej 30 proc. osuszonych torfowisk do 2030 r., 40 proc. do 2040 r. i 50 proc. do 2050 r. Porozumienie musi zostać przyjęte przez Radę. Zacznie obowiązywać 20 dni po publikacji w dzienniku urzędowym UE.

Opisany akt to kolejny cios w europejskie i polskie rolnictwo, oprócz pozostałych założeń odwołujących się do rzekomej ochrony klimatu, a także nieograniczonego napływu produktów rolnych z Ukrainy zdominowanej przez nieukraińskich przedsiębiorców rolnych. Nawiązując do argumentów przywoływanych przez propagatorów ochrony klimatu, warto pamiętać, że całe europejskie rolnictwo nie emituje nawet 1 proc. CO_2 w skali świata. Radykalne ograniczenie produkcji rolnej w UE nie będzie miało zatem nawet znikomego wpływu na emisję dwutlenku węgla. Zasadniczy argument postulatorów zielonej rewolucji nie wytrzymuje krytyki, pozostając jedynie pretekstem lobby, któremu zależy na przebudowie rynku.

Jednym z traktatowych celów funkcjonowania UE jest dążenie do zapewnienia bezpieczeństwa żywnościowego. Z kolei jednym z celów Wspólnej Polityki Rolnej jest zagwarantowanie konsumentom bezpieczeństwa dostaw oraz racjonalnych cen. Przez lata WPR była nastawiona na wzrost wydajności rolnictwa, co uległo zmianie przez ukierunkowanie jej na zrównoważony rozwój i w efekcie doprowadziło do zmniejszenia zapasów interwencyjnych. Obecne inicjatywy utrudniające lub wręcz eliminujące działalność rolniczą wydają się w rażącej sprzeczności z zasadniczym celem i narażają obywateli państw członkowskich na poważne zachwianie bezpieczeństwa żywnościowego (dostępności żywności). Zgodnie z regulacjami prawnymi UE stawia nie tylko na bezpieczeństwo żywnościowe, lecz także na bezpieczeństwo (jakość) żywności, jednak od wielu miesięcy unijny rynek pozostaje otwarty na import żywności niespełniającej rygorystycznych unijnych wymagań.

Bezpieczeństwo żywnościowe to zagadnienie ogólnoświatowe, wiążące członków ONZ. W 1974 r. konferencja Organizacji ds. Wyżywienia i Rolnictwa zobowiązała państwa do przyjęcia odpowiedniej strategii oraz podjęcia działań zapewniających osiągnięcie celów bezpieczeństwa żywnościowego. Każde społeczeństwo powinno mieć zapewniony dostęp do żywności odpowiedniej jakości (bezpiecznej, odżywczej, różnorodnej), w odpowiedniej ilości i po przystępnej cenie, osiąganej za sprawą braku zakłóceń łańcucha dostaw. O bezpieczeństwie żywnościowym mówimy wtedy, gdy w kraju nie brakuje żywności dobrej jakości i jest ona dostępna dla każdego. Bezpieczeństwo żywnościowe obok bezpieczeństwa surowcowego i finansowego to nie tylko konieczność zaspokojenia fizjologicznych potrzeb człowieka, lecz także istotny atrybut polityczny i ekonomiczny każdego społeczeństwa. Prawo do żywności spełniającej wymienione kryteria wpisuje się w prawa człowieka do życia, wyżywienia, godności ludzkiej.

W 2050 r. na świecie będzie 9 mld ludzi. Według szacunków FAO do tego czasu popyt na żywność wzrośnie o 70 proc. Państwa UE muszą podejmować działania mające na celu zapewnienie samowystarczalności żywnościowej. Likwidacja europejskiego rolnictwa i stawianie na import z Ameryki Południowej oraz państw spoza UE to oczywisty błąd zarówno w obliczu rosnącego popytu na żywność, jak i zagrożenia militarnego ze strony Rosji.

Zapewnienie bezpieczeństwa żywnościowego w Polsce od wielu lat było wpisane w strategię bezpieczeństwa narodowego. Wszystkie gospodarstwa domowe mają posiadać dostęp do żywności i nie powinny być zagrożone ryzykiem utraty tego dostępu. Polska ma dogodne warunki naturalne do produkcji rolniczej i jest w stanie wyprodukować więcej żywności niż tylko na własne potrzeby. To stan, który za wszelką cenę należy utrzymać. Rolnicy protestują nie w imię obrony partykularnych interesów, lecz w imię bezpieczeństwa nas wszystkich.

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 22 lutego 2024 roku zmarł

RAFAŁ WĘGRZYNIAK

wybitny historyk teatru, znawca twórczości Stanisława Wyspiańskiego, autor „Encyklopedii »Wesela«...", krytyk i edytor, uczeń prof. Zbigniewa Raszewskiego, redaktor „Pamiętnika Teatralnego", „Teatru" i Teatrologii.info, pracownik Instytutu Teatralnego.

Rodzinie i Przyjaciołom składamy najszczersze kondolencje.

Zespół i Dyrekcja Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego

36/0224/F

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Quo vadis, prawico?

Samuel Pereira

To pytanie zadaje sobie niejeden Polak, obserwując, co się dzieje na naszej scenie nie tylko politycznej, lecz także ideowej. Lata rządów Prawa i Sprawiedliwości sprawiły, że obóz konserwatywny z pozycji światopoglądowych przesunął się na te bardziej państwowe. Zapomniał przy tym, co jest fundamentem życia wspólnoty, bo nie po to jest życie publiczne, żeby skupiało się tylko na administrowaniu krajem. Nie ma w tym nic dziwnego, że od 2015 r. na prawicy doszło do takiego przesunięcia, choć na pewno przydałby się rachunek sumienia z tego, ile prawica, będąc u władzy, zrobiła dla krzewienia wartości konserwatywnych, rodzinnych i edukacyjnych w tych sferach.

Lewicy trzeba oddać, że jest w tej kwestii wyjątkowo sprawna, niezależnie od tego, czy pozostaje u władzy, czy nie. Pomaga w tym oczywiście sieć zagranicznych kontaktów i finansowania, ale nie oznacza to obowiązku przyjmowania już na starcie pozycji przegranej, bo polskie społeczeństwo wcale nie jest w swojej większości nastawione pozytywnie do różnego rodzaju współczesnych wydziwień. Nie ma powodu, żeby publiczne instytucje w Polsce nie działały podobnie jak np. Netflix w swoich przepisach czy przyznająca Oscary Amerykańska Akademia Sztuki i Wiedzy Filmowej, która od 2024 r. obowiązkowo każe twórcom startującym w wyścigu o tytuł najlepszego filmu spełniać odpowiednie kryteria wobec grup określanych jako niedostatecznie reprezentowane. Zaliczono do nich przedstawicieli mniejszości etnicznych i rasowych, społeczności LGBT+, kobiety oraz osoby z niepełnosprawnościami. Dlaczego finansowane przez polskich obywateli instytucje nie miałyby wymagać spełnienia kryteriów patriotyzmu czy wartości rodzinnych lub historycznych? Teraz oczywiście nie ma co na to liczyć, ale już zacząć planować na przyszłość.

Dziś na nowo trzeba zbudować kodeks konserwatyzmu, który odnosiłby się do współczesnych wyzwań naszego świata i potrzeb młodego pokolenia. Bez tego nie ma szans na przekonanie do siebie ludzi, nawet jeśli rządy „uśmiechniętej koalicji" zaczną doskwierać. Zegar tyka.

Tyle co nic może znaczyć bardzo wiele

Z aktorem Arturem Paczesnym rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Przede wszystkim gratuluję nagrody, którą odebrał pan na festiwalu w Gdyni za najlepszą główną rolę męską.

Artur Paczesny: Prawdę powiedziawszy trochę już o niej zapomniałem. Życie płynie dalej...

...i w zupełnie nowych okolicznościach film „Tyle co nic" trafia do kin.

Niesamowite, jak ta uniwersalna opowieść o człowieku wyprzedziła to, co się w tej chwili dzieje.

Nie zdradzając zbyt wiele, powiedzmy, kim jest pański bohater i o co mu chodzi.

Jarek jest rolnikiem, bardzo zaangażowanym społecznie, który ze swoimi wyobrażeniami i wartościami staje wobec zmieniającego się świata. Musi się skonfrontować z rzeczywistością, która pisze własne scenariusze, ale przede wszystkim z wyobrażeniami innych ludzi. Mają oni swoje prawdy i bronią ich w trosce o siebie oraz swoich bliskich. Racje niekoniecznie idą ze sobą w parze. Często się ścierają, lecz w filmie nie ma podziału na lepsze i gorsze. Każdy niesie swoją prawdę.

Fot. Materiały prasowe

„Tyle co nic" okazało się czarnym koniem festiwalu w Gdyni. Zdobyło sześć nagród, w tym za scenariusz i debiut reżyserski dla Grzegorza Dębowskiego oraz role (także za drugi plan dla Agnieszki Kwietniewskiej). A przed nami gala Polskich Nagród Filmowych Orły (4 marca) i trzy nominacje: za reżyserię, scenariusz i odkrycie roku (dla reżysera). Jest szansa na statuetki?

Trzymam kciuki za Grzegorza Dębowskiego i film – niskobudżetowy, skromny i prosty, a jednak trafiający do serc ludzi. Jak widać, tyle co nic może znaczyć bardzo wiele.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: MAT.PRASOWE PIS, SHUTTERSTOCK 3X

Inwestycja

W trudnych czasach pojawia się pytanie: w co inwestować? W złoto? Waluty? Bitcoin? Nieruchomości? Do mnie przemawia inwestycja w samego siebie! Nie w brylantowe koronki na zębach, tylko w mądrą, przemyślaną edukację.

Specjalistyczne kursy, studia czy nawet samokształcenie pozwalają zdobyć kwalifikacje poszukiwane na rynku pracy. I to jest gwarancją sukcesu. Zawsze można się odbić od dna, gdy z przyczyn często od nas niezależnych tracimy wszystko. Wybitny programista z branży IT, doskonały chirurg, solidny hydraulik, genialny muzyk wirtuoz czy poliglota z dodatkową znajomością chińskiego nie narzekają na brak ofert zatrudnienia. A jeśli przy okazji zdobędzie się (np. jako hobby) inne umiejętności czy profesje, dywersyfikacja zarobków pozwoli przetrwać wszelkie zawirowania losu.

Trudno być optymistą, patrząc na to, co dzieje się dziś w polskim szkolnictwie. Wyraźnie widać równanie w dół zarówno z powodu jakości serwowanej wiedzy, jak i stawianych uczniom oraz studentom mikrowymagań. Nauki ścisłe bronią się jeszcze przed ideologizacją, demolującą nie tylko prawdę, lecz także zdrowy rozsądek. Płatne studia mogłyby wyśrubować poziom serwowanej wiedzy, gdyby pięciu kandydatów walczyło tam o jedno miejsce. Niestety. Kanclerz prywatnej uczelni zdradził mi, że dopóki student płaci czesne, nie może spaść mu włos z głowy. Mój kolega z państwowej, „darmowej" politechniki – aktualnie wykładowca tejże uczelni – powtarza ze studentami pierwszego roku matematykę i fizykę z zakresu szkoły średniej. Mógłby ich wyrzucić, ale nie miałby kogo uczyć...

PS Inwestycja w wiedzę ma sens, ale tylko na najwyższym poziomie. I jeszcze kilka złotych myśli człowieka sukcesu Warrena Buffeta, znanego biznesmena z USA: „Płaci się bardzo wysoką cenę za pogodną jednomyślność"; „Głos opinii publicznej nie jest substytutem myślenia"; „Lepiej częściowo mieć rację, niż całkowicie się mylić"; „Ryzyko bierze się z niewiedzy o tym, co robisz...".

Lech Makowiecki

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Zgłoszę swoją kandydaturę na prezesa Prawa i Sprawiedliwości i poproszę o wybór na kolejną kadencję. Mam siły, mam plan polityczny

Zostaję. Walczymy dalej. Bo stawką jest Polska

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Jarosławem Kaczyńskim, prezesem Prawa i Sprawiedliwości

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Czy Prawo i Sprawiedliwość ustało na nogach po ciosie, jakim była utrata władzy na rzecz koalicji 13 grudnia?

Jarosław Kaczyński: Tak, ustaliśmy na nogach, walczymy dalej. Widać to także w sondażach, które z małymi wyjątkami pokazują stosunkowo niewielkie straty i stabilną pozycję Prawa i Sprawiedliwości. To pozytywny sygnał dla partii, która, biorąc pod uwagę brak możliwości sformułowania rządu, przegrała wybory. To zawsze trudny moment i w demokracji parlamentarnej często powoduje dalszy radykalny odpływ wyborców.

Przegrała?

Zajęliśmy pierwsze miejsce z poparciem niewiele mniejszym niż cztery lata temu. Było to jednak zwycięstwo samotne, zbyt małe, by utrzymać władzę. Tę zasadniczą bitwę wyborczą zatem przegraliśmy. To zła wiadomość dla nas i bardzo zła dla Polski, bo przyszedł rząd, który się już o nasz kraj tak nie troszczy. Notujemy jednak bardzo wyraźne ożywienie naszych wyborców oraz grup społecznych, które wcześniej patrzyły na nas krytycznie, miały różne żale. Objazdy po Polsce, które rozpoczęliśmy od razu po zmianie rządu, których jest naprawdę dużo, pokazują większą niż wcześniej liczbę ludzi przychodzących na nasze spotkania, a przede wszystkim nieporównalnie większą energię, gotowość do działania. Jak na początek długiej drogi, która przed nami, nie jest najgorzej.

Przed nami wybory samorządowe. Da się powtórzyć wynik sprzed ponad pięciu lat?

Będzie to trudne, ale nie niemożliwe. W 2018 r. uzyskaliśmy 34 proc. poparcia, to nie jest dużo więcej, niż dają nam obecne sondaże. Będziemy o to walczyli. Najwięcej zależy od tych, którzy będą prowadzili kampanię.

Wrogowie Prawa i Sprawiedliwości kreślą wizję kolejnego „końca PiS", narastających podziałów, rozpadu. Dostrzega pan takie ryzyko?

Jesteśmy bardziej zjednoczeni i silniejsi, lepiej przygotowani do dalszej walki, niż sądzą nasi przeciwnicy. Ale oczywiście to trudny moment. Są słabsi ludzie, którzy reagują na utratę władzy w sposób nerwowy, nieprzemyślany, są tacy, którzy mogą chcieć po prostu przyłączyć się do silniejszego, realizując taką najprostszą strategię życiową. Nasz obóz polityczny potrzebuje teraz jedności, zdecydowanego przywództwa, szybkiego przejścia do ofensywy. Dlatego zmieniłem swoje polityczne plany. Wcześniej oceniałem, że kierowanie partią do 2025 r. wystarczy.

W pierwszej połowie 2025 r. ma się odbyć kongres PiS.

Tak, zgodnie ze statutem. Dziś jasno mówię: zgłoszę swoją kandydaturę na prezesa Prawa i Sprawiedliwości i poproszę o wybór na kolejną kadencję. Oczywiście to delegaci zdecydują, ja uczynię wszystko, by ich przekonać do takiego wyboru. Stawiam tę sprawę jasno, bo mogą się zacząć jakieś procesy, które nie służą partii. Jestem też przekonany, że jeszcze przez jakiś czas mogę skutecznie działać. Mam siły, mam plan polityczny. Nie chcę też, by ktoś mi zarzucał, że jestem dezerterem, że zostawiam partię i całe nasze środowisko w tak trudnym momencie, w starciu z tak brutalnym, nieliczącym się z niczym przeciwnikiem. Zostaję, walczymy dalej.

> Nie chcę, by ktoś mi zarzucał, że jestem dezerterem, że zostawiam partię i całe nasze środowisko w tak trudnym momencie, w starciu z tak brutalnym, nieliczącym się z niczym przeciwnikiem

Rozważają państwo zmianę nazwy partii?

Były takie rozmowy. Rozumiem tych, którzy chcieliby się oderwać od tych plugawych kampanii prowadzonych przeciw nam pod hasłem ośmiu gwiazdek. Jednocześnie Prawo i Sprawiedliwość to dla wielu ludzi symbol dobrych rządów, troski o Polskę, skuteczności, patriotyzmu. Trzeba to przemyśleć na spokojnie, wybrać to, co najważniejsze. Na pewno nie będziemy się kierować sentymentami, zbyt wielka jest stawka walki, w której uczestniczymy. Tą stawką jest Polska. Słyszę też o jakichś planach tworzenia inicjatyw, które w mojej ocenie, opartej na długotrwałym doświadczeniu, mogą się jedynie przyczynić do marnowania głosów, które padną na prawicę. Albo poprzez nieprzekroczenie 5 proc. i wtedy głosy są całkiem zmarnowane, albo wyniki niewiele powyżej 5 proc., ale może to być nawet 10 proc., gdzie „wydajność" z 1 proc. głosujących jest 4,5 raza mniejsza niż przy wynikach kilkudziesięcioprocentowych. Czyli mamy także efekt marnowania. To trzeba wiedzieć, ale nie oznacza to, że jesteśmy zamknięci na rozszerzanie naszego obozu. Jest tylko jeden warunek: partnerzy muszą mieć realną ocenę sytuacji, by poprzez nieprzemyślane pomysły nie obniżać wyniku. Jeśli chodzi o nas samych, możliwe jest, jak już wspomniałem, że w kolejnych wyborach parlamentarnych będziemy częścią szerszego obozu, który na pewno szukałby innej, można powiedzieć – szerszej nazwy.

Konfederacja mogłaby być jego częścią? To jeden z zarzutów wobec PiS – trzeba było się dogadać.

Znam ten zarzut. Problem w tym, że Konfederacja nie ukrywa, iż chce nas zniszczyć, by potem zająć nasze miejsce. Ci, którzy mają te pretensje, należą do licznej grupy komentatorów życia publicznego, nieznającej faktów albo psychicznie niezdolnej do ich przyjęcia. Przecież cały w tym ambaras, żeby dwoje chciało naraz. Z Konfederacją jest też ten problem, że nie do końca wiadomo, o co jej chodzi, każdy tam mówi co innego, są liczne podziały. Prawa strona to coś nieporównywalnie szerszego. Setki różnych organizacji. W naszym programie jest otwarcie na środowiska odwołujące się do motywacji patriotycznej, religijnej, ale

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5f6f9c76fc

i społecznej, judymowskiej, tradycyjnej dla polskiej inteligencji. W czasie naszych rządów zrobiliśmy dla nich bardzo dużo, mamy wiele sygnałów o gotowości do współdziałania z tamtych rejonów.

Protest rolników to w pana ocenie coś na tyle poważnego, by zmienić polityczny krajobraz?

Od kiedy zostało to poparte przez Solidarność, potencjał stawienia skutecznego oporu znacząco wzrósł. Ale trudno dziś przewidzieć, jak się to potoczy. Na pewno chwieje się Zielony Ład, ten akt ideologicznego szaleństwa, duszący, degradujący europejską i polską gospodarkę. Gdyby podliczyć wszystko, co dostaliśmy od Unii Europejskiej, odliczając nasze składki, byłoby to za mało do sfinansowania tych projektów.

Czym się pan kierował, apelując do komisarza Janusza Wojciechowskiego, by zrezygnował ze stanowiska?

Chodziło o bardzo wyraźną demonstrację niezgody na Zielony Ład. Jesteśmy partią, która w 2020 r. jednoznacznie głosowała w Parlamencie Europejskim przeciw tym propozycjom. Sądziłem, że pan Wojciechowski będzie w stanie zrezygnować z tych kilku miesięcy. Okazało się, że nie był i to kończy temat.

Czy KPO był błędem?

Może i lepiej, żeby tego nie było. Tylko trzeba uwzględnić kontekst – istotą sprawy nie był KPO, lecz przypisana do niego warunkowość związana z oceną „stanu praworządności". Jedyną możliwością zablokowania tego było zawetowanie całego budżetu UE. A wtedy stracilibyśmy władzę, częścią koalicji był jeszcze Jarosław Gowin. Tego nie mogliśmy zrobić. Wywalczyliśmy mocne gwarancje polityczne, problem w tym, że nie były one przestrzegane przez Komisję Europejską. Zresztą od pewnego czasu w UE prawo już w praktyce nie obowiązuje. Obowiązuje tzw. projekt europejski, czyli *de facto* to, co jest w interesie Niemiec i Francji.

Wspomniał pan o udanym objeździe Polski. Polacy się budzą?

Można postawić tezę, że to, co się stało 15 października, a potem zostało spuentowane 13 grudnia, spowodowało aktywizację tej części społeczeństwa, która nas popiera. To ważny kapitał na przyszłość. Duża część społeczeństwa dostrzegła, że nastąpiła nie tylko zmiana rządu, lecz także zaczęto wdrażać brutalny plan, na który Polacy nigdy nie wyrazili zgody. Zaczęto łamać prawo w sposób brutalny i bezczelny. Z pogardą zaczęto traktować fundamentalne polskie interesy. Duże znaczenie miało siłowe zajęcie Telewizji Polskiej, wyłączenie sygnału telewizyjnego.

Tak, my też mamy wiele relacji, jak dużym wstrząsem było to dla ludzi.

Było to bezprawne odebranie czegoś ważnego w życiu wielu rodzin, ulubiona stacja telewizyjna często jest codziennym towarzyszem, współtworzy rytm dnia. Starszym w sposób oczywisty przypominało to stan wojenny. Tusk poszedł tu wyraźnie śladem Jaruzelskiego. Tuż potem pojawili się więźniowie polityczni, legalnie wybrani posłowie opozycji, bezprawnie wsadzeni do więzień. Do tego cyniczne zwijanie, mówiąc potocznie, dołowanie Polski, świadome hamowanie jej rozwoju, realizowane od pierwszego dnia po przejęciu rządów.

> Notujemy bardzo wyraźne ożywienie naszych wyborców oraz grup społecznych, które wcześniej patrzyły na nas krytycznie, miały różne żale. Jak na początek długiej drogi, która przed nami, nie jest najgorzej

Na ile ten przekaz dociera do Polaków? Przebija się przez propagandę największych mediów, które powielają opowieść Tuska o „romantycznych fantazjach i zachciankach prezesa PiS"?

Możemy już odpowiedzieć jednoznacznie: dociera. Tu nowa władza mocno się zdziwiła. Polacy chcą kontynuacji ścieżki rozwojowej, którą zaproponowaliśmy i skutecznie wdrażaliśmy. To nie tylko Centralny Port Komunikacyjny, lecz także elektrownie atomowe, udrożnienie Odry, rozwój portów morskich, potężny ORLEN, świetna sieć drogowa, obwodnice miast, odbudowa armii i polskiego przemysłu zbrojeniowego, ściąganie inwestycji z najnowocześniejszą na świecie technologią. Dociera też to wszystko, co jest związane ze sprawami oświaty i kultury, ludzie rozumieją, że tu dzieje się coś niedobrego. Trudniej jest w obszarze zagrożeń związanych z planami przebudowy Unii Europejskiej, co wielokrotnie opisywałem także po wyborach.

Prosimy o skrótowe przypomnienie naszym czytelnikom.

Najkrócej mówiąc: Polska ma być terenem zamieszkanym przez Polaków, ale zarządzanym z zewnątrz, a wszelkie decyzje mają zapadać ponad głowami naszych obywateli, bez ich realnego wpływu na nie. Taka zmiana funkcjonowania UE to byłby kres suwerenności. Nie będzie to żadna federalizacja, jak się to próbuje sprzedawać, ale centralizacja całej władzy formalnie w Brukseli, a faktycznie w Berlinie i Paryżu. Nie na tym polega federacja – Kalifornia i Teksas nie rządzą całymi Stanami Zjednoczonymi, a nam się proponuje taką strukturę. Metodą jest daleko idąca likwidacja wymogu jednomyślności z rozszerzeniem tzw. kompetencji dzielonych, gdzie jednym państwom decydenci w Brukseli będą mogli oddać całą władzę w jakimś obszarze, a innym zabrać ją w ogóle. Gdyby te rozwiązania weszły w życie, zostalibyśmy pozbawieni wszelkiej zdolności decydowania o sobie – prawa do obrony granic, prowadzenia polityki

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Duże znaczenie miało siłowe zajęcie TVP, wyłączenie sygnału. Starszym przypominało to stan wojenny. Tusk poszedł tu śladem Jaruzelskiego. Tuż potem pojawili się więźniowie polityczni. Do tego cyniczne zwijanie Polski

Fot. Andrzej Wiktor

obronnej i zagranicznej, decydowania, czego się uczą dzieci w polskich szkołach, jakie są podatki i na co mają być wydawane pieniądze z budżetu. W gruncie rzeczy państwo polskie przestanie istnieć, zostanie przekształcone w administrację wykonującą cudze polecenia.

Ktoś może powiedzieć: stracimy wolność, za to będziemy żyli spokojnie i dostatnio.

Nie, tak nie będzie. W ślad za utratą suwerenności zawsze pojawia się eksploatacja i ucisk, takie są prawa życia i prawa polityki. Jeżeli ktoś nie ma własnego ośrodka dyspozycji politycznej, zawsze jest wykorzystywany przez innych. Rozumiem, że to są sprawy czasami trudniejsze do przyjęcia, nie każdy dobrze zna historię, rozumie te mechanizmy prawne i polityczne.

Unia Europejska kojarzy się też z bezpieczeństwem i bogactwem.

Bezpieczeństwo zapewnia nie UE, lecz NATO, przede wszystkim Amerykanie, i własne silne wojsko. Bogactwo? To też się zmienia, bo narzucane rozwiązania, choćby szalona polityka klimatyczna, są wyrokiem na wiele działów gospodarki, w pierwszym rzędzie przemysł i rolnictwo. Musimy też przyjąć, że bezprawie, które dzieje się w Polsce, ma poparcie Zachodu. To pokazuje, że tradycyjne wartości Zachodu, przywiązanie do demokracji i prawa, nie są tam już brane na serio. Liczy się, by to oni rządzili i mogli wdrażać swoje szalone plany.

To nowa wersja międzynarodówki?

To jest potężny front antydemokratycznej lewicy. Nie oznacza to jednak, iż nasza strona nie ma szans. W Stanach Zjednoczonych możliwa jest zmiana. Mimo że tam reguły też są łamane, tamtejsza lewica uważa, że może zrobić absolutnie wszystko, by wygrać, łącznie z nielegalnym importowaniem milionów nowych wyborców. Uderza w tym wszystkim kompletna pogarda dla prawa do spokojnego życia przez zwykłych obywateli. Ludzie z pałaców, zamkniętych dzielnic – takie są też w Warszawie – których to nie dotyczy, decydują, że ci, którym powiodło się gorzej, mają żyć w stanie ciągłego zagrożenia. Fizycznego i moralnego, bo jak ma się czuć człowiek, który widzi przemoc wobec kobiet i dzieci, a jest wobec niej bezradny?

Możliwa jest także zmiana w Unii? Niedawno opisaliśmy na łamach „Sieci" plan dynamizacji działań pańskiej formacji w Europie, nowe przywództwo polskiej delegacji w grupie Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim, większe otwarcie na sojusze z innymi prawicowymi partiami w Europie.

Chcemy dynamizować działania obecnej delegacji, chcemy, by nasza przyszła reprezentacja w europarlamencie była jak największa i jak najbardziej skuteczna. Chcemy wejść w grę polityczną, która może doprowadzić do zmiany w UE. To jest możliwe. Proszę sobie przypomnieć: osiem głosów obecnej koalicji rządzącej zdecydowało, że ten odrażający i groźny plan centralizacji Unii nie upadł w Parlamencie Europejskim. Pewnie próbowaliby do niego wrócić, ale ta porażka miałaby znaczenie. Zmiana jest zatem możliwa, trzeba się tam rozpychać, zawiązywać sojusze także z tymi, z którymi różnimy się w innych sprawach, jasno nazywać te różnice, ale w sprawach wspólnych walczyć razem.

Wróćmy do spraw krajowych. Mówi pan o długiej drodze. Co jest celem?

Powrót do poparcia powyżej 40 proc. 7 proc. więcej niż otrzymaliśmy 15 października 2023 r. to było minimum, żeby dalej móc rządzić przy tamtym rozkładzie głosów, przy tamtej frekwencji. To by prawie na pewno dało nam powyżej 230 mandatów.

Jaki jest plan polityczny? Jakie będą główne kierunki działania?

Na podstawie analizy kampanii wyborczej i po ostatnich spotkaniach kierownictwo partii ma już dobre rozeznanie, z czym powinniśmy się zwracać do społeczeństwa, by uzyskać największe poparcie, a co za tym idzie szanse na zwycięstwo. Ogólnie rzecz biorąc, już wiemy, w którą

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Fot. Andrzej Wiktor

stronę pójdziemy, niedługo zostanie to przedstawione publicznie. Dziś mogę powiedzieć tyle, że będziemy się odwoływali do spraw nośnych, ważnych dla większości Polaków. Tu ważnym kontekstem jest to, że za naszych rządów byliśmy na najlepszej drodze do dogonienia poziomu życia na Zachodzie. Dziś mówi się wprost, że tak być nie może, to zostanie zahamowane, zniszczone być może na zawsze. Oczywiście obecna koalicja rządząca może sprawować władzę jeszcze cztery lata, mogą się pojawić różne nowe okoliczności.

To treść. A nowe formy działania? Otwarcie się?

Dużo bezpośrednich spotkań. Większy nacisk na internet. A co do otwarcia, my nie jesteśmy formacją zamkniętą, od czasów Porozumienia Centrum – a Prawo i Sprawiedliwość wprost jest jego kontynuacją – szukamy nowych ludzi, środowisk, sojuszników. I często z dużym sukcesem. Jednocześnie wokół nas zawsze budowano kordon sanitarny. Nie każdy też się nadawał, czasami z powodu głoszonych niemądrych poglądów, niekiedy ze względów charakterologicznych. Dziś widzimy ważną zmianę: dzwonią do nas i przychodzą ludzie ze środowisk, które nas krytykowały, a dziś widzą, że mieliśmy rację, a to, co zaczęło się po 13 grudnia, jest przerażające. I my zapraszamy takich ludzi, już się włączają.

Prof. Andrzej Nowak wezwał pana do odejścia i rozwinął mocną krytykę PiS. Jakiś komentarz?

Nie mam zamiaru tego komentować, traktuję to jako dobry znak – prof. Andrzej Nowak, być może najwybitniejszy polski historyk, i to nie tylko spośród współczesnych, sformułował podobną diagnozę w 2015 r., potem przyszło osiem wielkich zwycięstw i osiem lat dobrej zmiany dla Polski. Żadna partia w Europie nie wygrywa zawsze.

A przeczytał pan raport dotyczący Telewizji Polskiej przypisywany Jackowi Kurskiemu?

Tak, przecież był skierowany najpierw do mnie. Każdy taki dokument traktuję poważnie, staram się w nim znaleźć elementy racjonalne, pouczające. Znam jednak także stano-

eprasa.pl 5f6f9c76fc

wisko tych, którzy są tam krytykowani, i oni przedstawiają również bardzo poważne argumenty oraz dane.

Obie te wypowiedzi mają wspólny mianownik: pytanie, czy ostatnie wybory mogły potoczyć się inaczej, gdyby nie błędy popełnione przez PiS. Pańska odpowiedź?

Pewnie mogły, kampania wyborcza to zawsze są decyzje obarczone ryzykiem. Ale musimy pamiętać o kontekście. Rok 2019 to podwójne zwycięstwo – wybory europejskie i 45 proc. poparcia, rekord Polski. Potem parlamentarne, ponad 43 proc. i rekord Polski w wyborach krajowych. Potem wiosna 2020 r. i przeciętna poparcia sondażowego na poziomie 47 proc., najwyższa w naszej historii. Przychodzi jesień i spada nam o 10 proc. Po jakim wydarzeniu – wszyscy wiemy. A później pandemia i ograniczenia, nieakceptowane przez część społeczeństwa, następnie wojna i jej skutki, putinflacja.

> Już wiemy, w którą stronę pójdziemy. Będziemy się odwoływali do spraw nośnych, ważnych dla większości Polaków. Za naszych rządów byliśmy na najlepszej drodze do dogonienia poziomu życia na Zachodzie. Dziś wprost się mówi, że to zostanie zniszczone

Czy z dzisiejszej perspektywy warto było podważać tzw. kompromis aborcyjny?

Długo uważaliśmy, że nie. Wybór był zupełnie inny: czy Trybunał Konstytucyjny, bo to tam zapadły te decyzje, mógł się uchylić od rozpatrzenia tej sprawy? Długo zwlekał, ale wiem, że były na niego wywierane potężne naciski. Sam werdykt na gruncie prawa, konstytucji i wcześniejszych linii orzecznictwa, jeszcze za poprzednich składów TK, nie mógł być inny. Przyznawał to nawet były prezes Trybunału Andrzej Rzepliński. To trudna kwestia, ale nie mogę jej pominąć, chcąc uczciwie odpowiedzieć na pytanie o przyczyny porażki.

Pamiętam wtedy nasz wywiad z panem i jasne stwierdzenie, że będziecie odrabiać straty.

To się w dużej mierze udawało. W sondażach dochodziliśmy do 40 proc., nawet kilka tygodni przed wyborami. Wtedy wykreowano tzw. aferę wizową – nieistniejącą. Opowiadano o setkach tysięcy nielegalnie wydanych wiz, w rzeczywistości było to kilkaset przypadków przyspieszenia miejsca w kolejce po wizy, ale nie wiem, czy te działania zostały zakończone ich przyznaniem. Proceder został wykryty i ukrócony przez służby państwowe, natychmiast też zareagowaliśmy. Krótko mówiąc, kompletna kreacja, wymysł. Niestety, było to kłamstwo skuteczne. Z perspektywy czasu widać też, że zmiany podatkowe wprowadzone w Polskim Ładzie – choć sam program zrobił bardzo dużo dobrego, do dziś słyszę podziękowania od wójtów i burmistrzów – wywołały dużo chaosu. Uderzyły też w pewną grupę społeczną, w sumie zostały źle odebrane i zaszkodziły wyborczo.

Nasze rozmowy z ludźmi w terenie prowadzą do wniosku, że w końcówce kampanii nastąpiło, jak to określają, zaczadzenie sporej części wyborców. Merytoryczna rozmowa stała się już niemożliwa, uruchomiono straszne, oparte na kłamstwach i mitach emocje, jakieś rozedrganie. Nic się już nie liczyło, żaden dorobek.

Nasze analizy też na to wskazują i nie mamy do końca odpowiedzi, co się tak naprawdę zdarzyło. Sam przecież objechałem przed wyborami ogromną część Polski, odbyłem 60 spotkań, zanim choroba przerwała mój objazd. I też to widziałem, też mi mówiono, że twarde dane, skokowy wzrost jakości życia, sukces we wszystkich obszarach, potężne lokalne

REKLAMA

34/0224/F

eprasa.pl 5f6f9c76fc

inwestycje, od dekad niewidziane w niektórych miejscach, nie przemawiały do ludzi.

Zapewne przyczyna tkwi w potężnej przewadze medialnej naszych przeciwników.

To jedna z przyczyn. Stworzono rzeczywistość urojoną, równoległą. Po dyżurze poselskim w TVP na pl. Powstańców, gdzie interweniowaliśmy w czasie bezprawnego zamachu władzy na media publiczne, podszedł do mnie młody człowiek. Bez agresji, spokojnie, powiedział do mnie: „Widzi pan, tak się kończy dyktatura". Zapytałem go: „Panie, gdzie pan widział dyktaturę?". Nie odpowiedział, odszedł. Ale takie rzeczy wmówiono wielu ludziom. Opozycja szalała, największe media w jej rękach, także samorządy, które w Polsce mogą bardzo dużo, do tego świat akademicki, wielki biznes – wszystko przeciw władzy, a oni wierzyli, że panuje dyktatura. Trzeba nie mieć żadnej zdolności do samodzielnej oceny sytuacji, by tak myśleć. Ale są ludzie, którym w środku upalnego lata można wmówić, iż jest mróz. I oni przed wyjściem z domu założą palto.

Skoro zahaczyliśmy o TVP. Marek Czyż, którego do studia telewizyjnego wwiozła policja, w takim pysznym przemówieniu powiedział w jednym z wywiadów do polityków PiS: „Przyjdziecie do nas, na pewno. My to wiemy, wy to wiecie".

Mogę powiedzieć tak: przyjdziemy. Przyjdziemy na pewno – tu pełna zgoda. Na razie skupiamy się na tym, by powstało coś, co byłoby odtworzeniem prawdziwej telewizji publicznej.

Czy to bezprawie – używanie uchwał jako źródeł prawa, rządzenie za pomocą przemocy, policji na rozkaz – będzie miało jakieś konsekwencje?

Mam nadzieję, że jak przejmiemy władzę, będziemy w stanie doprowadzić do tego, żeby zaczął działać wymiar sprawiedliwości. Tu w oczywisty sposób w grę wchodzi art. 127 Kodeksu karnego, bardzo ciężki zarzut zmiany ustroju siłą, zagrożony karą od 10 lat pozbawienia wolności do dożywotniego więzienia. Robią to świadomie i fakt, że obecnie niektóre instytucje państwa oraz niektórzy politycy są poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości, niczego tu nie zmienia. Dążą do przywrócenia stanu z 2013 r., kiedy w pełni panowali nad wszystkimi elementami życia publicznego. Istniał tylko jeden wyłom – opozycja reprezentowana przez nas, traktowana w sposób agresywny i niegodny, po 2010 r. – haniebny.

Wyczerpująco opisał pan ten system w przemówieniu w Sejmie w 2013 r.

Tak. System kontroli władzy był fikcją. Dziś chcą tego samego, z jedną różnicą – na skróty, siłowo, szybko. Wtedy osiągnęli to legalnie, czekając na zakończenie kadencji. Dziś robią to w sposób, który z punktu widzenia prawa jest zbrodnią. To czysty kryminał. Nie tylko działania w TVP, lecz także wkraczanie do prokuratury, pozbawianie legalnie działających prokuratorów możliwości ich pracy, bezprawne wybieranie nowych przełożonych. Mam nadzieję, że uczciwi sędziowie to w przyszłości osądzą – zarówno udział w takich praktykach, jak i przygotowywanie, pomocnictwo. Konieczne jest ostrzeżenie, by w przyszłości nikt już się nie odważył na coś takiego.

Pójdą dalej w tym bezprawiu? Zaatakują siłowo także Trybunał Konstytucyjny? Narodowy Bank Polski?

Jeżeli prezydent będzie bronił tego, czego w moim najgłębszym przekonaniu powinien bronić, to ustawami nie osiągną tych celów. Ryzyko dalszego łamania ustaw i konstytucji jest zatem poważne. W ogóle uważam, że konstytucja przestała już obowiązywać, mamy do czynienia z sytuacją, która w prawie nazywa się „odwyknieniem", z łac. *desuetudo* – nie jest stosowana, straciła moc obowiązującą. W przyszłości trzeba będzie pomyśleć o bezpiecznikach, np. Radzie Stanu, która by uniemożliwiła takie działania.

> Konflikt z rolnikami wsparty przez Solidarność może doprowadzić do zmiany sytuacji. Choć na razie nie jest to bliska perspektywa. Ale historia bywa nieprzewidywalna

Obrońcami konstytucji okazali się nieznani, skromni prawnicy pracujący w Krajowym Rejestrze Sądowym. Tylko oni znaleźli siłę, by odmówić rejestracji w oczywisty sposób bezprawnych zmian w TVP i Polskim Radiu.

I to daje nadzieję, że da się skonstruować uczciwe sądownictwo. W jego węzłowych miejscach, w tym w sądach odwoławczych, Sądzie Najwyższym, muszą być obsadzeni ludzie bezwzględnie uczciwi, prawi, nieprzekupni, nieulegający presjom. I co ważne w warunkach polskich, niemający związków z komunizmem, bo u nas tzw. głębokie państwo, po ang. *deep state*, ma charakter właśnie postkomunistyczny.

Uważa pan, że koalicja rządząca może się rozpaść?

Na razie nic na to nie wskazuje. Musiałby się wydarzyć jakiś wstrząs społeczny, obecne protesty musiałyby przybrać dramatyczną formę, co mogłoby zaowocować nowymi wyborami. Na razie daleko do tego. Drugi wariant to jakaś kłótnia w koalicji, gdyby ktoś tam uznał, iż zmierza ku klęsce. Trzecia Droga ma się jednak dobrze, czerwoni może nie są zadowoleni z tego, co jest, ale pociesza ich powrót do władzy po 16 latach. Konflikt z rolnikami wsparty przez Solidarność może doprowadzić do zmiany sytuacji. Choć na razie nie jest to bliska perspektywa. Ale historia bywa nieprzewidywalna.

Reklama | 2/0224/F

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Wspólnie
dla wolności

Historia o odwadze i poświęceniach, o której warto pamiętać. Szczególnie 1 marca.

Było ich nawet kilkadziesiąt tysięcy. Inżynierowie, robotnicy, wyczynowi sportowcy, humaniści - wszyscy znaleźli odwagę by zmienić komunistyczną rzeczywistość.

Mężni, niezłomni, zdeterminowani - zawsze w naszej pamięci.

Energa
GRUPA ORLEN

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Krzysztof Brejza

Ofiara

Czy Krzysztof Brejza zrzeknie się immunitetu i pozwoli na wyjaśnienie przed sądem afery hejterskiej w Inowrocławiu? Prokuratura od kilku miesięcy nie może postawić mu zarzutów. Według śledczych miał osobiście decydować o polityce kadrowej w jednym z wydziałów inowrocławskiego ratusza oraz nakazywać pracownikom pisanie anonimowych komentarzy w sieci, przychylnych dla niego samego i jego ojca oraz krytycznych wobec ich oponentów. Dotarliśmy do wniosku o uchylenie immunitetu parlamentarzyście

MAREK PYZA

Teoretycznie wiele już o tej sprawie napisano. Wiemy, że w inowrocławskim Urzędzie Miasta miała funkcjonować „fabryka hejtu", pracująca na rzecz politycznego klanu Brejzów. Ale to wciąż tylko nieoficjalne informacje, prasowe przecieki, ścinki doniesień ze śledztwa. Bo rzecz nigdy nie została zweryfikowana przed sądem. I może nie będzie.

Krzysztof Brejza kreuje się na ofiarę numer jeden rządów Zjednoczonej Prawicy. Buduje legendę polityka prześladowanego, nielegalnie podsłuchiwanego Pegasusem. Wytacza kolejne procesy i niektóre wygrywa, gdy jego oponenci zbyt lekko formułowali niektóre opinie. A wciąż nie wiemy, czy rzeczywiście był podsłuchiwany.

Nie wiemy nawet, czy kiedykolwiek się tego dowiemy. Mimo zapowiedzi Adama Bodnara odtajnienia dokumentów i ujawnienia listy podsłuchiwanych osób, droga do tego jest bardzo daleka. Nawet zastępczyni ministra sprawiedliwości Maria Ejchart stwierdziła, że możemy nigdy nie poznać tej listy. Krążą więc po internecie kolejne nazwiska – w tym polityków PiS – komentatorzy i media społecznościowe rozpalają się do czerwoności, słyszymy legendy o przekazaniu przez premiera listy prezydentowi

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5f6f9c76fc

czy sprawca?

przed posiedzeniem Rady Gabinetowej. Lecz w jednym z ostatnich wywiadów Andrzej Duda wyjaśnił sprawę, informując, że Donald Tusk na tym spotkaniu zdementował pojawiające się w przestrzeni publicznej nazwiska rzekomo inwigilowanych.

Jest tu zatem więcej pytań niż odpowiedzi. A chyba najważniejsze brzmią: jeśli Brejza rzeczywiście był podsłuchiwany, to czy było to działanie nielegalne i bezzasadne? Czy zarzuty, które chce mu postawić prokuratura, są wyssane z palca, czy uprawdopodobnione zebranym w długim śledztwie materiałem dowodowym? Czy polityk partii, która ma na sztandarach walkę z mową nienawiści, sam zarządzał farmą trolli posługujących się hejtem?

Z IMMUNITETEM CZY BEZ?

Dotarliśmy do wniosku Prokuratora Okręgowego w Gdańsku o uchylenie immunitetu Krzysztofowi Brejzie. Wyłaniający się z tego dokumentu obraz wskazuje, że gwiazda Platformy Obywatelskiej, śledczy z komisji ds. Amber Gold, może mieć sporo za uszami. Dowody, na które powołują się prokuratorzy, wyglądają spójnie i przekonująco.

Najpierw jednak wyjaśnijmy nieścisłość dotyczącą immunitetu parlamentarzysty, wokół czego narosły niejasności.

We wrześniu ub.r. Prokuratura Okręgowa w Gdańsku przesłała do marszałka Senatu wniosek o zgodę izby wyższej na pociągnięcie Brejzy do odpowiedzialności. Wtedy senator ogłosił, że sam zrzeka się immunitetu, a na dowód pokazał pismo, które złożył u Tomasza Grodzkiego.

Opinia publiczna nie dowiedziała się jednak, że było to bezprzedmiotowe, bo marszałek zwrócił wniosek prokuraturze, dopatrując się jakichś uchybień formalnych, więc oświadczenie Brejzy mógł wyrzucić do kosza.

9 października śledczy nadesłali wniosek raz jeszcze. Wtedy jednak Krzysztof Brejza nie ogłaszał ponownie rezygnacji z immunitetu. Zaś pismo z prokuratury pozostało gdzieś na dnie jednej z senackich szuflad, bo tydzień później stało się jasne, że Brejza płynnie zamieni mandat senatora na europosła – wszedł do Parlamentu Europejskiego w miejsce wybranego do Sejmu Radosława Sikorskiego.

I tak sprawa immunitetu rozpłynęła się w powietrzu. Czy ostatecznie zostanie zamieciona pod dywan? Wnioskując z decyzji prokuratorskich z ostatnich tygodni (rezygnacja ze ścigania Tomasza Grodzkiego w sprawie łapówkarskiej, Magdaleny Adamowicz w sprawie oszustw podatkowych, umarzanie postępowań niewygodnych dla partii Donalda Tuska np. w sprawie Soku z Buraka czy odbieranie spraw prokuratorom, którzy próbowali ścigać bezprawne działania m.in. ministra sprawiedliwości), zasadne jest pytanie, czy gdańska prokuratura zdecyduje się na wystąpienie do PE o uchylenie immunitetu Krzysztofowi Brejzie, czy zdecyduje się zamknąć śledztwo, by pozostawić europosła bez zarzutów i aktu oskarżenia.

> Czy Krzysztof Brejza był pomysłodawcą utworzenia w inowrocławskim ratuszu Wydziału Kultury, Promocji i Komunikacji Społecznej? I czy uczestniczył w rekrutowaniu pracowników do tego wydziału? Według ustaleń postępowania przygotowawczego tak właśnie było

WYDZIAŁ SPECJALNY

Polityk przekonuje, że wniosek o uchylenie mu immunitetu jest oparty na materiale częściowym, wyrwanym z kontekstu (to akurat dziwny argument, bo taki wniosek z oczywistych powodów nie może zawierać pełnego materiału dowodowego) i miał zostać negatywnie zweryfikowany przez samą prokuraturę, a śledczy, składając go w Senacie, chcieli wprowadzić w błąd opinię publiczną.

Trzeba więc postawić pytania o fakty, które w tym wniosku podają śledczy jako podstawę do postawienia zarzutów.

1. Czy Krzysztof Brejza był pomysłodawcą utworzenia w inowrocławskim ratuszu Wydziału Kultury, Promocji i Komunikacji Społecznej? Czy uczestniczył w rekrutowaniu pracowników do tego wydziału?

Według ustaleń postępowania przygotowawczego tak właśnie było. Niezadowolony z kampanii ojca w 2014 r. (Ryszard Brejza wygrał wybory na prezydenta Inowrocławia różnicą ledwie 347 głosów) miał wpaść na pomysł zmian organizacyjnych w ratuszu i stworzenia „komórki organizacyjnej, której celem miałoby być promowanie osoby prezydenta i Urzędu Miasta Inowrocław". Mają to potwierdzać zeznania czworga świadków oraz liczne SMS-y. Np. po dłuższej wiadomości od jednego ze współpracowników w sprawie zatrudnienia konkretnej osoby (do grafik, zdjęć i komentowania w internecie), Krzysztof Brejza odpisuje [przytaczamy oryginalną pisownię, zachowujemy anonimowość osób trzecich – przyp. red.]:

eprasa.pl 5f6f9c76fc

„b dobry pomysł W. musi być w zespole". A po chwili dywaguje: „tylko czy nie lepiej dodatkowo kogoś tylko od grafiki i zdjęć", „a W. tylko komentarze plus jeszcze ktoś od komentarzy".

Z treści zamieszczonych we wniosku wiadomości wynika, że Brejza uczestniczył również w decyzji o tym, kto ma kierować nowym wydziałem. Trafiamy na wiadomość wysłaną do kobiety, która rzeczywiście później została naczelnikiem wydziału: „[...] a może zaproponowałabyś na swoje miejsce G. z kck? Rzeczywiście byłby to łagodny układ – zamiana miejscami". Ten łagodny układ został wdrożony – G. została dyrektorem w Kujawskim Centrum Kultury, a adresatka tego SMS-a najpierw będzie gorliwie wypełniać stawiane jej zadania, a później zostanie „odstrzelona" jako odpowiedzialna (przynajmniej pośrednio) za nieprawidłowości w sprawie fikcyjnych faktur (to główna sprawa inowrocławska, w czasie jej rozpracowywania śledczy natrafili na aferę hejterską i wyłączyli ją do odrębnego postępowania).

„JEDŹCIE PO NIM!"

2. Czy pracownikom ww. wydziału nieformalnie powierzono obowiązki zamieszczania komentarzy na internetowych forach i w mediach społecznościowych – pochwalnych dla prezydenta Inowrocławia, jego syna (wtedy posła) oraz Urzędu Miasta, a krytycznych wobec politycznych konkurentów?

Zdaniem prokuratury tak właśnie było, czym naruszono wewnętrzne regulaminy ratusza. Potwierdziło to co najmniej sześcioro świadków oraz liczne SMS-y Krzysztofa Brejzy. Poza wspomnianymi wyżej, chodzi również m.in. o takie: „musicie mieć koncepcje na kierunek komentarzy; to musi być spojne"; „wez W. i B. niech cisną tego taxiarza na watkach w blogach"; „to w komentarzach jedzcie po nim, z nowego profilu daj temat W. znajdz to o co chodziło w necie czyli wygoogluj część jego uzasadnienia może znadzjiesz te firme". Jak widać, potrzeby bywały niezwykle pilne, bo zdarzało się, że parlamentarzysta w pośpiechu pisał bez ładu i składu.

Wśród prokuratorskich materiałów znajdujemy również serię 21 wiadomości wymienianych przez obu Brejzów wieczorem 12 października 2017 r. Jeśli śledczy niczego nie pominęli, ta korespondencja wygląda tak:

Krzysztof Brejza: „kazde słowo kazdy wpis"
KB: „z fakeowych kont"
KB: „kurcze cala ekipa od A."
KB: „jutro powinna dostac wolne"
KB: „ale dziś cisnac"
Ryszard Brejza: „Robimyto rozmawiałem"
KB: „super:-)"
RB: „W. pisze"
KB: „ja prosilem P. i M."
KB: „ale A. osobiście powinna tez"
KB: „zwłaszcza na wp"
RB: „Dołączylinki b.dobry pomysł"
KB: „link ipn, link smilowska 5 wyrokow, linko newsweek brejza drugi"
KB: „te 3"
RB: „Brak kontaktów z A."
RB: „Ma mały problem"
KB: „zatrzymali ją?"
RB: „Jeszcze nie"
RB: „Wyślij do W."
RB: „Linki"
RB: „Polecam walczy równolegle o usunięcie niektórych postów"

Śledczy wskazują, kto był na celowniku ludzi Brejzów: Jacek Olech (kandydował w wyborach samorządowych w 2018 r. z własnego komitetu), Mieczysław Piwowar (związany z Bezpartyjnymi Samorządowcami), Maciej Szota (polityk Suwerennej Polski), Tadeusz Majewski (PSL) czy Marcin Wroński (konkurent Ryszarda Brejzy w wyborach, PiS).

> Zeznania jednej z pracownic wydziału: „Ode mnie oczekiwano pisania komentarzy w pracy [...] – chciano, bym atakowała przeciwników politycznych posła Krzysztofa Brejzy i prezydenta Brejzy". Gdy kobieta odmówiła pisania komentarzy, zdegradowano ją i obniżono wynagrodzenie

BRAK MATURY? ŻADEN PROBLEM

3. Czy Krzysztof Brejza uczestniczył w procesie zatrudniania w innych jednostkach podległych władzom Inowrocławia osób mających wykonywać zadania stawiane pracownikom ww. wydziału? A jeśli tak, to z jakiego powodu zostały one zatrudnione w innych jednostkach?

Zdaniem śledczych ekipa od komentowania wykraczała poza nowo powołany wydział. A to dlatego, że jeden z zaufanych ludzi Brejzy miał nie spełniać „wymogu ukończenia szkoły średniej na poziomie maturalnym i wyższego wykształcenia". Dlatego trafił do Centrum Pomocy Organizacjom Pozarządowym przy Ośrodku Sportu i Rekreacji. Kolejny zaś – tu również znajdujemy adnotację: „nie posiadając wykształcenia maturalnego" – najpierw trafił do Kujawskiego Centrum Kultury.

W piśmie śledczych do marszałka Senatu czytamy: „Z przedstawionego przez A. obrazu wynika, że w Wydziale zatrudnione zostały dwie osoby tj. W. i P., »które nie zajmowały się pracą, a hejtem internetowym«. Krzysztof Brejza miał jej przekazać, że to ma być ich główne zadanie w tym Wydziale i nie można ich dociążać innymi obowiązkami".

Tego stanu rzeczy mają dowodzić zeznania pięciorga świadków oraz dokumenty pracownicze wspomnianych dwóch osób.

POMPOWANE PLEBISCYTY

4. Czy Krzysztof Brejza uczestniczył w decyzjach o zakupie sprzętu elektronicznego dla pracowników ww. wydziału celem wpłynięcia przez nich na wyniki lokalnych plebiscytów?

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Ryszard Brejza

Chodzi o dwa lokalne konkursy – na najgorszego prezydenta oraz bohatera „Głosu Inowrocławia.

Oddajmy głos śledczym w sprawie drugiego plebiscytu: „Pracownicy Wydziału w godzinach pracy głosowali na Krzysztofa Brejzę. W. nadzorował wyniki, a kiedy ulegały one niekorzystnemu dla Krzysztofa Brejzy spadkowi, pracownicy oddawali swoje głosy. Na grupach internetowych pracownicy informowali się wzajemnie o liczbie oddanych głosów [...]. W celu zapewnienia możliwości sprawnego realizowania ww. zadań pracownicy Wydziału [...] ze środków pozyskanych z budżetu Urzędu Miasta, których podstawą wypłaty były nierzetelne faktury, dokonywali zakupu: tabletów, doładowania do telefonów, starterów. [...] A. wyjaśniła, że Krzysztof Brejza wskazał na konieczność zapewnienia właściwych urządzeń, ich wzajemnej kompatybilności".

Zeznania jednej z pracownic wydziału: „Ode mnie oczekiwano pisania komentarzy w pracy, przy czym, jak wspomniałam, powiedziałam, że będę pisała legalne odpowiedzi, zgodne z prawem. Podkreślam to, bo oczekiwanie było inne – chciano, bym atakowała przeciwników politycznych posła Krzysztofa Brejzy i prezydenta Brejzy".

W pewnym momencie kobieta odmówiła pisania komentarzy. Wówczas odebrano jej tablet, zdegradowano i obniżono wynagrodzenie.

Inny z pracowników wydziału ostatecznie zwolnił się z pracy. Jego koleżanka wyjaśniała prokuratorom, że „nie daje sobie rady [...] to był bardzo wrażliwy chłopak i że on nie może znieść atmosfery i presji, jaką ma od posła, była ona związana z komentowaniem w internecie".

Obrazu tego procederu dopełnia prokuratorski opis wzywania pracowników wydziału inowrocławskiego ratusza do biura poselskiego Krzysztofa Brejzy i zlecania im zadań przed wyborami parlamentarnymi.

Dodajmy jeszcze, że kolejne wybory lokalne Ryszard Brejza wygrał już gładko – w pierwszej turze. Czyżby wydział dobrze wykonał powierzone mu zadania?

Urząd sprawował do jesieni ub.r., gdy uzyskał mandat senatora.

Dziś na byłym prezydencie Inowrocławia ciążą prokuratorskie zarzuty przekroczenia uprawnień celem osiągnięcia korzyści majątkowej i osobistej oraz niedopełnienia obowiązków.

Obrazu tego procederu dopełnia prokuratorski opis wzywania pracowników wydziału inowrocławskiego ratusza do biura poselskiego Brejzy i zlecania im zadań przed wyborami parlamentarnymi

PLATFORMA TROLLI

To kolejna afera hejterska w łonie Platformy Obywatelskiej. Najpierw był Sok z Buraka, którego twórcę oraz administratora Mariusza Kozaka-Zagozdę zdemaskował przed laty tygodnik „Sieci" – ujawniliśmy wówczas, że był on zatrudniony w partii Platforma Obywatelska, w jej klubie parlamentarnym, stołecznym ratuszu, w kilku komitetach wyborczych przed kolejnymi elekcjami oraz w jednej z miejskich spółek.

Kilka tygodni temu okazało się, że za innym kontem rozsiewającym w mediach społecznościowych nienawiść wobec oponentów PO (zarówno tych z PiS, jak i po tej samej stronie barykady – z Polski 2050) stoi człowiek regularnie opłacany przez formację Donalda Tuska. Z doniesień Wirtualnej Polski wynikało, że Bartosz Kopania (znany jako Pablo Morales) zarobił w ugrupowaniu co najmniej 300 tys. zł, zaś portal wPolityce.pl ujawnił, że jego brat bliźniak pełni funkcję prezesa spółki Miejskie Przedsiębiorstwo Realizacji Inwestycji, w całości zależnej od władz Warszawy.

W przypadku Inowrocławia sprawa wygląda nieco inaczej. Rzecz dotyczy bowiem działania pojedynczego polityka, a nie machiny partyjnej, być może nawet bez wiedzy „centrali", wyłącznie na korzyść własną i swojego ojca, a nie całej formacji. W tle też pojawiają się jednak publiczne pieniądze (np. na zakup sprzętu do głosowania w plebiscytach) i podobny jest *modus operandi* – stworzenie małej manufaktury do skrytego atakowania przeciwników z wykorzystaniem pomówień – jak twierdzą śledczy.

Jeśli ich ustalenia okazałyby się prawdą, obaj Brejzowie z rzekomo inwigilowanych Pegasusem ofiar pisowskich polityków w oczach opinii publicznej staliby się siewcami hejtu dla własnych zysków.

Aby to zweryfikować, potrzebny jest jednak proces sądowy. A żeby do niego doszło, europosła musi przestać chronić immunitet. Czy tym razem się go zrzeknie i pozwoli wyjaśnić sprawę, czy będzie czekał, aż „odbita" przez Adama Bodnara prokuratura ją umorzy?

Krzysztof Brejza sprawia wrażenie bardzo pewnego siebie. W rozmowie z nami dwukrotnie podkreślił, że wygrał w tej sprawie już osiem procesów (ciężko to zweryfikować, na pewno co najmniej niektóre z nich zakończyły się nieprawomocnymi wyrokami) i poprosił o przesłanie pytań mailem (część z nich zawarliśmy powyżej). Do momentu zamknięcia tego numeru „Sieci" nie otrzymaliśmy na nie odpowiedzi.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Komisja do spraw komisji

STANISŁAW JANECKI

W Sejmie powinny powstać nie trzy komisje śledcze, ale 23. Dlaczego? Bo wtedy pracę miałoby 247 posłów większości, a nad wszystkim czuwałby marszałek Szymon Hołownia

Gdyby prace obecnie działających sejmowych komisji śledczych oceniać w kategoriach rozrywki, to znakomicie spełniają swoją rolę. Weźmy choćby fragment przesłuchania przed komisją ds. wyborów korespondencyjnych, gdy jej przewodniczący Dariusz Joński pyta świadka Jacka Sasina, byłego wicepremiera i ministra aktywów państwowych, „czy chce skorzystać ze swobodnej wypowiedzi". A kiedy Jacek Sasin mówi: „Tak", Joński odpowiada: „Uchylam pana wniosek". To klasyka rozrywki rodem z Latającego Cyrku Monty Pythona. Albo weźmy Michała Szczerbę, przewodniczącego komisji ds. tzw. afery wizowej. Rozmawiając ze świadkiem Damianem Irzykiem, konsulem w Mumbaju, najpierw stwierdził, że podlegał on konsulowi „w Manili", żeby potem sprostować, że jednak „w Mumbaniu". Tu poseł Szczerba zbliżył się do skeczu Stanisława Tyma „Spikerka".

Komisja ds. Pegasusa rozpoczęła działalność 19 lutego 2024 r. (pod przewodnictwem Magdaleny Sroki, byłej policjantki, co jednak niczego nie przesądza ze względu na oryginalność tej osoby) i jeszcze nikogo nie przesłuchała, ale jej członkowie zapewne już wcześniej kogoś przesłuchiwali w wyobraźni. Bo np. poseł Tomasz Trela zadeklarował: „Ja jeńców brał nie będę. Tu będą bardzo zdecydowane przesłuchania od początku do końca". Nie od początku do połowy bądź trzech czwartych, tylko „do końca". Poseł Trela nie ujawnił, czym byłyby przesłuchania niezdecydowane. Nie może się też doczekać przesłuchania pierwszego świadka, którym ma być Jarosław Kaczyński.

Pod koniec lutego 2024 r. w Sejmie działały trzy komisje śledcze. Ich aktywność jest przedstawiana jako największe osiągnięcie nowego układu władzy, czyli Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy, a wręcz jako program rządów obecnej sejmowej większości. Wprawdzie komisje śledcze nie mają nic wspólnego z rządzeniem, za to mają wiele wspólnego z opowiadaniem o rządzeniu, ale to nieistotne. Istotne jest rozliczanie poprzedników.

PRZYSPIESZENIE KARIER

Komisje śledcze są powoływane dlatego, że wielu ich członków myśli o pierwszej z nich (ds. afery Rywina), która przyspieszyła polityczne kariery. Z grona własnych członków tamta komisja wylansowała Jana Rokitę, Zbigniewa Ziobrę i Tomasza Nałęcza. Jej potencjału nie wykorzystał Ryszard Kalisz, ale był w niej krótko i został zastąpiony przez Anitę Błochowiak. Ona z kolei zaistniała całkiem twórczo, ale bardziej jako bohaterka tabloidów niż śledcza i jako wynalazczyni „korytarzy pionowych".

Tabloidowo zaistniała też „pani od kurwików w oczach", czyli Renata Beger (zastąpiła Piotra Smolanę). Następne komisje nie tyle lansowały, ile osłabiały, nawet gdy niektórzy ich członkowie bardzo się starali, np. Roman Giertych w komisji ds. ORLENU. Doświadczenie uczy, że łatwiej jest podzielić los najnudniejszego szefa komisji

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5f6f9c76fc

śledczej w historii (Mirosława Sekuły, przewodniczącego komisji „hazardowej"), niż wybić się tak, jak Jan Rokita.

Co dziwne, na komisji ds. Pegasusa już w styczniu 2022 r. chciał się wybić sam Donald Tusk. Mówił wtedy w TVN24: „To już nie tylko komisja śledcza, ale prokuratura – po tym, kiedy stanie się znowu niezależna od polityków – i sądy będą miały ręce pełne roboty, także jeśli chodzi o kwestię Pegasusa. [...] I to jest ranga, która będzie uzasadnieniem już nie tylko dla komisji śledczej i dotyczy najważniejszych osób w państwie". Tusk dramatyzował: „jako szef Rady Europejskiej używałem [...] kilku telefonów i innych narzędzi. Mam nadzieję, że PiS nie posunął się do takich działań na moich telefonach w czasie, gdy byłem szefem RE, bo to by oznaczało, że PiS *de facto* podsłuchiwało innych premierów i prezydentów ze względu na moje codzienne kontakty z szefami państw i rządów. [...] To byłby skandal, który pogrążyłby nie tylko PiS, lecz także reputację naszego kraju, i to naprawdę na długie lata". Gdy Donald Tusk znowu został premierem, nie zgłaszał takich oczekiwań, choćby wobec komisji ds. Pegasusa.

Sejmowe komisje śledcze ekscytują nie dlatego (może poza tą pionierską, a i to przez krótki czas), że na ich posiedzeniach dochodzi do jakichś fundamentalnych odkryć. One ekscytują na takiej samej zasadzie, jak widowiska rozrywkowe: trochę cyrku, trochę kabaretu, melodramat, tragifarsa, szczypta groteski i jakieś skecze, czasem z elementami damsko-męskimi. Jeśli ktoś sądzi, że komisje to „Antygona", „Medea", „Ryszard III", „Król Lear" czy choćby „Makbet", jest w „mylnym błędzie" (jak mawia klasyk Lech Wałęsa).

Przez lata komisje tak spowszedniały i stały się tak nudne, że nawet przesłuchania ewidentnych kłamców (tak ponurych, jak i zabawnych) oraz osób mających pamięć gorszą niż złota rybka (a wedle najnowszych badań jej pamięć sięga ok. miesiąca) mało kogo ekscytują. Podczas przesłuchań muszą być ekscesy, żeby ktoś się nimi zainteresował, i to ekscesy na żywo docenione przez widownię. W tym przeszkadza utajnienie niektórych obrad, co z góry skazuje na klapę i szybkie zejście z afisza. Chyba żeby przedstawienie było tak słabe, że samo nie dałoby rady zejść z afisza już po premierze, co kiedyś napisał Antoni Słonimski w recenzji pewnej sztuki (tak było z komisją ds. afery hazardowej).

KOMISJE DLA KAŻDEGO

Trzy działające obecnie komisje śledcze to stanowczo za mało, jeśli chodzi o potrzeby rządzących. Tych komisji mogłoby być 23. Dlaczego aż tyle? Bo jeśli w każdej może być do 11 członków, a ci wywodziliby się tylko z sejmowej większości (248 posłów), żeby nikt nie rzucał kłód pod nogi, to 17 można by powołać w maksymalnym składzie, a 6 w składzie 10-osobowym i bez komisyjnego przydziału zostałby tylko marszałek Sejmu Szymon Hołownia.

> Przez lata komisje tak spowszedniały i stały się tak nudne, że nawet przesłuchania ewidentnych kłamców oraz osób mających pamięć gorszą niż złota rybka (a wedle najnowszych badań jej pamięć sięga ok. miesiąca) mało kogo ekscytują

W sejmowych komisjach śledczych można robić cokolwiek (znamy takie przypadki z przeszłości), więc ich funkcjonowanie nie wymaga żadnych specjalnych kwalifikacji. Funkcje przewodniczących powinny się więc znaleźć dla Klaudii Jachiry, Iwony Hartwich, Agnieszki Pomaskiej, Ewy Kołodziej, Aleksandry Gajewskiej, Kingi Gajewskiej, Henryki Krzywonos-Strycharskiej, Franciszka Sterczewskiego, Marty Wcisło czy Aleksandry Wiśniewskiej. Wszystkie 23 komisje śledcze powinny działać równolegle, żeby Polacy zobaczyli, że sejmowa większość ciężko pracuje. I ta „praca" powinna być transmitowana przez całą dobę, bo nie po to Bartłomiej Sienkiewicz zdobywał publiczne media, żeby teraz ich nie wykorzystać.

Wszystkie 23, a nie tylko trzy obecnie działające komisje zajmowałyby się wyłącznie Zjednoczoną Prawicą, a posłowie nie mieliby czasu na nic innego, powstałoby więc wrażenie wielkiej pracy, wykonywanej w dzień i w nocy. Gdyby jednocześnie pracowały 23 komisje angażujące 247 posłów koalicji rządzącej, nawet nie trzeba by tłumaczyć, dlaczego nie mają oni czasu na to, by przedstawić programy rządzenia czy jakieś projekty ustaw. Za to można by mówić, że bez komisji i ich ustaleń nie da się ani rządzić, ani nawet sformułować planu sprawowania władzy. Komisje to przecież najwyższa forma audytu rządów poprzedników. Nie byłoby też czasu na pracę w zwykłych komisjach sejmowych, więc nikt by nie wymagał, żeby wypełniały one swoje podstawowe funkcje. Powstałoby wrażenie, że cała sejmowa większość oddaje się wielkiej pracy dla Polski.

Po serii telewizyjnych i radiowych transmisji każdej z 23 komisji Polakom wszystko by się pomieszało i kojarzyliby tylko, że za tym wszystkim musi stać jakaś gruba afera. Szczegóły nie są ważne, bo z góry wiadomo, że winna jest Zjednoczona Prawica i chodzi tylko o przypisanie win konkretnym osobom. Sejm stałby się jedną wielką salą przesłuchań, a jedynymi wydawanymi przez marszałka Hołownię komunikatami byłyby zapowiedzi ich agendy. I miałby on (marszałek) tyle roboty, że nawet nie musiałby pamiętać, do czego właściwie służy Sejm. Ta izba pobiłaby wszelkie rekordy świata, gdy chodzi o moce przesłuchiwawcze, połączone z masą materiałów śledztw. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że papierowe wydruki ułożone w jedną stertę szybko przebiłyby wysokość Sejmu, a nawet Pałacu Kultury. Nikt nie miałby prawa się przyczepić, że nowa władza nie rządzi, skoro to nierealne bez kompletnego rozliczenia się z poprzednikami. A posłowie byliby najbardziej zapracowanymi ludźmi w Polsce, za co mogliby otrzymać specjalne premie i ordery.

Raporty końcowe powinny powstać od razu, bo przecież wszystko wiadomo z góry, tylko na koniec można by dodać jakieś nazwiska przesłuchiwanych, czyli winnych (zasada domniemania winy). I trwałoby to do jesieni 2027 r., czyli kolejnych wyborów parlamentarnych. W rzeczywistości byłyby to wybory do komisji śledczych, a przed nowym Sejmem stanęłoby ambitne zadanie pobicia rekordu 23 komisji.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Donald Tusk twierdził, że natychmiast po objęciu władzy odbuduje stosunki Polski z Unią oraz przywróci sprawczość naszej polityce europejskiej. Dotychczasowy bilans jego rządów wskazuje jednak, że nic takiego się nie stało

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

Porażka króla Europy

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Gdy Donald Tusk wracał do Polski, aby poprowadzić swoją formację do władzy, sprzyjająca mu propaganda przedstawiała go jako rycerza przybywającego na białym koniu. Twierdzono, że jest jednym z liderów Europy, członkiem elitarnego klubu decydującego o przyszłości naszego kontynentu. Wielkość Tuska miała sprawić, że po objęciu przez niego rządów, Polska niejako automatycznie zyska na znaczeniu i znajdzie się w gronie największych unijnych graczy.

Wyborcy, mocno już zmęczeni nieustanną przepychanką między Unią a prawicowym rządem w Warszawie, dali się w końcu nabrać na tę bajkę. Nowa władza pod przywództwem Tuska miała naprawić zepsute relacje z Brukselą i poprowadzić Polskę ku harmonijnej współpracy z Unią.

W warunkach kryzysu po pandemii oraz wojny na Ukrainie wielu ludziom wydawało się to bardzo ważne, ponieważ w powszechnym mniemaniu Unia ciągle stanowi kotwicę utrzymującą Polskę w strefie zachodniego dobrobytu. I nie ma tu znaczenia, że rzeczywistość coraz częściej odkrywa zupełnie inne oblicze UE, bo nastroje społeczne – jak pokazały choćby wyniki ostatnich wyborów – znacznie częściej kierują się emocjami niż chłodną logiką i faktami.

LIDER Z BAJKI

Z tego punktu widzenia bilans niespełna trzech miesięcy rządów Tuska może być sporym rozczarowaniem. Nic bowiem nie wyszło z wielkich planów wejścia Polski do samego jądra europejskiej polityki. Niczego nie rozgrywamy, wręcz przeciwnie – sami jesteśmy roz-

eprasa.pl 5f6f9c76fc

grywani, i to na znacznie większą skalę niż poprzednio, gdy rząd PiS toczył niekończące się boje z unijną oligarchią. Wtedy przegraliśmy wiele potyczek, bo Unia wytoczyła przeciwko Polsce potężne działa – polityczne i finansowe. Jednak dzisiaj też je przegrywamy, choć Tusk w niczym Unii nie wadzi. Wręcz przeciwnie, bardzo się przysłużył europejskim oligarchom, odsuwając PiS od władzy.

Mimo to Unia okazała się niewdzięczna dla króla Europy, bo wielki lider okazuje się jak dotąd bardzo nieskuteczny. Dowodzi tego pogłębiający się spór zbożowy z Ukrainą oraz zamieszanie wokół środków z KPO. Wygląda więc na to, że opowieści o wpływach Tuska w Europie były tylko „przenośnią", rodzajem bajeczki dla zakompleksionych fajnopolaków oraz wabikiem na tych wyborców, którzy łudzili się bezpodstawnie, że pod rządami nowej ekipy Unia będzie się wreszcie liczyć z Polską.

Dziś trudno odpowiedzieć na pytanie, z czego wynika tak słaba pozycja Tuska. Czy po prostu – jak widzi to wielu komentatorów po prawej stronie – jest on wyłącznie wykonawcą cudzych poleceń i kimś w rodzaju kamerdynera unijnych panów? Czy może został wystawiony do wiatru przez brukselsko-berlińskie elity?

Po zdobyciu władzy Tusk niewątpliwie nie otrzymał od Unii tak dużego wsparcia, jakiego mógłby oczekiwać. Komisja Europejska nie stanęła po stronie Polski w jej konflikcie zbożowym z Ukrainą. Zwlekała też z odblokowaniem obiecanych środków z KPO, a gdy w końcu Ursula von der Leyen obwieściła, że pierwsze pieniądze trafią do naszego kraju, okazało się, że na wykorzystanie większości środków może być już za późno.

Wymownym dowodem realnej pozycji Tuska w tak rzekomo naturalnym dla niego środowisku europejskich elit były zdjęcia z grudniowego szczytu Unii – pierwszego z jego udziałem w roli nowego premiera. Przy najważniejszym stole byli Emmanuel Macron, Olaf Scholz, Charles Michel i Ursula von der Leyen, ale dla Tuska, za którym tak tam wszyscy tęsknili, jakoś zabrakło miejsca.

ZAPACH KPO

Trudno nie zauważyć pewnych zmian w zachowaniu Tuska, zwłaszcza w porównaniu z jego poprzednią kadencją w roli szefa rządu czy z okresem, gdy obejmował wysokie stanowiska w Unii. Owszem, podczas kampanii wyborczej jeszcze trochę błaznował w starym stylu, choćby w internetowym filmiku, na którym udawał, że czyta „Upadek Cesarstwa Rzymskiego". Jednak było tego bardzo mało, a po objęciu rządów niemal całkiem się skończyło. Tusk jest na przemian ponury, spięty, wściekły lub zasępiony. Chyba nie da się tego wytłumaczyć wyłącznie metryką ani obsesyjnym pragnieniem zemsty na poprzedniej ekipie. To coś więcej.

> Środki z KPO muszą być rozliczone do końca sierpnia 2026 r., a to bardzo mało czasu. Wygląda więc na to, że obiecane pieniądze będziemy mogli jedynie powąchać. Bo wydać ich nie zdążymy

Oczywiście nikt z nas nie siedzi w głowie Tuska i nie odpowie na pytanie, co dziś najbardziej spędza mu sen z powiek. Jest jednak jasne, że okoliczności, w których przyszło mu sprawować władzę, są znacznie trudniejsze niż podczas jego poprzednich rządów. I że w związku z tym, bardzo wiele spraw nie idzie po jego myśli.

Dobrym przykładem są wspomniane środki z KPO. Unijna oligarchia od samego początku traktowała ten program jako instrument nacisku na Polskę. Oczywiście można dyskutować, czy rząd Morawieckiego dobrze zrobił, zgadzając się w tej sytuacji na udział w KPO. I choć z obecnej perspektywy tę decyzję można uznać a błędną, bo szybko się okazało, że dopóki rządzi PiS Polska nie otrzyma tych środków, wydaje się, że nie było łatwego wyjścia. Gdyby rząd odrzucił wtedy KPO, wystawiłby się nie tylko na wściekłe ataki antypisowskiej opozycji, lecz także byłoby to kompletnie niezrozumiałe dla opinii publicznej, która – jak już była o tym mowa – nie kieruje się w swoich ocenach chłodną kalkulacją. Krótko mówiąc, KPO było sprytnie zastawioną pułapką, w którą chcąc nie chcąc wpadł poprzedni rząd.

Dziś wygląda jednak na to, że KPO może się okazać również pułapką dla Tuska. Byłoby to szczególną ironią losu, bo przecież dawna antypisowska opozycja z Platformą na czele zrobiła w Unii naprawdę wiele, aby zablokować środki europejskie dla Polski i obalić PiS. Teraz jednak sama dostała w spadku ten gorący kartofel.

Problem z KPO jest taki, że przez ostatnie dwa lata program ten był przedstawiany jako zbawienie dla Polski. Ludzie mieli uwierzyć – i w dużym stopniu uwierzyli – w to, że bez europejskich pieniędzy Polska się zawali, wszyscy umrzemy z głodu, a na koniec rozjadą nas czołgi Putina. I że jedynie odsunięcie PiS od władzy daje nam gwarancję uniknięcia tego strasznego scenariusza.

Podczas kampanii wyborczej Tusk nieustannie powtarzał, że jak tylko obejmie władzę, to pieniądze z KPO – łącznie 60 mld euro – natychmiast zostaną odblokowane przez Unię i trafią do Polski. Gdy jednak 13 grudnia zasiadł w końcu w fotelu premiera, nic takiego nie nastąpiło. Co więcej, Komisja Europejska nadal oczekiwała spełnienia tzw. kamieni milowych. Było to zaskakujące, bo przecież wszyscy doskonale wiedzieli, że jedynym kamieniem milowym było tak naprawdę odsunięcie PiS od władzy.

Być może unijna oligarchia chciała dalej trzymać Tuska na uwięzi, a być może był to tylko teatr. Najbardziej prawdopodobne jest jednak zupełnie inne wyjaśnienie. Komisja Europejska

eprasa.pl 5f6f9c76fc

zwlekała, bo w unijnym budżecie po prostu nie ma pieniędzy. I gdy wreszcie 23 lutego Ursula von der Leyen ogłosiła w Warszawie odblokowanie środków europejskich – łącznie 136 mld euro (KPO plus fundusze spójności) – pojawił się kolejny problem. Otóż 60 mld euro środków z KPO musi zostać rozliczone do końca sierpnia 2026 r., a to bardzo mało czasu. Zbyt mało, aby zrealizować większość zaplanowanych inwestycji. Wygląda więc na to, że obiecane pieniądze będziemy mogli jedynie powąchać. Bo wydać ich nie zdążymy.

MISTRZOWSKA PARTIA

Część z obiecanych Polsce pieniędzy to środki z funduszy spójnościowych (76 mld euro), ale to tylko połowa kasy. Reszta, której możemy nie zobaczyć, to pieniądze z KPO (60 mld euro) – z czego 25 mld euro to dotacje, a 35 mld euro to pożyczki, które tak czy owak musimy spłacić.

Jeśli większość pieniędzy z KPO przepadnie, będzie to duży problem dla ekipy Tuska. Nie tylko wizerunkowy, lecz także ekonomiczny i polityczny. Bo na te środki ostrzyła już sobie zęby cała klientela obecnej władzy, od samorządów poczynając, a na przedsiębiorcach kończąc. Zakładano, że wielki zastrzyk pieniędzy z Unii stanie się paliwem dla gospodarki na kilka lat i będzie oznaką sprawczości Tuska, za co zostanie on wynagrodzony wzrostem poparcia w społeczeństwie. Bez tych pieniędzy może być jednak na odwrót.

Dlatego w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej trwa dziś gorączkowy audyt programów zgłoszonych do KPO. Chodzi o to, aby, jak powiedziała stojąca na czele tego resortu Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, zmieścić się w wyznaczonych terminach. Nie będzie to jednak łatwe, ponieważ aż 43 z 56 inwestycji zaplanowanych w KPO może nie zostać zrealizowanych na czas. Byłaby to katastrofa, za którą – co trzeba podkreślić – odpowiedzialność w dużym stopniu powinna ponieść obecna formacja rządząca. Bo to jej politycy przez dwa lata sprzeciwiali się wypłacie środków dla „pisowskiego reżimu" i w ten sposób przyczynili się do gigantycznego opóźnienia programu. Teraz, gdy już rządzą, prędko próbują naprawić szkody. Wydaje się jednak, że Unii wcale się nie spieszy, aby im w tym pomóc. Z punktu widzenia Brukseli byłoby zapewne najlepiej, aby Polska nie zdążyła z inwestycjami i otrzymała jak najmniej.

Taką oto mistrzowską partię rozegrał Tusk ze swoją ekipą. Kiwali i kiwali PiS, aż w końcu sami się zakiwali.

WYSTAWIONY DO WIATRU

W ostatnią środę Tusk zabrał głos w sprawie kryzysu zbożowego na granicy z Ukrainą. Ostro skrytykował antyunijne hasła wznoszone przez protestujących rolników i wypomniał im, że już wkrótce dzięki jego skuteczności do ich rąk trafią pierwsze pieniądze z KPO. „Prawie 1,5 mld euro powinno trafić do drobnych producentów żywności w Polsce, do drobnych firm i gospodarstw" – powiedział podczas konferencji.

> Dziś niczego nie rozgrywamy, wręcz przeciwnie – sami jesteśmy rozgrywani, i to na znacznie większą skalę niż poprzednio, gdy rząd PiS toczył niekończące się boje z unijną oligarchią

Słowa szefa rządu wzbudziły spore zamieszanie. Bo środki z KPO nie mogą być przesuwane na dowolne cele. Te zostały bowiem ustalone w programie zatwierdzonym przez Komisję Europejską w 2022 r. Przypomnijmy więc, że chodzi o pięć obszarów, licząc według przyznanych środków od najwyżej do najniżej wycenianego: zieloną energię i zmniejszenie energochłonności, zieloną mobilność, odporność i konkurencyjność gospodarki, ochronę zdrowia i – na koniec –transformację cyfrową. Jeśli więc rolnicy dostaną jakąś kasę z KPO, to tylko w ramach któregoś z powyższych punktów i na ściśle określonych zasadach. Nie stanie się to również z dnia na dzień – potrzebne są wnioski, uzasadnienie itd. Zresztą, jak wcześniej wspomniałem, konkretne inwestycje stoją pod znakiem zapytania i rząd chce tu dokonać sporych zmian. Zatem mówienie, że za kilka dni ktoś dostanie pieniądze z KPO, jest kpiną z ludzkiego rozumu.

Skoro jednak jesteśmy przy celach KPO, to warto zauważyć, że większość z nich dotyczy kwestii związanych z transformacją energetyczną i tzw. zielonym ładem. W praktyce chodzi m.in. o złagodzenie kosztów związanych z przejściem na nowe źródła energii. Jeśli zabraknie pieniędzy z KPO, a dziś jest to całkiem prawdopodobny scenariusz, to większość Polaków – i tak już zatrwożonych perspektywą nowych opłat i podwyżek – zostanie wyjątkowo mocno uderzona po kieszeniach. Bo nie będą mogli liczyć na żadne zapomogi, dotacje czy inne ulgi. I chociaż Tusk będzie pewnie znowu narzekał, że „w dwa tygodnie nie naprawi tego, co przez osiem lat leżało odłogiem", to chyba nie zdoła znaleźć zrozumienia opinii publicznej. Bo przecież miał być dla niej „zawodnikiem wagi ciężkiej", człowiekiem, który wykorzysta swoje znajomości w Europie i w ciągu 100 dni wszystko postawi na nogi.

Prawda jest taka, że sprawczość Tuska nie wynika z jego pozycji, wdzięku czy zagranicznych kontaktów, lecz w całości zależy od politycznego wsparcia Unii. Zresztą zawsze tak było. Tym razem Berlin i Bruksela mają jednak mnóstwo własnych kłopotów i Tusk coraz częściej musi sobie radzić sam. To będzie go zapewne skłaniać do jeszcze większej uległości wobec swoich patronów, co w dzisiejszej trudnej sytuacji może oznaczać zgodę na szeroką eksploatację Polski i co za tym idzie – wzbudzić społeczny opór. Znalazł się więc trochę pomiędzy młotem a kowadłem. Chyba trudno się zatem dziwić, że od kilku miesięcy humor mu nie dopisuje.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Wielka draka w rządzącej koalicji

Spór o aborcję w koalicji 13 grudnia przybiera na sile. Jednak to niejedyne pole konfliktu wśród rządzących. Koalicja spiera się także o program mieszkaniowy, Zielony Ład, CPK czy ZUS. Wszystkich niezmiennie łączy niechęć do PiS. Jednak na jak długo wystarczy tego paliwa?

DOROTA ŁOSIEWICZ

ABORCJA

Politycy rządzącej koalicji coraz ostrzej publicznie biorą się za łby. Np. wicemarszałek Włodzimierz Czarzasty oburzył się, że marszałek Szymon Hołownia oraz wicepremier Kosiniak-Kamysz blokują legalną aborcję i on „ma tego dość". Na to Hołownia odparł, że Czarzasty kłamie, a Tomasz Trela oskarżył Hołownię, że jest przeciwko kobietom. Polityczki Lewicy zorganizowały w Sejmie konferencję, na której twierdziły, że praw kobiet nie można włożyć do zamrażarki, a wyborcy rządzącej koalicji ze zdziwieniem mogli obserwować awanturę, do której doszło w studiu Radia ZET pomiędzy przedstawicielami koalicji rządzącej. Bohaterami starcia byli Marek Sawicki z PSL i Tomasz Trela z Lewicy.

„Jestem osobiście dość mocno wkurzony na to, co robi marszałek Hołownia. Ja rozumiem te jego efektowne docinki w stylu programu rozrywkowego. Natomiast to marszałek Hołownia pierwszy powiedział, że z jego gabinetu wyjeżdża zamrażarka" — mówił Trela, twierdząc, że 15 października frekwencja i poparcie w wyborach partii wchodzących dziś w skład koalicji 13 grudnia były efektem m.in. „pełnej mobilizacji kobiet i wiary w to, że zajmą się tym problemem". Sawicki nie pozostawał mu dłużny: „Zaapeluję do marszałka Czarzastego: Włodku, dlaczego masz pretensje i żale o to, na co żeśmy się nie umawiali" — powiedział, wskazując wprost, że obóz, w którym jest PSL, ma odmienne poglądy w kwestii liberalizacji aborcji. „Ostrzegam was przed jednym, bo mam wrażenie, że jeśli chodzi o liberalizację aborcji, wcale wam nie zależy na tym, żeby ją przeprowadzić, tylko żeby nią grać" — dodał bez ogródek poseł PSL. Zaapelował, żeby Lewica „przestała kombinować". Kłótnia skończyła się interwencją prowadzącego, bowiem rozmówcy krzyczeli na siebie tak, że trudno było uwierzyć, iż pochodzą z jednego obozu rządzącego.

Czy konflikt o aborcję jest realny, czy chodzi tylko o to, by się wyróżnić przed wyborami samorządowymi? „Temat aborcji może być źródłem poważnego konfliktu w koalicji" – mówił mi w telewizji wPolsce.pl Marek Balt, eurodeputowany Lewicy. „Wcześniej SLD, później Lewica przez wiele lat ponosiła konsekwencje tego, że PSL nie zgadzało się na złagodzenie prawa aborcyjnego w Polsce podczas współrządzenia z SLD. Wiele środowisk kobiecych miało do SLD bardzo duże pretensje o to, że podczas swoich rządów Lewica nie złagodziła prawa aborcyjnego. Ale byliśmy związani koalicjantem i nie mieliśmy większości w parlamencie do przeprowadzenia zmiany przepisów. Bardzo się boję, czy będzie taka większość w tym parlamencie, a przecież pan Kosiniak-Kamysz i pan Hołownia bardzo się lansowali podczas strajków kobiecych i popierali te strajki, a dziś próbują się wycofywać z tego wsparcia. Nie chciałbym, żeby ta sytuacja skończyła się podobnymi protestami tzw. czarny parasolek, organizowanymi tym razem nie przeciwko Zjednoczonej Prawicy, a przeciw rządzącej koalicji. Lewica nie chce być kojarzona z zakazem aborcji, będziemy bronili tego prawa, stoimy po stronie kobiet. To jest dla nas najważniejsze bez względu na to, czy z tego powodu ktoś nas będzie chciał w koalicji, czy nie. Politykę uprawia się nie dla stanowisk, ale po to, by zmienić świat. Ministrem się bywa, a człowiekiem, który ma serce po lewej stronie, jest się cały czas. Jeśli pan Hołownia będzie zamrażał projekty ustaw dotyczące praw kobiet, które chcą mieć swobodę podejmowania decyzji, to nie bardzo widzę możliwość dalszej współpracy" – mówił stanowczo europoseł z Lewicy.

Podobnie sprawę widzi Piotr Kusznieruk z Zarządu Krajowego Nowej Lewicy. „Ten konflikt o aborcję jest dosyć realny. Włodzimierz Czarzasty i Władysław Kosiniak-Kamysz wypowiadają się zgodnie ze swoimi programami wyborczymi – mówił. – Lewica obiecała załatwienie tej sprawy i traktuje ją jako pierwszoplanową w ramach swojego programu wyborczego. Chcemy, żeby to było załatwione. Istnieją bardzo duże wątpliwości

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Przy podpisywaniu umowy koalicyjnej były zapewnienia o „zgodnej i harmonijnej, przy różnicach poglądów", współpracy. Na konflikty w tym gronie nie trzeba było jednak długo czekać

odnośnie do projektu, który zgłasza Trzecia Droga, czyli powszechnego referendum. Polki i Polacy zdecydowali się głosować na Lewicę nie dlatego, że zapowiadaliśmy referendum, tylko zapowiadaliśmy załatwienie tej sprawy. A referendum może nie rozwiązać problemu, bo chciałem zauważyć, że z wyjątkiem 2003 r. i referendum w sprawie przystąpienia Polski do UE żadne inne nie miało wiążących skutków prawnych. Dlatego zrzucanie tej kwestii na referendum jest mało racjonalne. Tu chodzi o zdjęcie odpowiedzialności z polityków. Ktoś po prostu nie chce wziąć odpowiedzialności za własne głosowanie i proponuje rozwiązania zastępcze. Te rozwiązania zastępcze nie były elementem programu wyborczego Lewicy i dlatego kierownictwo w tej partii wypowiada się bardzo jasno. Czekamy na przedstawienie projektów, głosowanie w Sejmie i wtedy wszystkie karty zostaną odkryte. Odsuwanie tych projektów na okres po wyborach samorządowych czy europejskich to manipulacja" – mówił na antenie wPolsce.pl Kusznieruk.

„My nie musimy się odróżniać od PO czy od partii pana Hołowni, bo zawsze byliśmy różni od Platformy i od pana Hołowni. To jest partia jednej osoby, która ma na celu wprowadzenie pana Hołowni na funkcję prezydenta Polski. Kiedy to się stanie, ta partia straci cel swojego istnienia. A Lewica ma swoje cele programowe" – wyjaśniał Marek Balt.

Czy jednak koalicja rządząca może się rozpaść z powodu aborcji? „Nie wiem, czy może się rozpaść, bo istotne jest realizowanie całego programu, a na razie konflikt dotyczy jednego istotnego punktu. Z naszego punktu widzenia powrót do kompromisu aborcyjnego nie jest rozwiązaniem, a politycy muszą wziąć odpowiedzialność za swoje decyzje" – uważa Piotr Kusznieruk.

MIESZKANIA

Rzecz jednak w tym, że to niejedyne pole sporów w rządzącej koalicji. Innym jest kwestia programu mieszkaniowego, o który w mediach społecznościowych (i nie tylko) wielokrotnie spierali się politycy Lewicy i Trzeciej Drogi.

Gdy minister rozwoju i technologii Krzysztof Hetman ogłaszał projekt „Mieszkanie na start", odcinał się od niego senator Lewicy Krzysztof Kukucki, który w resorcie rozwoju odpowiada dziś za sprawy związane z budownictwem i mieszkalnictwem. Pomysł dopłat do kredytów krytykowali też inni politycy Lewicy. „Nie wierzę. Minister Hetman pytany o krytykę dopłat do kredytów chwali się, że będzie aż 1 mld na budownictwo społeczne. 1 mld na program podażowy. Przecież to ostatnia rzecz, jaką można się chwalić w dobie kryzysu mieszkaniowego. Nawet w 2023 r. było 1,65 mld i było to śmiesznie mało" – napisała na platformie X (d. Twitter) Dorota Olko, rzeczniczka Razem – partia do rządu nie weszła, ale go wsparła. Już w lutym minister Hetman próbował łagodzić spór. „W tej chwili w Ministerstwie Rozwoju i Technologii pracujemy nad trzema elementami wspierania budownictwa i mieszkalnictwa" – mówił minister w Sejmie, odpowiadając na pytania poselskie.

Piotr Kusznieruk, pytany m.in. o konflikt dotyczący programu mieszkaniowego, tłumaczył: „Polityka to sztuka kompromisu. Lewicę łatwo się punktuje, bo szliśmy do wyborów z precyzyjnym, konkretnym programem. Mamy program mieszkaniowy, w którym namawiamy samorządy do budowania tanich mieszkań pod wynajem i tu także próbujemy osiągnąć kompromis. Są istotne różnice programowe. Ale dobrze, że widać Lewicę i jej program oraz postulaty, które chce realizować, niezależnie od tego, czy one się podobają PSL i PO" – wyjaśniał członek Zarządu Krajowego Nowej Lewicy.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5f6f9c76fc

ZIELONY ŁAD

Wygląda na to, że także Zielony Ład może być kością niezgody. Podczas swojej ostatniej wizyty w Brukseli Czesław Siekierski, minister rolnictwa z PSL, ostro skrytykował Zielony Ład. Zdaniem polityka Komisja Europejska narzuciła na sektor rolniczy „nieracjonalne i kosztowne wymogi". Jak zaznaczał, zmiany mające przeciwdziałać kryzysowi klimatycznemu „doprowadziły do bankructwa wielu gospodarstw".

Anna Maria Żukowska, szefowa parlamentarnego klubu Nowej Lewicy, uważa jednak, że to nie Unia Europejska, ale rolnicy są w błędzie. Jej zdaniem protestujący nie potrafią zrozumieć, że Zielony Ład to rozwiązanie w ich interesie i zamiast przeciwko niemu protestować, powinni go popierać. „Rolników chciałabym mocno przekonywać do tego, że Zielony Ład jest konieczny właśnie po to, żeby im pomóc. Dlatego, że to rolnicy ponoszą największe straty związane z kryzysem klimatycznym: susze, powodzie, różnego rodzaju inne nagłe zjawiska meteorologiczne. Problem w tym, że oni nie przyjmują do wiadomości, że to się będzie powtarzało, ponawiało, będzie tego coraz więcej" – mówiła na antenie Radia ZET.

Najdalej poszła jednak wiceminister klimatu Urszula Zielińska z Koalicji Obywatelskiej, która na nieformalnym spotkaniu w Brukseli zapowiedziała, że UE, w tym Polska, „musi absolutnie przyjąć ambitne cele". Co to według niej oznacza? „Redukcję emisji CO_2 o 90 proc. do 2040 r.".

CPK

O tym, że CPK jest kością niezgody w koalicji, pisałam już wielokrotnie na łamach tygodnika „Sieci". Do parlamentarnego zespołu „Tak dla rozwoju. CPK – atom – porty", którego inicjatorem jest poseł PiS Marcin Horała, należą m.in. Anna Maria Żukowska i Paulina Matysiak z Lewicy. Ta druga swoim zapałem na rzecz CPK zaraziła także polityków Konfederacji, którzy przystąpili do zespołu. Matysiak zaskoczyła także podczas debaty sejmowej, gdy pytała przedstawicieli rządu o CPK, tłumacząc, że przyszłość projektu powinna łączyć ponad podziałami. Także Żukowska wspiera akcję „Tak dla CPK", choć politycy Koalicji Obywatelskiej najchętniej by ten projekt wygasili, nawet powołując się na nieistniejące ekspertyzy.

ZUS

Jednak mało kto wie, że także inne trzy litery podzieliły polityków KO, Lewicy i Trzeciej Drogi. „Wojna o ZUS trwa w najlepsze. Choć nie jest ona spektakularna medialnie, tarcia między koalicjantami widać jak na dłoni. Donald Tusk mówił 9 stycznia, że po złożeniu wniosku o odwołanie prof. Gertrudy Uścińskiej przez minister pracy Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk z Lewicy, nowego sternika w Zakładzie poznamy lada moment. Od tej wypowiedzi mija już ponad miesiąc, a stanowisko po byłej szefowej wciąż jest puste" – pisał niedawno portal Money.pl. Według jego informacji Tusk nie zgodził się na żadną z osób zaproponowanych przez Lewicę. Premiera miała nieco zaskoczyć szybka dymisja prof. Uścińskiej, uznanej w kraju ekspertki z zakresu ubezpieczeń społecznych. „Tusk nie spodziewał się tak szybkiego ruchu Lewicy, ale tę rozgrywkę obserwował z zaciekawieniem. Dlaczego? Ponieważ doszło do spięcia między koalicjantami, czyli Trzecią Drogą i właśnie Lewicą. Prof. Uścińska bardzo pomogła Ministerstwu Rozwoju i Technologii w pisaniu ustawy o wakacjach składkowych dla przedsiębiorców. Na czele tego resortu stoi Krzysztof Hetman z PSL. Kiedy Dziemianowicz-Bąk dowiedziała się, że ZUS bez jej zgody pomaga ministerstwu Trzeciej Drogi, wściekła się i z pretensjami zadzwoniła do prof. Uścińskiej. Niedługo później nastąpiła dymisja" – wyjaśniał rozmówca Money.pl.

> „Jeśli pan Hołownia będzie zamrażał projekty ustaw dotyczące praw kobiet, które chcą mieć swobodę podejmowania decyzji, to nie bardzo widzę możliwość dalszej współpracy" – stwierdził Marek Balt, europoseł z Lewicy

Jak donosi portal, wcześniej premier raz po raz nie zgadzał się na kandydatów lewicowych, a był wśród nich m.in. promowany przez to środowisko Sebastian Gajewski, obecny podsekretarz stanu w resorcie pracy. Dlaczego? „Chodzić ma o to, że ZUS to ponad 40 oddziałów w terenie, a wraz z inspektoratami grubo ponad 100 jednostek rozsianych po całej Polsce, takich jak Jawor czy Dębica. W każdej takiej jednostce prezes ma prawo odwołać i powołać swoich kierowników, zastępców kierownika oraz księgowych. Jest to armia ludzi w terenie. Tusk nie mógł pozwolić, żeby te frukty przeszły w ręce Lewicy. Nie przed wyborami samorządowymi, w których trzeba zachęcić działaczy do wytężonej pracy, a później nagrodzić. Gdyby sam się pozbawił setek intratnych etatów w samorządzie, byłby to duży błąd strategiczny" – wyjaśniał te zawiłości informator portalu.

W końcówce minionego tygodnia na biurko premiera trafiła nominacja na szefa ZUS dla Doroty Bieniasz, która w zarządzie Zakładu zasiada od maja 2016 r. Czy tym razem Tusk ją podpisze?

Koalicja 13 grudnia jest coraz mocniej rozrywana przez partyjne interesy, biorące górę nad współpracą. „Różnego rodzaju lokalne ambicje uniemożliwiły wspólny start na poziomie wyborów samorządowych. Szkoda. Liczyłem, że uda się stworzyć pakt samorządowy na wzór paktu senackiego, ale personalne interesy w Platformie zwyciężyły nad porozumieniem koalicyjnym" – tłumaczył mi brak wspólnej listy w wyborach samorządowych Marek Balt, eurodeputowany z Lewicy.

Na jak długo wystarczy rządzącej koalicji spoiwa, którym jest niechęć do PiS? Przy tak dużej liczbie konfliktów, które ujawniły się nim minęło 100 dni rządu, może się okazać, że nie wystarczy go na całą kadencję.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Chorzy z nienawiści

To, kto dziś nami rządzi, pokazuje stosunek do chorego Zbigniewa Ziobry. Posłanka Sroka chce weryfikować prawdziwość jego zwolnienia lekarskiego uniemożliwiającego stawienie się przed komisją śledczą, a poseł Bosacki organizować przesłuchanie byłego ministra sprawiedliwości w szpitalu. Wspierają ich ordynarne insynuacje politycznych i medialnych celebrytów. Szambo wybiło

MACIEJ WALASZCZYK

Fot. Andrzej Wiktor

Były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro walczy z niebezpiecznym nowotworem. Wiemy to od ponad dwóch miesięcy. W przypadku osoby publicznej, w realiach demokratycznego państwa i błyskawicznego obiegu informacji, takiej choroby nie da się utrzymać w tajemnicy, a tym bardziej symulować. Nawet z powodów politycznych. Poza tym dla każdego trzeźwo myślącego człowieka, który zetknął się z praktyką leczenia szpitalnego, zaaranżowanie takiej mistyfikacji z udziałem dziesiątek osób, instytucji, dokumentów zawierających wyniki badań czy finansowych rozliczeń jest absurdem, nad którym trudno przejść do porządku dziennego. Kolejne medialne wrzutki, najczęściej pozostające bez odpowiedzi, zmuszają do zabrania głosu w tej sprawie. Pokazują też, kim są ludzie, którzy biorą udział w tej nagonce. Wielu z nich to politycy obozu rządzącego, stojący w jednym szeregu z patocelebryckim półświatkiem. Od jakiegoś czasu wszyscy sączą spekulacje, sugerujące, że były minister chce uniknąć pytań podczas posiedzeń sejmowych komisji śledczych.

Jeszcze przed Bożym Narodzeniem w dość nonszalanckim tonie dywagował na ten temat np. Arkadiusz Myrcha. „Musimy wierzyć doniesieniom medialnym, że ma problemy zdrowotne, ale wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, kiedy wróci, co tam się faktycznie stało i nie jest to próba unikania kłopotów oraz odpowiedzialności, która po prostu na niego czeka" – mówił z niedowierzaniem w rozmowie z jedną rozgłośni radiowych obecny wiceminister sprawiedliwości. Po tym ruszył „przemysł pogardy", tworzony przez ludzi trudniących się tego rodzaju działalnością nie od dziś. Zbigniew Stonoga mówił, że Zbigniew Ziobro nie jest chory, „nic onkologicznie mu nie dolega, opuścił już szpital i wyjechał z Polski do Włoch razem ze swoją żoną". Zapowiadał złożenie zawiadomienia do prokuratury na lekarzy z Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej. Roman Giertych snuł fantazje, że Ziobro „rozpoczął operację wyprowadzania swojej rodziny z kraju".

Wreszcie na początku lutego br. poseł Marcin Warchoł, jeden z bliskich współpracowników Ziobry, wystosował apel, w którym zwrócił się o zaprzestanie politycznych sporów wokół lidera Suwerennej Polski na czas leczenia. „Zbigniew Ziobro walczy dziś o życie" – oświadczył. Podkreślił, że chce wrócić do swoich obowiązków, nie ukrywa się, nie uciekł i udostępni całą dokumentację medyczną biegłym, np. w związku z pracami komisji śledczej. A jak tylko wyzdrowieje, stanie przed nimi jako świadek.

Mimo to wciąż pojawiają się nacechowane złą wolą wrzutki, sugerujące symulowanie choroby i chęć ucieczki za granicę przed falą politycznych rozliczeń. W Sejmie, będącym miejscem pracy

eprasa.pl 5f6f9c76fc

posła, jego zwolnienia lekarskie są składane regularnie; jak potwierdzał m.in. wicemarszałek Piotr Zgorzelski, nie podlegają one żadnej wątpliwości. „Nikt nie ma żadnego dokumentu na temat stanu zdrowia Ziobry" – oświadczył jakiś czas temu Grzegorz Napieralski z KO.

LEKARSKA DIAGNOZA

Pierwszy wyraźny i niepokojący sygnał, że ze zdrowiem szefa Suwerennej Polski dzieje się coś złego, pojawił się w czasie pierwszego posiedzenia Sejmu X kadencji. Chrypka, dyskretne trudności w mówieniu mogły dawać do zastanowienia. W połowie grudnia Zbigniew Ziobro nie pojawił się Sejmie i nie uczestniczył w głosowaniach nad wotum zaufania dla dwutygodniowego rządu Mateusza Morawieckiego ani rządu Donalda Tuska. Początkowo jego nieobecność została zinterpretowana jako polityczna manifestacja niechęci wobec byłego już premiera. Dość szybko okazało się jednak, że jeszcze tego samego dnia trafił do Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej.

Wszystko zaczęło się kilka tygodni wcześniej, już po wyborach. W badaniu radiologicznym tomografii komputerowej, wykonanym 7 listopada ub.r. w poradni gastrologicznej Państwowego Instytutu Medycznego MSWiA, stwierdzono podejrzenie nowotworu przełyku. Zbigniew Ziobro odebrał jego wyniki dokładnie 13 listopada, a więc w dniu, w którym Sejm X kadencji zainaugurował działalność. Wygłosił na tym posiedzeniu mocne przemówienie, skierowane przede wszystkim pod adresem Donalda Tuska. Od kilku godzin miał już świadomość, że jest to nowotwór o dużym stopniu zaawansowania. Mimo nalegań lekarzy, że terapię należy rozpocząć natychmiast, postanowił jeszcze przez kilka dni być publicznie aktywnym, w końcu został ponownie powołany do nowego rządu. Ale wrócił już tylko po to, by podjąć ostatnie decyzje i zamknąć część spraw związanych z jego pracą w resorcie sprawiedliwości.

W wyniku badania histopatologicznego, wykonanego 24 listopada ub.r. w pracowni endoskopowej warszawskiego szpitala MSWiA, potwierdzono diagnozę: „nowotwór złośliwy, zlokalizowany w dolnej części przełyku". Sytuacja była na tyle poważna, że lekarze zdecydowali o natychmiastowym przeprowadzeniu kolejnego badanie PET-CT, czyli pozytonowej tomografii emisyjnej, które zostało wykonane w Centralnym Szpitalu Klinicznym MSWiA. W badaniu przeprowadzonym 4 grudnia ub.r. stwierdzono „aktywnego metabolicznie raka przełyku z zajęciem węzłów chłonnych poniżej przepony". Jak wiadomo PET to w diagnostyce nowotworów badanie bardzo szczegółowe i dokładne, pozwalające zlokalizować obecność wszystkich zmian nowotworowych w organizmie pacjenta. Diagnoza potwierdziła również konieczność podjęcia natychmiastowego leczenia i przerwania jakiejkolwiek aktywności publicznej.

> W Sejmie, będącym miejscem pracy posła Ziobry, jego zwolnienia lekarskie są składane regularnie; jak potwierdzał m.in. wicemarszałek Piotr Zgorzelski, nie podlegają one żadnej wątpliwości. Mimo to hejt trwa

W grudniu okazało się więc, że choroba jest w bardzo zaawansowanym stadium, dlatego po konsultacjach w kilku ośrodkach onkologicznych Zbigniew Ziobro bezzwłocznie musiał rozpocząć natychmiastową i radykalną terapię. Jest ona jedynym sposobem na uratowanie jego życia. Okazało się, że trudne dla zdrowia, ale dające nadzieję leczenie zaproponował zespół lekarzy pod kierunkiem prof. Elżbiety Starosławskiej w Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej Lublinie. Tam przeprowadzono kolejne biopsje, badania tomografem i rezonansem magnetycznym. Lekarze z tego ośrodka mają bardzo duże doświadczenie w leczeniu raka przełyku, w tym chirurgii onkologicznej. Przez jakiś czas się zastanawiali, czy w tej sytuacji należy podjąć się jego zoperowania. Ostatecznie zdecydowano, że pacjent powinien poddać się temu zabiegowi; obecnie jest przygotowywany na jego przeprowadzenie.

ZŁA WOLA I ZŁE INTENCJE

Osoba hospitalizowana i poddana wielomiesięcznemu leczeniu znajduje się pod opieką dziesiątek osób spośród personelu szpitalnego, nie jednego, lecz wielu lekarzy, wykonujących nieustannie badania diagnostów, techników medycznych, kilku zmian pielęgniarek, salowych, fizjoterapeutów. W takiej sytuacji trudno cokolwiek ukryć. Mimo to z odmętów medialnego szamba wynurzają się kolejni hejterzy.

Janusz Palikot, dziś aferzysta i przygasła już polityczna gwiazda, kilka dni temu insynuował, że choroba Ziobry jest, jak napisał, „ustawką szefowej onkologii w Lublinie". Za nim Eliza Michalik w agresywnym tonie oskarżyła Zbigniewa Ziobrę o symulowanie „strategicznej choroby" i „walki o życie". „Profesjonalna akcja PR-owa zawsze tak wygląda w przypadku polityka, który się chce wycofać" – rzuciła, zapowiadając, że przeprosi za swoje słowa wtedy, gdy Ziobro umrze. Kropka.

Gdy w wyszukiwarkę internetową wpiszemy frazę: „Rak przełyku rokowania" dostajemy informację, że jest to groźna, podstępna i trudna do wyleczenia choroba nowotworowa. „Operacje radykalne wykonuje się u 30–50 proc. pacjentów, ale jedynie 10–25 proc. z nich przeżywa po operacji dłużej niż pięć lat" – czytamy. Raka trudno udawać. Na razie przewodnicząca komisji śledczej ds. Pegasusa Magdalena Sroka z Trzeciej Drogi bohatersko zapewniała, że nie zrezygnuje z przesłuchania byłego ministra sprawiedliwości. Mimo informacji, w których posiadaniu jest np. marszałek Sejmu, zapowiada, że leczący się były minister otrzyma wezwanie na przesłuchanie, a ewentualne zwolnienie lekarskie będzie weryfikowane przez biegłych. Poseł Marcin Bosacki z Koalicji Obywatelskiej odgraża się nawet, że przesłuchanie można zorganizować także poza Sejmem. Choćby w szpitalu.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Kto nakręca kryzys rolny z Ukrainą?

Kryzys polsko-ukraiński dotyczący produkcji rolnej stał się gwoździem do trumny nadziei na sojusz Warszawy i Kijowa. Ale z zapałem nadal walą w niego młotkiem dezinformacji różnej maści prowokatorzy i nieznani sprawcy

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Ten problem można było rozwiązać już dawno. Rosyjska inwazja na Ukrainę spowodowała trudności w eksporcie broniącego się kraju i naturalna droga wywozu płodów rolnych prowadziła i prowadzi przez Polskę. Nagły wzrost podaży żywności wywołał kryzys cenowy i polski rolnik, ograniczany unijnymi obostrzeniami, nie mógł sprostać kosztom produkcji, co po dwóch latach skończyło się kryzysem finansowym na polskiej wsi.

ROLNICY MAJĄ RACJĘ

„Niektórzy nie mają na paliwo, żeby wyjechać w pole, bo pszenica drastycznie tanieje i nikt jej nie chce odebrać" – mówi tygodnikowi „Sieci" Łukasz Pergoł, rolnik z powiatu działdowskiego. „Sytuacja jest dramatyczna. Dlatego te protesty są tak duże, bo wielu rolników ma problem z funkcjonowaniem gospodarstw. Przecież obowiązków nam nie brakuje, mamy swoje zwierzęta, pola, swoje rodziny, którymi się zajmujemy, a jednak musimy stać na barykadach i tłumaczyć, co się dzieje z polskim rolnictwem".

Rząd Zjednoczonej Prawicy potrafił wbrew Unii Europejskiej wprowadzić embargo na ukraińskie produkty. Pomagał w ich wywożeniu do innych krajów, ale ograniczał zalew polskiego rynku. Unia zatwierdziła to z opóźnieniem, ale później próbowała te obostrzenia usunąć. A co robi rząd Tuska? Zapowiada jedynie rozmowy i szukanie rozwiązań. W tym czasie Unia Europejska zliberalizowała przepływ towarów z Ukrainą – to miał być ukłon w stronę Kijowa, ale kosztem zwłaszcza polskiej wsi, która jest najbardziej narażona na wzrost podaży produktów.

Na to wszystko nakłada się dezinformacja, która przez prowokacje, podkręcanie emocji i zwyczajne kłamstwa wykreowała na Ukrainie fatalny obraz Polaka, która wbija „nóż w plecy" napadniętemu narodowi. Atmosferę podgrzała konsul generalna RP we Lwowie. Eliza Dzwonkiewicz potępiła polskich rolników i przeprosiła „drogich ukraińskich przyjaciół". „Nie mogę udawać, że nie widzę tych hańbiących Polskę działań na granicy polsko-ukraińskiej". Jej wypowiedź szybko obiegła ukraiński internet: „Prawdziwy Polak nigdy nie zadałby ciosu w plecy walczącym o wolność sąsiadom". Sytuację porównała do postawy Rosjan w trakcie powstania warszawskiego. „Byłam przekonana, że tylko ruscy mogą spokojnie patrzeć, jak inny naród się wykrwawia".

Internet obiegły mocne obrazki – prowokatorski transparent na traktorze polskiego rolnika, wzywający Putina do rozprawienia się z Ukrainą, sceny z wysypanym polskim zbożem na drodze przy granicy oraz wielkie ilości ziarna, sypiące się z wagonów kolejowych pod Bydgoszczą. Jednak rolnicy stanowczo odcinają się od tej ostatniej sceny. Nie wiemy, kto tak naprawdę wysypał zboże z pociągów, a wygląda to na prowokację, bo był to akurat transport legalnie jadący tranzytem do Gdańska.

Na Ukrainie dodatkowo rozprzestrzeniane są fałszywe informacje, jakoby Polacy blokowali transport broni transportowanej na front. To tak jawna nieprawda, że trudno ją prostować. Przecież wiadomo, że takie konwoje jadą na specjalnych prawach.

„Rozmowy z ukraińskimi kierowcami są spokojne – mówi tygodnikowi „Sieci" Łukasz Martyn, lider protestów w przygranicznej Medyce. – Oni nas rozumieją, my staramy się ich zrozumieć, bywa, że częstujemy ich kawą, herbatą, ale musimy protestować. Czasem puszczamy konkretne pojazdy, np. matkę z dzieckiem. Nawet fizycznie nie mielibyśmy możliwości blokować przejazdu dla wojska, to nie jest tak, że mamy tutaj zupełną swobodę przy granicy" – dodaje.

PRZESTAWIANIE WAJCHY

Innym rozpowszechnianym kłamstwem jest opowieść o rzekomym imporcie do Polski zboża z... Rosji. „Rosyjski udział w rynku rolnym zarówno w Polsce, jak i w Europie jest marginalny" – wyjaśnia tygodnikowi „Sieci" Karol Olszanowski, prawnik i analityk rynków rolnych. „W eksporcie na nasz kontynent Rosję wyprzedza nawet Peru czy Wybrzeże Kości Słoniowej, więc mówienie o rosyjskim zbożu w Polsce jest prymitywną propagandą".

Olszanowski szczegółowo przygląda się sytuacji ukraińskiego i polskiego rolnictwa. Na podstawie danych Komisji Europejskiej analityk stwierdza, że „Ukraina dostarcza wartościowo ok. 10 razy więcej zbóż do Unii Europejskiej niż Rosja", zaś głównymi odbiorcami ziarna z walczącego kraju są Chiny (8 mln t), Hiszpania (6 mln t) i Turcja (ponad 3 mln t). Kłamstwo, jakoby Polska kupowała rosyjskie zboże, ma więc podgrzewać atmosferę i napięcia polsko-ukraińskie.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Olszanowski zwraca uwagę na jeszcze jedną rzecz: „Od sierpnia 2022 r. z przerwami, a od lipca ub.r. cały czas funkcjonują porty czarnomorskie, więc najwięksi importerzy ukraińskich produktów rolnych wywożą je stamtąd statkami, co jest dla nich bardziej opłacalne".

Na Ukrainie ktoś jednak przestawił wajchę w relacjach z Polakami. „Nie pokazujemy już Andrzeja Dudy" – mówi tygodnikowi „Sieci" dziennikarz z Kijowa, który nie chce zdradzać personaliów. „To znaczy my chcemy czasem zacytować waszego prezydenta, ale wtedy ktoś z góry mówi enigmatycznie, że »nie trzeba, nie trzeba«". Pytanie o narodowość wajchowego jest zasadne i tygodnik „Sieci" pisał o tym wielokrotnie.

W lipcu 2023 r. do Kijowa przyjechał nowy ambasador Niemiec i od tamtego czasu wektor polityki zagranicznej rządu Denysa Szmyhala szybko się zmienił. Berlin zaczął kusić Ukrainę perspektywą szybkiego i łatwego wejścia do Unii Europejskiej, a walczący naród naprawdę marzy o wejściu do tej wspólnoty. Ukraiński rząd zaczęto urabiać, ale nie usprawiedliwi to Zełenskiego czy Szmyhala. I nie chodzi tylko o zmianę stosunku do Polski, ale o nagły wzrost zaufania do Niemiec. Skąd pewność, że w przyszłości Berlin postawi na Kijów, a nie na Moskwę, zwłaszcza po rozstrzygnięciu amerykańskich wyborów prezydenckich?

Ukraina pod wojenną ścianą jest bardziej podatna na naciski z Zachodu, ale nie musiała przyjmować antypolskiej retoryki. Zapłacą za to przede wszystkim zwykli ludzie.

GRY BRUKSELI, GRY MOSKWY

Mamy więc do czynienia ze stratami polskich rolników oraz autentyczny problem gry wywiadów i dezinformacji wokół spraw polsko-ukraińskich. Nieznani sprawcy wysypujący zboże z wagonów, tysiące fake newsów w ukraińskim internecie i niefrasobliwe wypowiedzi w stylu polskiej konsul we Lwowie nakręcają atmosferę już nie niechęci, ale rodzącej się polsko-ukraińskiej wrogości.

Warto to podkreślić: nie ma żadnej dziejowej konieczności, w której Polak i Ukrainiec muszą żyć w niezgodzie i się ze sobą spierać – to rosyjska inwazja na Ukrainę, a później konkretne działania Brukseli i Berlina nakręciły kryzys w rolnictwie, który trzeba było rozwiązać na szczeblu międzynarodowym. Ciekawą interpretację dodaje tu wcześniej cytowany Łukasz Pergoł: „Ten kryzys jest Brukseli na rękę, bo Europa kosztem rolników zbija inflację. Energia jest droga przez Zielony Ład, to sobie organizują tańszą żywność, bo to może uspokoić nastroje społeczne".

Przed Polską i Ukrainą stała historyczna szansa na partnerstwo, ale Kijów wybrał Niemcy, a Polacy Donalda Tuska. Nie ma komu zadbać o koncepcję Trójmorza z udziałem Ukrainy.

A oficer z północy obwodu kijowskiego powiedział wprost, że aktywność rosyjskiej dezinformacji wokół granicy polsko-ukraińskiej nie jest taka bezcelowa. „Rosjanie szykują nową ofensywę. Obawiam się, że z północy. To nakręcanie emocji wokół protestów na granicy może być później wykorzystane do prawdziwego sabotażu i zwalenia winy na Polaków. Tutaj mamy najprawdziwszą wojnę – taka akcja to drobiazg dla rosyjskich służb".

Fot. Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Uratował szkołę przed likwidacją, teraz chce postawić miasto na nogi

„Wierzę, że wygram. Z pokorą będę zabiegał o każdy głos i za każdy głos będę niezwykle wdzięczny" – mówi Dariusz Litwiniuk, kandydat na prezydenta Białej Podlaskiej. To on powalczy o odbicie stolicy południowego Podlasia z rąk Platformy Obywatelskiej

Białą Podlaską rządzi mini Trzaskowski. Tak samo dba o swój uśmiech, tak samo stara się zaimponować mieszkańcom tym, jaki jest „światowy", i podobnie jak włodarz Warszawy jest znany z niestandardowego rozumienia pojęcia „pracowitość". To pojeździ na rowerze, to na hulajnodze. Pokrzyczy na proaborcyjnej demonstracji, a potem naklei sobie serduszko WOŚP. Zagra na gitarze albo wystąpi w teatrze. Jest chwalony przez „Gazetę Wyborczą", a na wyborczym wiecu po plecach klepali go prawdziwy Trzaskowski i sam Donald Tusk.

Tylko że pod rządami Michała Litwiniuka z Platformy Obywatelskiej miasto rozwija się tak sobie, inwestycje są opóźnione, podwyżki za usługi komunalne drakońskie, a niezadowolenie mieszkańców rośnie.

KOJARZYĆ SIĘ Z PRACĄ

– Chcę, żeby urząd prezydenta znowu kojarzył się przede wszystkim z ciężką pracą. Nie mam żadnych politycznych ambicji, nie ciągnie mnie do Warszawy. Jestem samorządowcem i wiem, co zrobić, żeby nasze miasto krok po kroku stawało się lepszym, fajniejszym miejscem do życia. Mam na to konkretne pomysły i konkretne rozwiązania – mówi Dariusz Litwiniuk, przewodniczący Klubu Radnych PiS w bialskiej radzie miasta i kandydat prawicy na prezydenta Białej Podlaskiej.

W 1999 r. rząd AWS przeprowadził reformę administracyjną. Biała Podlaska, i tak już mocno dotknięta transformacją ustrojową, straciła status miasta wojewódzkiego. To był ostateczny cios dla przygniecionego bezrobociem, szarego i coraz bardziej zapuszczonego miasta. Ci, którzy mogli, wyjeżdżali. Do Warszawy, za granicę. Wracali nieliczni.

Dariusz Litwiniuk kończył właśnie studia w bialskiej filii warszawskiej AWFiS. W jego rodzinnym Sitniku pod Białą Podlaską niewielu chciało się wtedy bić o dobre wykształcenie – on był wytrwały. Podstawówka u siebie, technikum ochrony roślin w nieco większej Leśnej Podlaskiej, studia w stolicy regionu. Litwiniuk nie chciał nigdzie wyjeżdżać. Ale kiedy dowiedział się, że w szkole zarobi na stażu 750 zł i będzie musiał za to utrzymać rodzinę, zaczął szukać innych pomysłów na życie. Coraz bardziej desperacko.

– Władzę w Polsce przejęło SLD. Tutaj praca naprawdę stała się dobrem luksusowym, zwłaszcza taka, która pozwalała normalnie żyć. Nie udało mi się znaleźć niczego na miejscu. Musiałem się spakować, zostawić żonę oraz pierwsze dziecko i ruszyć w świat – mówi Dariusz Litwniuk.

Pojechał na Zachód. Trudnił się budowlanką. Było ciężko, ale z dnia na dzień coraz lepiej. Zaczął sprowadzać do pracy ludzi z Polski, w Białej Podlaskiej zarejestrował działalność gospodarczą, bo chciał, żeby wszystko było zgodne z prawem. Powstał z tego mały biznes. Ekipa Litwiniuka pracowała m.in. przy renowacji zabytkowych zameczków w okręgu Bordeux we Francji.

– Zetknąłem się tam z zupełnie nowymi, nieznanymi wtedy w Polsce technologiami. Naprawdę wiele się nauczyłem, także w kwestii zarządzania niewielką firmą. Postanowiłem wracać i skorzystać z tych doświadczeń – mówi Dariusz Litwniuk.

ROZBITY UKŁAD

Być może prowadziłby swój budowlany biznes do dzisiaj, gdyby nie prezydent Białej Podlaskiej Andrzej Czapski.

Fot. Materiały prasowe

5f6f9c76fc

Dawny działacz Solidarności, Kongresu Liberalno-Demokratycznego, potem wojewoda bialskopodlaski, który dzięki układowi z postkomunistami w 1998 r. zdobył władzę w mieście. Rządził żelazną ręką przez kolejne kadencje, podejmując coraz mniej popularne decyzje – i tak w Białej nikt nie mógł mu podskoczyć.

Jednym z kolejnych ruchów Czapskiego była decyzja o likwidacji Szkoły Podstawowej nr 7 w peryferyjnej dzielnicy Sielczyk. Rodowód placówki sięgał lat 20. ub.w., chodziły do niej dzieci Dariusza Litwiniuka. On sam, razem z innymi rodzicami, poświęcił wiele czasu, potu i pieniędzy, by placówka mogła funkcjonować. Mieszkańcy osiedla pomogli wybudować kotłownię, zainstalować centralne ogrzewanie, rozbudować świetlicę i zrobić porządne boiska. Miasto też zainwestowało – wyremontowało dach, toalety, wymieniło okna, kupiło nowe ławki i krzesła.

– Byłem zaskoczony i, co tu dużo mówić, wkurzony decyzją władz miejskich – wspominał po latach Dariusz Litwiniuk. – Jak się szybko okazało: nie ja jeden. Zaczęliśmy się spotykać u mnie w domu. Powołaliśmy Społeczny Komitet Wsparcia, napisaliśmy do prezydenta miasta apel o zaniechanie zamiaru likwidacji szkoły. Podpisało się pod nim 618 mieszkańców Sielczyka.

Ludzie Czapskiego rozkładali ręce: pieniędzy nie ma i nie będzie, szkołę trzeba zlikwidować, niech dzieci chodzą do innej, a rodzice mają siedzieć cicho.

Niedługo potem prezydent Białej Podlaskiej zdobył ogólnopolską sławę – ze względu na oszczędności wyłączył miejskie latarnie. Rządzone przez postkomunistyczne, peeselowskie i postsolidarnościowe elity miasto pogrążyło się w ciemnościach, stając się po prostu pośmiewiskiem.

Dariusz Litwiniuk jest uparty i nie zamierzał czapkować Czapskiemu. Razem z innymi mieszkańcami Sielczyka walczył dalej. Aby ta walka była skuteczniejsza, postanowili założyć stowarzyszenie. Ponieważ nie było wśród nich prawnika, poszli do biura senatora Grzegorza Biereckiego i poprosili o pomoc w napisaniu statutu.

– I tak się stało. Stowarzyszenie Dobra Szkoła powstało w kwietniu 2012 r., dwa miesiące później zostało formalnie zarejestrowane. Wsparł nas senator Bierecki oraz ówczesny radny Dariusz Stefaniuk. Sprawa robiła się coraz głośniejsza. Prezydent Czapski uznał, że lepiej się z nami dogadać, niż wojować. Uratowaliśmy szkołę – podkreśla Dariusz Litwiniuk.

Biała Podlaska przekazała placówkę Stowarzyszeniu – Szkoła Podstawowa nr 7 stała się katolicką Społeczną Szkołą Podstawową im. Henryka Sienkiewicza. A Dariusz Litwiniuk, zachęcany przez towarzyszy walki, został radnym. Wystartował z komitetu Prawa i Sprawiedliwości, dostał ponad 700 głosów. Więcej krzyżyków postawiono tylko przy nazwisku innego Dariusza – Stefaniuka. Młody polityk PiS niespodziewanie rozbił układ i wywalczył prezydenturę.

> „Chcę, żeby urząd prezydenta kojarzył się z ciężką pracą" – mówi Dariusz Litwiniuk

ROZWOJOWY KOP

Za rządów duetu Dariuszów – Litwiniuk został bowiem przewodniczącym rady miasta – Biała Podlaska dostała rozwojowego kopa. Miasto odżyło, zaczęły się duże inwestycje, bezrobocie spadło do poziomu niewidzianego tu od upadku komuny.

– Były i błędy, to jasne, ale jestem dumny z każdej rzeczy, którą udało nam się zrobić – mówi Dariusz Litwiniuk.

W 2018 r. ostatecznie pożegnał się z biznesem i przeszedł do służby cywilnej. Rozpoczął pracę w oddziale lubelskiego Urzędu Marszałkowskiego, został też prezesem Społecznej Inicjatywy Mieszkaniowej „Południowe Podlasie". To spółka non-profit, zrzeszająca kilkanaście gmin z regionu. – Będziemy budować ładne, wygodne i tanie domy na wynajem dla mieszkańców tych gmin. Jeśli się uda, zmienimy życie wielu ludzi. Znów czuję się trochę jak w czasach Dobrej Szkoły. Działamy wspólnie, oddolnie i wierzymy, że wygramy – mówi Dariusz Litwiniuk.

Walk wygranych w trudnych warunkach nie brakuje także w bialskiej radzie miasta, gdzie Litwiniuk pełni funkcję szefa opozycyjnego klubu PiS. Przykład? Gazyfikacja miasta. To on przeforsował projekt zmniejszający z 15 zł do 1 zł opłatę za zajęcie 1 m^2 pasa drogowego na przyłącza gazu. Dzięki temu udało się wreszcie zgazyfikować Sielczyk. A mieszkańcy Białej Podlaskiej nie muszą już jeździć do Siedlec albo Lublina, żeby załatwić sprawy z PGNiG – do kierowanej przez Dariusza Litwiniuka filii Urzędu Marszałkowskiego udało się ściągnąć Biuro Obsługi Klienta gazowniczej spółki.

KOLEJNA KAMPANIA

20 lutego oficjalnie rozpoczęła się jego kampania wyborcza. Do Białej przyjechał z tej okazji Przemysław Czarnek, bylio becni samorządowcy z regionu, koledzy z rady miasta i ci, z którymi Dariusz Litwiniuk walczył o szkołę w Sielczyku.

Jakie ma oczekiwania? Czy liczy na zwycięstwo? Czy nie obawia się powtórki z 2018 r., kiedy po niezwykle ostrej, pełnej personalnych ataków i ciosów poniżej pasa kampanii Dariusz Stefaniuk stracił stanowisko na rzecz Litwniuka, tego z Platformy Obywatelskiej?

– Wierzę, że wygram. Z pokorą będę zabiegał o każdy głos i za każdy głos będę niezwykle wdzięczny. A co do kampanii – niestety, polityka w Polsce często polega na obrzucaniu innych błotem. To się przeniosło także na poziom samorządowy. Zupełnie niepotrzebnie, to nikomu nie służy. Chciałbym, żeby dyskusja była merytoryczna i dotyczyła problemów mieszkańców mojego miasta. Z pewnością nie zamierzam posługiwać się personalnymi atakami czy rozsiewaniem plotek. Jak zachowają się moi konkurenci? Zobaczymy – mówi kandydat na prezydenta Białej Podlaskiej.

Piotr Filipczyk

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Ornamentatorzy nowej władzy

Trzeba przyznać, że nowa władza najlepiej przedstawiła się społeczeństwu sama – wchodząc do instytucji w asyście wynajętych, silnych ludzi. Potrzebuje jednak dziennikarzy, którzy niczym „ornamentatorzy" z wiersza Herberta będą wybielać gangsterskie metody ministra Sienkiewicza lub „malować je na różowo". Może zresztą liczyć na całe szwadrony takich wolontariuszy, którzy zapewne dla spokoju własnego sumienia zechcą przedstawić sytuację w taki sposób, aby czystki w instytucjach i listy proskrypcyjne wydały się nagle Polakom szczytowym osiągnięciem demokracji

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Nie sposób przejść obojętnie obok tekstu „Instytut Książki: jak czyścić, żeby go nie zniszczyć. PiS latami wspierał twórców prawicy" autorstwa Justyny Sobolewskiej i Aleksandry Żelazińskiej („Polityka", nr 9/2024). Tym bardziej że ja sama miałam zaszczyt współpracować z Instytutem Książki przez parę miesięcy na „odcinku" Hiszpanii. Zdobyłam wystarczającą wiedzę i ogląd sytuacji, aby móc zarzucić autorkom perfidną manipulację i naigrywanie się z inteligencji nawet ich własnych czytelników. Być może chodzi o ułatwienie pracy Grzegorzowi Jankowiczowi, który właśnie został wyznaczony na stanowisko pełnomocnika ministra kultury do „przeprowadzenia czynności, związanych z połączeniem państwowych instytucji kultury: Instytutu Książki i Instytutu Literatury", choć krócej byłoby jednak napisać do „likwidacji osiągnięć poprzedników".

ŹLI, BO NIE NASI

Już sam lead otwierający tekst: „Przez ostatnie lata w literaturze wspierani i promowani za granicą byli swoi" – świadczy o tym, że autorki nawet nie kryją, że nie będą się silić na obiektywizm, bo świat twórców dzielą po prostu na „onych" i „naszych". Przyznam, że nie przyszło mi do głowy, by kierować się podobnie prymitywnymi kategoriami, gdy w moim wystąpieniu przed szeroką publicznością na Międzynarodowych Targach Książki

eprasa.pl 5f0f0c7bfc

w Barcelonie w 2022 r. prezentowałam Olgę Tokarczuk i Katarzynę Kobylarczyk. Zarzuty autorek pod adresem Instytutu Książki koncentrują się jednak na tej uporczywej myśli, ponieważ, jak wypada się domyślać, za wcześniejszych rządów Platformy Obywatelskiej wszyscy twórcy promowani byli z jednakową dbałością. A jakże! Dziwne tylko, że przez wiele lat wysłuchiwałam skarg hiszpańskiej Polonii, że nie sposób było doprosić się w polskiej ambasadzie ani u ówczesnych dyrektorów Instytutu Polskiego kulturalnych eventów z udziałem pisarzy czy myślicieli innych niż tylko tych z notesu Michnika lub promowanych przez mainstreamowe media w typie „Polityki" i „Gazety Wyborczej".

Ciekawe, że autorkom tekstu wypsnęło się wiele mówiące zdanie: „Jaworski przyszedł do IK z jasną i sformułowaną wprost misją: dowartościować pomijane rejony literatury. Czyli dzieła chrześcijańskie, prawicowe albo pisane przez ulubieńców prawicy". Na kulturalnej mapie Sobolewskiej i Żelazińskiej nie istnieją bowiem Włochy konserwatystki Meloni ani konserwatywna część Hiszpanii, Francji czy Portugalii. Dla ich umysłów to niewyobrażalne, aby w Europie Zachodniej wciąż był popyt na dzieła „chrześcijańskie". Wszak należy iść z postępem, a wszystkich konserwatywnych twórców otaczać kordonem sanitarnym! Dariusz Jaworski nie miał więc prawa dowartościować prawicowych autorów, których nadwiślański salon już wcześniej scancelował. Ma być, jak było, nawet jeśli Polacy wielokrotnie opowiedzieli się przy urnach, że domagają się zmiany.

Tekst Sobolewskiej i Żelazińskiej obfituje w groteskowe tezy, z których niezbicie wynika, że tylko za „ich bossów" w instytucjach pracowali fachowcy. Tym samym z definicji placówki zarządzane z „pisowskiego nadania" nie mogły mieć żadnych zasług ani sukcesów. Otwierano nowe biblioteki – zapewne musiało to służyć partyjnym interesom jakichś samorządowców. Wspierali czytelnictwo – tak, ale „swoich" Polaków, a nie naszych. Dofinansowywali tłumaczenia – tak, ale eseje Bronisława Wildsteina po angielsku zamiast „Lesbos" Renaty Lis po włosku.

Trudno zachować szacunek do autorek, gdy czytamy przedstawioną listę zarzutów popełnionych ponoć przez Instytut Książki za czasów dyrektora Dariusza Jaworskiego. Dowiadujemy się zatem, że na Międzynarodowych Targach Książki w Londynie Krzysztof Koehler bezczelnie nie kontynuował linii przyjętej przez poprzedników, a w materiałach promocyjnych raz zrobili literówkę w nazwisku Nałkowskiej. Jaworski jest winny, bo nadzorował i kontrolował wszystko, nawet Festiwal Brunona Schulza w Drohobyczu (cóż w tym dziwnego, skoro festiwal był niemal w całości finansowany przez IK?). Widać więc, że w ogóle nie chodzi o merytoryczne zarzuty, bo ością w gardle jest im wszystko, co nie było robione po „ichniemu" i co ich autorytet – Grzegorz Gauden skomentował jako „skandaliczne". Zupełnie jakby satysfakcja i opinia Gaudena miała być wieczystym priorytetem Instytutu, a nie cele wpisane w statut. Wychodzi zatem, że autentyczną winą dyrektora Jaworskiego była skrupulatność i fakt, że dwukrotnie oglądał każdą złotówkę zanim wydał.

Z tego felietonu (bo tekst nawet nie zbliża się do obiektywnej analizy) można wyłuskać zaledwie jedną mikrowzmiankę o stworzonym przez zespół Jaworskiego największym w Europie bookstartowym projekcie „Mała książka – wielki człowiek", dzięki któremu do dzieci trafiło ponad 5 mln książek. Ani słowa o innych flagowych i pionierskich projektach Instytutu Książki, jak „Polska półka" w zagranicznych bibliotekach USA, Wielkiej Brytanii i Ukrainie albo o uratowaniu ponad 300 malutkich księgarń przed zamknięciem, czy także roli honorowego uczestnika na targach w Londynie, Abu Zabi, Tajpej i Madrycie.

SAMOZWAŃCZY TRYBUNAŁ

Zarzucam autorkom nie tylko napisanie propagandowego tekstu na użytek ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza i jego likwidatorów, lecz także brak minimalnej wiedzy na temat funkcjonowania zasad rynkowych, kierujących mechanizmami promocji kultury. Jako osoba, która bardzo często przebywa w Hiszpanii, wiem doskonale, że nawet 100 instytucji z „nadania pisowskiego" nie byłoby w stanie zrównoważyć potęgi mainstreamu i systemu, na mocy którego na przeciętnego Hiszpana patrzy z okien wystawowych księgarni jedynie Olga Tokarczuk, Anne Applebaum oraz Zygmunt Baumann. Z głównych dzienników typu „El Pais" lub „El Mundo" hiszpański czytelnik dowie się wyłącznie o istnieniu Krystiana Lupy i Krzysztofa Warlikowskiego oraz przeczyta cytaty z „Gazety Wyborczej" i OKO.press na temat naszej

eprasa.pl 5f6f9c76fc

rzekomej odpowiedzialności za Holokaust i mordowanie imigrantów na granicy z Białorusią. Z radia SER czy RTVE przemówi do Hiszpanów Katarzyna Kobylarczyk lub Maciej Stasiński, a Nagrodę Księżniczki Asturii z rąk króla Filipa VI odbierze Adam Michnik. W taki właśnie sposób wszystkie te osobistości świata kultury były tak strasznie pomijane i niedoceniane w Hiszpanii za sprawą rządów Prawa i Sprawiedliwości. Doprawdy tylko fajnopolak, i to zdaje się mniej rozgarnięty, jest w stanie uwierzyć, że państwo PiS miało tak wielki soft-power i możliwości finansowe za granicą, że przysypało książkami Bronisława Wildsteina ulubieńców establishmentu. To właśnie najbardziej boli Sobolewską – upomnienie się Instytutu Książki o autorów, których mainstream chciał skazać na zapomnienie. To dlatego autorki ubolewają, że dofinansowano „herbertoznawcze prace J. M. Ruszara" (co zresztą IK neguje, wskazując, że to kłamstwo) zamiast Jacka Dehnela czy Jakuba Żulczyka.

Przyznam, że jedząc obiad z największym żyjącym poetą Hiszpanii Luisem Alberto de Cuenca, rozmawialiśmy o Herbercie, a nie o Tokarczuk. Gdy byłam z wizytą w domu jednego z największych pisarzy hiszpańskich Fernanda Sáncheza Dragó, ten wspominał swoje spotkanie z Czesławem Miłoszem i chciał porozmawiać o Janie Pawle II zamiast o Żulczykach. Moje doświadczenie rozmów z hiszpańskimi intelektualistami podpowiada mi, że właśnie ten rodzaj literatury, o który walczył Instytut pod dyrekcją Jaworskiego, mógł się wreszcie przebić do zbiorowej świadomości i ludzi, którzy pod naporem lewackiego walca zwyczajnie tęsknią do starych mistrzów pióra i myśli. O tym Sobolewska jednak nie wie, bo nie bywa nigdzie poza własną bańką medialną.

Problem w tym, że ta bańka wielokrotnie zachowywała się jak samozwańczy trybunał i szczujnia, wymyślając niestworzone historie na potrzeby nagonki wobec dyrektorów z „nadania pisowskiego". Za PiS miała nastąpić jakaś przedziwna kumulacja paskudnych przypadłości dyrektorskich. W artykule Sobolewskiej i Żelazińskiej mobbingował Józef Maria Ruszar, czyli dyrektor Instytutu Literatury, oraz Dariusz Jaworski, bo – tu znów bezcenny cytat – „od pracowników IK też słyszymy o jakichś formach mobbingu". W pamięci mam zaś ciąg artykułów mainstreamu, że mobbingiem parała się ponoć dyrektor Instytutu Adama Mickiewicza Barbara Schabowska, a także dyrektor Instytutu Polskiego Gabriela Słowińska w Madrycie.

Nie znam podobnych przypadków takich kampanii dyfamacyjnych wobec dyrektorów placówek kulturalnych nawet w socjalistycznej Hiszpanii. W obliczu tak zmasowanej nagonki szefowie instytutów stale musieli udowadniać, że zarzucane im czyny są jedynie fejkowymi faktami medialnymi. Pozostaje dla mnie jasne, że te różne opętańcze operacje zniesławiania szefów przez niektórych pracowników lub byłych pracowników uderzały nie tylko w dyrektorów, lecz także w same placówki i *de facto* w Polskę.

> Trudno zachować szacunek do autorek tekstu w „Polityce", gdy czytamy przedstawioną przez nie listę zarzutów popełnionych ponoć przez Instytut Książki za czasów dyrektora Dariusza Jaworskiego

SPOD ZNAKU BARBARII

Nieważne więc, jak szczegółowo i w jak długim, uczciwym zestawieniu rozliczył się Instytut Książki ze swojej działalności oraz sukcesów. Wiadomo, że spór wcale nie dotyczy funkcjonowania, przyjętej strategii, lecz tego, co niechcący przyznały same autorki: że stojący na czele tych placówek upomnieli się o zapomniane i z premedytacją „pomijane rejony literatury". Autorki zawyrokowały np., że fundusze przeznaczone na promocję pisarstwa Wildsteina były „wyrzucaniem w błoto pieniędzy podatników". Na jakich fusach wywróżyły takie wnioski – nie wiadomo. Należy się domyślać, że skoro one nie lubią Wildsteina, to nikt w Europie nie powinien się nawet ośmielić zachwycić jego twórczością. Przez parę lat Tokarczuk była niesiona falą sukcesu literackiego Nobla, który zapewnił jej potężne echo na świecie, a mimo to ciągle drapieżnie pytano, dlaczego tak mało (setek tysięcy złotych polskiego podatnika) inwestuje się w lansowanie jej nazwiska.

Jak będą pracować te same instytucje kultury pod rządami nowych dyrektorów? Łatwo sobie wyobrazić na podstawie pewnego zdarzenia, którego byłam świadkiem. W Instytucie Adama Mickiewicza, w przedświątecznym, bożonarodzeniowym trybie, sekretariat poprosił swoich pracowników o aktualizację stopki z obrazkiem zupełnie neutralnym, bo zarysem gmachu budynku Instytutu Adama Mickiewicza i podpisem „Wesołych Świąt Bożego Narodzenia". Minutę później jakaś oburzona „członkini" IAM na fali powyborczego triumfalizmu wystosowała mail z oburzeniem: „Nie wszyscy nasi partnerzy, a stopka ma przecież także znaczenie relacyjne, obchodzą Boże Narodzenie! Czy moglibyśmy obchodzić Season's Greetings?". Sekretariat przyznał rację swej członkini.

Nie wiem, czy są państwo świadomi, ale nawet podobne instytucje na zdechrystianizowanym Zachodzie, takie jak Instytut Cervantesa czy Instytut Francuski, nie wpadłyby na pomysł równie okrutny, aby wyrzec się swojego języka i tradycji chrześcijańskiej w korespondencji z partnerami. To jest właśnie esencja i znak nowej władzy: kompleksy na punkcie polskości i usilna chęć zerwania z przeszłością. Instytut Adama Mickiewicza powinien być ostatnią instytucją w Polsce, która mogłaby się wstydzić polszczyzny, tak samo jak Instytut Książki jest ostatnią w Polsce instytucją wstydząca się dziedzictwa literatury, którą otrzymaliśmy w spadku po naszych przodkach. Niestety, idzie nowe spod znaku barbarii i ośmiu gwiazdek. Dlatego dziennikarze, tacy jak Sobolewska i Żelazińska muszą im potulnie utorować drogę.

Zatem „pochwaleni niech będą ornamentatorzy ozdabiacze i sztukatorzy" nowej władzy...

eprasa.pl 5f6f9c76fc

MAREK BUDZISZ

Parlament Europejski się spieszy, mimo że w większości krajów Unii trwają protesty farmerów. Odejście od „szalonej", jak mówią, polityki klimatycznej jest jednym z ich głównych postulatów. Skala protestów i determinacja rolników skłaniają niektórych obserwatorów do mówienia nawet o „rewolucji" czy buncie tej grupy społecznej

Czy protesty rolników doprowadzą do politycznej rewolucji w Europie?

Jednak europarlamentarzyści nie zmieniają nastawienia i w ub. tygodniu przegłosowali kolejny program, tym razem dotyczący odbudowy zasobów przyrodniczych. Ten pośpiech wynika z faktu, że po wyborach, które odbędą się w czerwcu, może się okazać, iż ekologiczna legislacja, uderzająca w interesy rolników, nie zdobędzie większości.

Już teraz propozycja złożona przez frakcję Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, w której główną rolę odgrywają deputowani PiS i Braci Włochów, aby odrzucić kolejną regulację klimatyczną, zdobyła 275 głosów. Przeważyło jednak stanowisko Europejskiej Partii Ludowej, w skład której wchodzi zarówno PSL, jak i PO, o poparciu dla tej inicjatywy, choć w złagodzonej formie. Stało się to mimo protestów wewnątrz samej EPL, bo np. Irlandczycy nie zgodzili się na proponowane rozwiązania. Nowy program przewiduje m.in., że do 2030 r. musi zostać odbudowana bioróżnorodność 30 proc. siedlisk naturalnych. Te zapisy, niewiele mówiące postronnym, oznaczają w praktyce ograniczenia w zakresie melioracji, osuszania terenów podmokłych czy regulacje usztywniające politykę wobec terenów objętych planami Natura 2000. Po wejściu naszego kraju do Unii Europejskiej polskie gminy ochoczo kwalifikowały tereny do tych programów ze względu na szczodre subwencje z Brukseli. W efekcie prawie 70 tys. km ziemi o przeznaczeniu rolniczym jest objętych rozmaitymi ograniczeniami związanymi z funkcjonowaniem Natury 2000, co negatywnie wpływa na sytuację wytwórców żywności, pogarszając naszą konkurencyjność. A Polska jest jednym z największych producentów i eksporterów rolnych w Europie.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5f6f9c76fc

STARY KONTYNENT BEZ ROLNIKÓW

Dlaczego rolnicy w całej Europie są przeciw regulacjom klimatycznym proponowanym przez Komisję Europejską? Z kilku powodów, ale wszystkie głosy wskazują na to, że podnoszą one koszty i prowadzą do zmniejszenia skali produkcji rolnej. Nieważne, czy chodzi o obowiązkowe odłogowanie części ziem uprawnych, ograniczenie zużycia środków ochrony rośli i nawozów, zmiany w technologii uprawy, czy szczególnie bolesne w Holandii restrykcje w używaniu nawozów naturalnych (gnojowicy) na polach, efekt tego rodzaju regulacji będzie jeden – każde gospodarstwo wyprodukuje mniej, a koszty wzrosną, podobnie jak nakłady kapitałowe na zmodernizowanie parku maszynowego, co jest konieczne, aby spełnić zaostrzane kryteria.

Do tego dochodzi zadziwiająca obojętność rządzącego establishmentu na los rolników. Frans Timmermans, były socjalistyczny eurokomisarz odpowiadający za politykę klimatyczną w Unii, wcześniej broniący praworządności, już po wybuchu protestów farmerów powiedział, że intensywne rolnictwo jest „ciężarem ze społecznego i ekologicznego" punktu widzenia i należy zredukować liczbę gospodarstw.

W opinii rolników taki właśnie jest cel centrolewicowej koalicji rządzącej UE. Chodzi o likwidację rolnictwa i w związku z tym części klasy średniej oraz przejście do modelu zakładającego zaopatrywanie się w żywność pochodzącą zarówno z państw Ameryki Południowej, jak i z Ukrainy.

W INTERESIE WIELKICH KONCERNÓW

Jak zauważył w rozmowie z ukraińskim radiem NV Piotr Kulpa, były polski wiceminister gospodarki, obecnie kierujący unijnym programem wsparcia dla ukraińskiego rządu i administracji, nakładają się na to interesy wielkich koncernów działających na rynku żywności. Za napływ zboża i ziarna kukurydzy z tego kierunku odpowiada bowiem pięć głównych światowych firm handlujących surowcami rolnymi, w tym amerykański gigant Cargill, największy światowy producent drobiu. Zdaniem Kulpy są one obecne również na rynku rosyjskim, nasilając dostawy na unijny rynek z obu tych kierunków. Mimo dwóch lat wojny Wspólnota nie objęła sankcjami importu z Rosji, więc potentaci starają się maksymalizować zyski. Europejscy farmerzy uważają – i często słychać to w ich wypowiedziach – że Ursula von der Leyen „jest w zmowie" z koncernami i preferuje ich interes kosztem rolnictwa.

Jak zauważył w rozmowie z Euroactiv Andrzej Danielak, prezes Polskiego Związku Zrzeszeń Hodowców i Producentów Drobiu, eurokomisarze nie mają elementarnej wiedzy na temat nowoczesnego rolnictwa. Po wybuchu wojny Komisja Europejska, co wcześniej było wieloletnią praktyką, w przypadku dopuszczenia żywności z Ukrainy odstąpiła od badania wpływu ekonomicznych skutków takiej decyzji dla rynku europejskiego. W efekcie do Wspólnoty trafiły artykuły rolne, produkowane w zupełnie innych warunkach. Ukraińskie agroholdingi dysponują dziesiątkami tysięcy hektarów ziemi, podobnie zresztą jak producenci w Brazylii, Rosji czy Stanach Zjednoczonych. Dla przykładu warto zwrócić uwagę na to, że przed wojną 70 największych ukraińskich firm rolniczych gospodarowało na areale o powierzchni 6,5 mln ha, czyli obszarze równym połowie wszystkich ziem uprawnych w Polsce. Nie muszą też przestrzegać obowiązujących w Europie standardów produkcji. W efekcie rolnicy z państw Unii zostali zmuszeni do konkurowania z produkcją masową i realizowaną w zupełnie innych warunkach, w tym z użyciem środków ochrony zakazanych we Wspólnocie, ale za to tanich, bo sprowadzanych z Chin.

Najlepszym przykładem jest ukraiński holding drobiowy MHP, jeden z największych producentów w tej branży na świecie. To ten zarejestrowany na Cyprze gigant rolniczy odpowiada za 70 proc. ukraińskiego eksportu mięsa drobiowego na europejski rynek, który w ub.r. wzrósł o 50 proc. Pozyskał on 890 mln euro kredytu z Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju (20 proc. akcji kredytowej tej instytucji) i skokowo zwiększa inwestycje, rozbudowując swą bazę produkcyjną. Wykorzystuje fakt, że polscy producenci, a jesteśmy największym dostawcą mięsa drobiowego na europejski rynek, muszą przezwyciężyć niezliczone bariery administracyjne, aby postawić nowy kurnik, a na Ukrainie firmy tej wielkości nie mają z tym żadnych problemów. Co więcej, ukraińscy producenci wykorzystują niską cenę surowca do produkcji drobiu, a 70 proc. kosztów w tej branży to pasza. Nasi wytwórcy to przede wszystkim firmy rodzinne, które nie mają najmniejszej szansy, aby pozyskać preferencyjne finansowanie z instytucji w rodzaju EBOiR. Trudno zatem mówić o porównywalnych warunkach konkurencji.

W Europie nałożyły się na to wyższe koszty energii, a na Ukrainie mimo wojny jest ona tania, wzrost oprocentowania kredytów (trudno znaleźć w Europie gospodarstwo rolne, które nie byłoby zadłużone) i presja supermarketów, które, mając przewagę negocjacyjną, dążą do redukcji marży producentów. W niektórych europejskich państwach Południa, takich jak Włochy, Hiszpania czy południe Francji, tę listę problemów uzupełnia wieloletnia już susza.

KRYZYS ZAUFANIA

Natomiast w całej Europie można mówić o głębokim kryzysie zaufania do rządzącego establishmentu. To jest rzeczywisty powód skali protestów oraz determinacji rolników. Protestujący w Polsce mówią, że mimo deklaracji władz i formalnych ograniczeń zboże z Ukrainy nadal zalewa nasz rynek. W podobnym tonie wypowiadają się rolnicy z Rumunii, a Bukareszt jeszcze w ub.r. uzgodnił z Kijowem bardzo restrykcyjną umowę, zakładającą wzajemne licencjonowanie kwot importowych w zakresie dostaw zboża. Co z tego, że rządzący składają solenne deklaracje, skoro w praktyce mimo zakazów dziesiątki małych firm i wielkich graczy rynkowych skutecznie omijają obowiązujące regulacje. Wykorzystują m.in. słabość służb państwowych, w tym segmencie przez lata niedofinansowanych i nieprzygotowanych na napływ żywności z Ukrainy. Podobna sytuacja skłoniła do protestów rolników w Bułgarii, gdzie do lata br. obowiązuje zakaz importu ziarna słonecznika z Ukrainy.

Rolnicy w całej Europie czują się oszukiwani i opuszczeni przez rządzą-

Fot. Liudmyla Kazakova

eprasa.pl 5f6f9c76fc

cych, a nawet są zdania, że ci z radością przyjęliby zagładę tej części klasy średniej. W Polsce protestami współkieruje Wiesław Gryn z ruchu Oszukana Wieś, we Włoszech Danilo Calvani, stojący na czele organizacji Zdradzeni Farmerzy. Realia obu krajów są inne, ale przekonanie o tym, że rolnicy zostali opuszczeni i pozostawieni samym sobie – podobne. W efekcie europejscy farmerzy radykalizują się również politycznie. Najlepszym przykładem jest tu Holandia, gdzie Caroline van der Plas, liderka reprezentującej rolników partii Ruch Rolnik-Obywatel, która powstała po masowych protestach w 2019 r., wyraziła gotowość do utworzenia koalicji z Partią Wolności Geerta Wildersa, która niespodziewanie wygrała listopadowe wybory. Formacje reprezentujące rządzący krajem dotychczasowy establishment zastosowały w tym wypadku sprawdzoną już w wielu państwach Europy strategię „kordonu sanitarnego", znaną również w Polsce, gdzie PiS, mimo że wygrał wybory, nie mógł znaleźć partnera koalicyjnego. Zdaniem komentatorów wyłamanie się z tego nurtu formacji reprezentującej farmerów świadczy nie tylko o radykalizowaniu się rolników, lecz także może być wstępem do spełnienia się „czarnego snu" liberałów, czyli sytuacji, kiedy partii antyestablishmentowych nie będzie już można izolować, pozbawiając wpływu na rzeczywistość. Uzasadniając stanowisko swojej formacji, van der Plas powiedziała mediom, że rolnicy zostali doprowadzeni na skraj przepaści. Podobne głosy słychać we wszystkich państwach Europy. „W branży panuje wielka rozpacz" – wyznała holenderska polityk. „W gospodarstwach rolnych nie ma już prawie przestrzeni finansowej" i dlatego w sojuszu z formacjami uznawanymi za skrajne oraz populistyczne, ale być może będące w stanie coś zmienić, farmerzy widzą ostatnią nadzieję na zatrzymanie klimatycznego „szaleństwa", które ich zdaniem doprowadzi do likwidacji europejskiego rolnictwa.

Rolnicy w całej Europie czują się oszukiwani i opuszczeni przez rządzących, a nawet są zdania, że ci z radością przyjęliby zagładę tej części klasy średniej

Liderzy związków rolniczych odrzucają oskarżenia o to, że ich organizacje sprzyjają partiom skrajnej prawicy. Jos Ubels, wiceprezes Związku Samoobrony Farmerów, który organizował protesty w Holandii, jest przekonany, że nie chodzi tu o sympatie polityczne, lecz wiarygodność. „Myślę – powiedział mediom – że większość rolników patrzy teraz na prawą stronę spektrum politycznego, ponieważ lewa strona nie wykonała swojej pracy tak, jak powinna".

FATALNA POLITYKA

W przypadku europejskiego rolnictwa można mówić o „węźle problemów", narastających przez lata. Teraz nie da się ich tak łatwo rozwiązać, tym bardziej że farmerzy nie są skłonni uwierzyć w obietnice rządzących. W Polsce mamy jeszcze do czynienia ze skutkami fatalnej polityki rolnej ostatnich rządów, nie tylko PiS, lecz także poprzedniej koalicji. Warto zauważyć, że protestują producenci żywności – ci rolnicy, którzy dostarczają na rynek i chcą się rozwijać. Takich firm-gospodarstw rolnych jest w naszym kraju najwyżej 400 tys., bo z ostatniego spisu rolnego wynika, że jedynie 30 proc. gospodarstw domowych na wsi żyje głównie z rolnictwa, mimo iż formalnie mamy 1,3 mln rolników. Z badań ostatniego spisu rolnego, którego nasi politycy najwyraźniej nie przeczytali, wynika też, że dopiero w przypadku tych gospodarstw, które dysponują gruntami o powierzchni powyżej 50 ha, 85 proc. prowadzących je rodzin żyje wyłącznie z rolnictwa. Natomiast tylko dla 53,5 proc. rolnictwo jest głównym źródłem dochodów, jeśli mają 10–15 ha. A trzeba pamiętać, że średnia wielkość naszego gospodarstwa wynosi niewiele ponad 11 ha, co oznacza, że dotychczasowa polityka polegała na konserwowaniu biedy, bo tylko 30 proc. gospodarstw domowych na wsi osiąga dochody powyżej minimalnego wynagrodzenia w gospodarce.

Problemem jest to, że unijna pomoc w postaci dopłat i środków na modernizację rolnictwa jest dystrybuowana zarówno między tych, którzy żyją z rolnictwa, jak i niemających z tym zawodem wiele wspólnego. Środki unijne, czym szczyci się komisarz Wojciechowski, są przesuwane na programy zazieleniania, co może interesować tych, którzy posiadają ziemię, ale nie chcą produkować, lecz uzupełnić dopłatami swoje dochody z innych źródeł.

Nadmiernie restrykcyjna ustawa o obrocie ziemią utrudnia też rozwój i rozbudowę gospodarstw. A mamy najlepszą sytuację społeczną w Unii. Nasi rolnicy są najmłodsi, najlepiej wykształceni i chcą inwestować. Brakuje im tylko kapitału, bo dopłaty, inaczej niż w państwach Zachodu czy nawet Europy Środkowej, są u nas, licząc na gospodarstwo, najmniejsze. Na dodatek ustawa przyjęta w 2011 r., zmuszająca rolników do wykupu od państwa dzierżawionej przez nich ziemi, spowodowała, że zostali wydrenowani z kapitału.

Teraz, kiedy na te negatywne i wieloletnie efekty złej polityki rolnej nałożył się kryzys związany z krachem cen i nowymi regulacjami w zakresie ochrony środowiska, chce się szybko rozwiązać problemy będące następstwem wieloletnich błędów. Tak się nie da. Oznacza to, że rolnicy w Polsce jeszcze długo będą walczyć o swoje interesy. Protestują, bo liczą na to, że dopiero inicjowana przez nich rewolucyjna i pokoleniowa zmiana w polskiej polityce może odmienić ich los.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Strach przed upadkiem Ukrainy

W świecie zapanował jakiś nadzwyczajny zamęt wokół wojny na Ukrainie. Prawdę mówiąc, z każdym kolejnym tygodniem coraz trudniej się połapać, jakie są prawdziwe intencje najważniejszych zachodnich graczy, gdy idzie o przyszłość tej wojny

Publiczne deklaracje, padające ostatnio z ust czołowych polityków, od których zależą albo za chwilę mogą zależeć losy wojny, bywają zaskakujące i wymagają w związku z tym tłumaczeń ze strony ich współpracowników. Co więcej, niektóre z nich, jak np. prezydenta Francji czy najpoważniejszego pretendenta do prezydentury USA, wywołują polityczne zamieszanie – mnóstwo interpretacji w złej wierze oraz gwałtowne wzajemne protesty pomiędzy sojusznikami z NATO. Po ubiegłoponiedziałkowej konferencji paryskiej

JAN ROKITA

Macron mówi o hipotetycznym wysłaniu wojsk na Ukrainę. Niedługo wcześniej w jednym z wywiadów Trump wspomina o „zachęcaniu" Moskali, „aby robili, co chcą" w stosunku do krajów, które straciły własną wolę obrony i nie wydają na nią odpowiednio dużych funduszy.

DYPLOMATYCZNE WZMOŻENIE

Wrażenie chaosu ogarniającego Zachód w kwestii wojny potęguje fakt, że w ostatnim czasie dyplomacja międzynarodowa na najwyższym szczeblu nabrała takiej intensywności, że konferencja goni konferencję, a ważne oświadczenia są spychane z łamów mediów przez kolejne, jeszcze ważniejsze. Premier Tusk – jak się wydaje

eprasa.pl 5f6f9c76fc

– łagodnie, choć trafnie opisał ostatnio ten stan rzeczy następującymi słowami: „W jakimś sensie dyplomacja, polityka zamieniła się w stan permanentnej narady, co robić w obliczu narastającego zagrożenia ze strony Rosji". Tyle tylko, że w całym tym dyplomatycznym ożywieniu nie widać ładu ani składu.

Dobrze unaocznia to wspomniana nagła konferencja, którą Macron z własnej inicjatywy zwołał do Paryża w sprawie wojny, gdzie unijni przywódcy kłócili się o bardziej twarde zaangażowanie Zachodu w konflikt, ale bez udziału kluczowych dla sprawy przywódców USA i Wielkiej Brytanii.

Chociaż nie jest do końca jasne, co akurat teraz wywołało tak nagłe poruszenie polityków europejskich, niewątpliwe są przynajmniej trzy przyczyny pobudzające ich strach.

Pierwsza to spektakularna porażka wojenna armii ukraińskiej w Donbasie, czyli przegrana bitwa o miasteczko Awdijiwka, która sprawiła (co łatwo zobaczyć na mapach wojennych), że Moskale w końcu wyrównali linię frontu i mogą się teraz posuwać dalej na zachód. Co gorsza, wiadomościom na temat tej bitwy towarzyszyły uporczywe pogłoski o cofaniu się Ukraińców w popłochu, dezorganizacji oraz o wielkiej liczbie zabitych i jeńców wziętych przez Moskali. Oczywiście Kijów stanowczo temu wszystkiemu zaprzecza, ale przecież z takich wojennych zaprzeczeń nic tak naprawdę nie wynika. W Europie powróciła zatem czarna wizja, która raz już zapanowała, zaraz po 24 lutego 2022 r. – front na wschodzie zostaje przerwany, Moskale zajmują centralną Ukrainę i znów bezpośrednio zagrażają Kijowowi, a wszystko to dzieje się w warunkach, w których zachowanie Ameryki jest mocno nieprzewidywalne.

Rzecz druga to polityczna bezradność ekipy Bidena, która jak dotąd nie potrafi doprowadzić do ponadpartyjnego porozumienia w sprawie finansowania Izraela i Ukrainy oraz blokady imigracji z Ameryk Łacińskiej. W warunkach ustroju USA zdolność prezydenta do osiągania swoich strategicznych celów w Kongresie jest podstawowym sprawdzianem kwalifikacji przywódczych.

Biden zlekceważył ubiegłoroczny moment, kiedy republikanie chcieli zawrzeć z nim deal: finansowanie Ukrainy za blokadę imigracji. A kiedy się połapał, że zrobił błąd i zaczął czynić ustępstwa w sprawie imigracji, przywódcy republikanów go wyśmiali, mówiąc – w takim razie poczekamy na listopadowe wybory. Gdy piszę ten tekst, nie wiadomo, co będzie w Kongresie z tą sprawą. Ale w Europie rzecz stała się powodem paniki. Jak to? Ameryka poczeka przez rok z finansowaniem Ukrainy, i to w chwili być może krytycznej dla losów wojny? Europa ma teraz finansować całość wojny z Rosją? Na domiar złego Berlin, który i tak stał się już czołowym bankierem Ukrainy, sprzeciwia się idei zaciągnięcia nowego europejskiego długu na ten cel. Jak niedawno relacjonował dyskusję w Radzie Unii szef polskiej dyplomacji, ponoć „nie widać innych źródeł finansowania dostaw amunicji" dla armii ukraińskiej.

Do tego dochodzi czynnik trzeci – coraz większy strach przed Trumpem. Zwycięski pochód byłego prezydenta przez republikańskie prawybory oraz rosnące sondażowe słupki pokazujące przewagę Trumpa nad Bidenem dopiero ostatnio uświadomiły przywódcom Europy, że za osiem miesięcy z dużym prawdopodobieństwem znów będą mieli do czynienia ze znienawidzonym i pogardzanym przez nich politykiem jako prezydentem USA.

STRACH PRZED TRUMPEM

Oczywiście strach przed Trumpem nie bierze się z tego, nad czym publicyści zachodnich mediów wylewają krokodyle łzy. W europejskich kancelariach rządowych doskonale wiedzą, że hipotetyczna nowa administracja republikańska nie ma najmniejszego zamiaru osłabiać militarnie Zachodu albo występować z NATO. Z kolei gdyby Trump faktycznie, jak buńczucznie zapowiada, potrafił siłą wymusić rozejm na Ukrainie, cała europejska elita polityczna odetchnęłaby z ulgą.

Gadulstwo medialne na temat Trumpa jak zwykle jest niczym więcej niż globalną antytrumpistowską propagandą, o czym politycy dobrze wiedzą. Zaś oni faktycznie panikują, że Trump powróci i rządzić będą republikanie, ale z innego powodu. Wiedzą bowiem, że „po raz drugi" może się on okazać znacznie większym brutalem wobec Europy i wymusić par force nie tylko wielkie wydatki na obronę, lecz także korzystne dla Ameryki warunki handlu albo upadek Zielonego Ładu. I to wszystko pod rygorem siły i groźby sankcji. Europa, przyzwyczajona do miłości ekipy Bidena do Berlina, Paryża i Brukseli, po prostu boi się amerykańskiego imperializmu, którego współczesnym symbolem jest Trump. I dlatego naradza się teraz nerwowo, czy i jak sobie poradzi w warunkach amerykańskiej presji okazywanej bez specjalnej kurtuazji i ceregieli.

W sprawie wojny Trump faktycznie pozostaje sfinksem. James David Vance, 40-letni senator z Ohio, który niemal z pewnością byłby jedną z czołowych

Fot. Jakub Szymczuk/KPRP

eprasa.pl 5f6f9c76fc

postaci republikańskiej ekipy w razie jego zwycięstwa, dwie niedziele temu na konferencji bezpieczeństwa w Monachium mówił, że „Ameryce brak dziś zasobów na prowadzenie kilku wojen wielofrontowych". Dlatego Europa musi się stać bardziej „agresywna militarnie", a w toczącej się wojnie potrzebny jest rozejm bez niemożliwego dziś odzyskania całości terytorium przez Ukrainę. Jedno i drugie brzmi racjonalnie, pytanie tylko, czy jest w ogóle wykonalne. I czy okrojona *de facto* Ukraina będzie mogła stać się trwałą częścią zachodniego sojuszu, co ochroniłoby ją przed groźbą dalszych agresji? Tego ani Trump, ani jego kolega Vance nie mówią. Lecz fakt, że jakiegoś prowincjonalnego amerykańskiego senatora z „pasa rdzy" w Monachium w ogóle dopuszczono do głosu na równi z przywódcami europejskimi, świadczy o tym, że w Unii zapanowała swoista ambiwalencja wobec Trumpa. Strach i nienawiść nadal są silne, ale rozsądek każe już dziś szukać nowego modelu sojuszu z trumpistowską Ameryką. Taką misją ma właśnie zostać obarczony przyszły, najbardziej prawdopodobny sekretarz generalny NATO – Holender Mark Rutte.

OŚWIADCZENIE MACRONA

Takie jest tło paryskiej konferencji przywódców Europy i następującego po niej oświadczenia Macrona, które wywołało tyle zamętu. Z ust prezydenta Francji padło bowiem publicznie takie oto zdanie: „Nie ma dziś konsensu co do tego, by otwarcie i oficjalnie wysłać wojska lądowe na Ukrainę, ale w przyszłości niczego nie należy wykluczać". Macron otwarcie pokpiwał sobie przy tym ze swoich kolegów, przypominając, jak to w ciągu ostatnich dwóch lat zaklinali się, że nie wyślą rakiet, czołgów, samolotów, a potem połykali własne języki. Szczególnie dotkliwie zakpił z kanclerza Scholza, mówiąc, iż „nie tak dawno ktoś tu mówił, że wyśle tylko śpiwory i kaski".

Jak nietrudno było przewidzieć, słowa Macrona wywołały lawinę kakofonicznych oświadczeń w całej Europie, gdzie od Madrytu po Warszawę szefowie rządów zapewniali swoich obywateli, że nie wyślą żadnych wojsk na Ukrainę. Szef francuskiej dyplomacji Stéphane Séjourné wyjaśniał potem, że Macron nie miał na myśli wojsk, które podjęłyby walkę z Moskalami. Zirytowany Scholz w imieniu całej Europy i całego NATO napisał nawet na platformie X (d. Twitter), że „nie będzie wojsk lądowych ani z krajów europejskich, ani z NATO".

Macron jest drugim po Jarosławie Kaczyńskim przywódcą państwa, który publicznie mówi o wojskach NATO na Ukrainie. Kaczyński przedstawił taki koncept jeszcze 15 marca 2022 r., kiedy wraz z trzema premierami udał się do Kijowa oblężonego wówczas przez rosyjskie kolumny pancerne. Podobnie jak teraz objaśnia Séjourné, tamten projekt też zakładał, iż wojska NATO nie będą wprost włączać się w walkę z Moskalami, a ich znaczenie byłoby bardziej polityczne: coś w rodzaju silniejszej od słów, bo militarnej gwarancji niepodległości Ukrainy. Dziś podnosząc publicznie tego rodzaju projekt, Macron wychodzi ze skrajnie pesymistycznego założenia, iż sytuacja wojenna z marca 2022 r. może się niedługo powtórzyć.

> W Europie powróciła czarna wizja, wedle której front na wschodzie zostaje przerwany, Moskale zajmują centralną Ukrainę i znów bezpośrednio zagrażają Kijowowi, a wszystko to dzieje się w warunkach, w których zachowanie Ameryki jest mocno nieprzewidywalne

Jeśli przed wyborami Ameryka nadal będzie w stanie obecnej chwiejności i nieokreśloności, to ciężar odpowiedzialności za losy Ukrainy może, choćby tylko na chwilę, spaść na Europę. Co prawda to Berlin stał się bankierem Ukrainy, a militarne wsparcie skąpego Paryża jest aż 27-krotnie mniejsze (!), to jednak każdy rozumie, iż dojutrkujący i pełen obaw wobec Moskwy rząd Scholza nie zainicjuje militarnych posunięć ratujących Ukrainę w chwili kryzysu. Dla Macrona musi być oczywiste, że jeśli taki czarny scenariusz się ziści, jedynym krajem, który może spróbować narzucić sojusznikom jakieś działanie, będzie Francja.

Ale zrazem Macron wywołuje teraz dodatkowy zamęt wokół wojny, bo prowokuje tylko nową falę negatywnych deklaracji względem Kijowa, w stylu: „pomagamy, ale to nie jest nasza wojna". Nie ma zresztą pewności, czy przywódca Francji, od lat znany z pretensjonalnego stylu głoszenia najrozmaitszych wielkich wizji bez pokrycia, i tym razem nie rzuca w istocie słów na wiatr. Można wątpić zarówno w to, czy Francja miałaby na tyle determinacji, aby militarnie ratować Ukrainę w skrajnych opałach, a nawet gdyby miała to robić, to czy byłaby w stanie przekonać do takiego działania unijnych czy NATO-wskich partnerów. Widać jednak – i to jest dobry znak – że co najmniej w Paryżu pojawił się prawdziwy strach przed skutkami upadku Ukrainy i zatrzymania się Moskali (tak jak to niedawno wróżył Miedwiediew) być może aż na Sanie i Bugu. Taki rozwój wydarzeń nie tylko zachwiałby przecież globalną pozycją Ameryki, lecz także zwiastował zapewne całkiem nowe, trudne do wyobrażenia kłopoty dla Europy (a zwłaszcza dla Polski), choćby z silną ukraińską partyzantką.

To właśnie strach przed takim najczarniejszym scenariuszem stoi za zaskakującym paryskim oświadczeniem prezydenta Francji. I choć ten strach – jak widać po Macronie – wpływa na radykalizację myślenia niektórych europejskich przywódców, nie zmienia to faktu, że dziś Ameryka i Europa są pogrążone w niemocy. W każdym razie wrażenie jest takie, jakby przywódcy Zachodu tym mniej wiedzieli jak dalej postępować, im więcej odbywają niekonkluzywnych narad i konferencji. A na Zachodzie nadal brakuje jakiegoś sposobu na ocalenie Ukrainy, jeśli wojna zaczęłaby się szybko toczyć w bardzo złym kierunku.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Pani (niemieckiej) Europy

Ujawniony terminarz Ursuli von der Leyen pokazuje, że sektor prywatny, zwłaszcza firmy niemieckie, miał doskonały dostęp do przewodniczącej Komisji Europejskiej. W skrócie: jest ona Niemką i lubi się spotykać z Niemcami

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5f6f9c76fc

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Pierwszą rzeczą, którą zauważa się u Ursuli von der Leyen, to rodzaj nieobecności – braku autentyczności; jest to uczucie, które trudno wyrazić słowami. Jest ona enigmatyczna i nieprzejrzysta, jak szklane fasady Berlaymontu, siedziby Komisji Europejskiej" – pisał na łamach magazynu „Le Grand Continent" brytyjski publicysta Ben Judah, który nakreślił szczegółowy portret Ursuli Gertrudy z domu Albrecht.

Urodzona w Brukseli przewodnicząca Komisji Europejskiej, eurokratka w drugim pokoleniu, od rosyjskiej agresji na Ukrainę stała się jednak bardziej czytelna. W każdym razie jeśli wierzyć francuskiemu dziennikowi „Libération". W październiku 2022 r. brukselski korespondent gazety Jean Quatremer zarzucił jej, że ma „dużą skłonność do dostosowywania się do potrzeb Berlina". Wówczas chodziło o reformę rynku energii, a zwłaszcza mechanizm oddzielenia ceny energii elektrycznej od ceny gazu, czego domagały się Francja, Hiszpania i Portugalia, a Niemcy się sprzeciwiały. Pani przewodnicząca w końcu zmieniła zdanie i zaproponowała reformę, jak twierdził Quatremer, ale dopiero gdy Berlin sam dokonał zwrotu w tej sprawie.

Dla krajów południa Europy „szokujący" był również tzw. Doppelwumms, co można przetłumaczyć jako podwójne uderzenie. Tego słowa użył kanclerz Olaf Scholz, by określić warty 200 mld euro niemiecki program hamowania cen energii. Była to jego własna językowa inwencja. Rzym, Paryż i Madryt znów były oburzone, jak i kolega von der Leyen, komisarz ds. rynku wewnętrznego, Francuz Thierry Breton. Krytykowali oni niemieckie plany, ostrzegając przed „wyścigiem na dotacje". A von der Leyen milczała. Według Quatremera „szefowa Komisji działa wtedy, gdy chce tego Berlin. A jeśli Berlin nie chce o czymś słyszeć, to ona też nie" – pisał korespondent „Libération". Przypomnijmy: przed inwazją Rosji na Ukrainę von der Leyen starała się nie antagonizować Kremla. W sierpniu 2021 r. odmówiła udziału w uroczystościach z okazji święta narodowego Ukrainy. Była rzekomo „zbyt zajęta". Czym – do dziś nie wiadomo. Gdy 27 lutego 2022 r. Berlin ustami Scholza ogłosił tzw. Zeitenwende, epokową zmianę polityki wschodniej, ton szefowej KE wobec Rosji również się zaostrzył.

MAŁA, CZARNA KSIĄŻECZKA

Bawaria, Badenia-Wirtembergia, Saksonia. Każdy kraj związkowy w Niemczech ma własną delegację do Unii, a ich siedziby w Brukseli są często lepiej wyposażone niż te wielu państw członkowskich. Luksusowe wnętrza pokazują, dlaczego Niemcy tak dobrze czują się w UE. Federalizm leży w ich naturze. Gdy wejdzie się na stronę internetową Komisji Europejskiej, w oczy rzucają się liczne podróże zagraniczne von der Leyen. Od chwili objęcia przez nią stanowiska w 2019 r. ponad 230 wizyt w 60 krajach – od Ruandy po Koreę Południową.

Jak pisze portal EURACTIV, kraj, do którego szefowa Komisji jeździła najczęściej, to jednak Niemcy. Odwiedziła swoją ojczyznę aż 33 razy, dwa razy częściej niż kolejny kraj na liście, Francję. „W ciągu ostatnich dwóch lat jej kalendarz odbywa więcej spotkań dwustronnych z premierami niemieckich landów niż z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem" – czytamy. Portal cytuje Johannesa Lindnera, dyrektora Centrum Jacquesa Delorsa, który bez ogródek stwierdza, że „von der Leyen jest zasadniczo komisarzem niemieckim".

Także portal Politico nie raz zarzucał von der Leyen „wierne spełnianie życzeń Berlina". „Niemiecki egoizm staje się problemem dla przewodniczącej Komisji Europejskiej, która ryzykuje, że zostanie uznana za niemiecką marionetkę w oczach swoich kolegów i stolic UE" – twierdził portal kilka lat temu.

Teraz, gdy von der Leyen stara się o kolejną kadencję na czele Komisji Europejskiej, Politico postanowił sprawdzić, komu polityk, którą media za Odrą wyśmiewały latami jako „wiecznego rezerwowego kanclerza", poświęcała najwięcej czasu. Okazuje się, że lobbystom niemieckiego przemysłu. „Niemiecki przemysł dominuje w małej, czarnej książeczce Ursuli von der Leyen" – pisze portal. Według Politico ujawnione spotkania szefowej KE z lobbystami pokazują, że sektor prywatny – zwłaszcza firmy niemieckie – miał doskonały dostęp do przewodniczącej KE. „W pewnym sensie to zrozumiałe. Ursula von der Leyen jest Niemką i lubi spotykać się z Niemcami" – twierdzi Politico. To jednak zadaje kłam twierdzeniom, że komisarze europejscy, zwłaszcza szefowa władzy wykonawczej UE, zostawiają swoją lojalność narodową pod drzwiami Berlaymontu.

Von der Leyen na pewno udowodniła, że preferuje rodzimy biznes. Mowa o spotkaniach z 69 firmami i organizacjami z Niemiec, a dla porównania zaledwie z jedną z Polski czy z trzema z Estonii. W przypadku Francji było to 49 firm i organizacji, pokazując wagę francusko-niemieckiego tandemu. W jej terminarzu dominowały przedsiębiorstwa niemieckie, które stanowią jedną czwartą wszystkich firm, z którymi przewodnicząca KE spotkała się podczas swojej kadencji. Była przy tym bardziej otwarta na rozmowy z przedstawicielami przemysłu, czyli na lobbing, niż jej poprzednik Jean-Claude Juncker czy komisarz Thierry Breton, do którego obowiązków to należy. Spośród 13 firm, z którymi spotkał się Juncker, pięć miało siedzibę w Niemczech, pięć we Francji, dwie w USA i jedna w Luksemburgu.

RATOWAĆ PRZEMYSŁ

Na informacje Politico Komisja Europejska oczywiście odpowiedziała, że „nie ma w tym niż zdrożnego czy niezwykłego". Odsetek niemieckich firm w terminarzu pani przewodniczącej jest mniej więcej równy udziałowi Niemiec w PKB Unii. A zaangażowanie von der Leyen w przemysł odzwier-

eprasa.pl 5f6f9c76fc

ciedla „bezprecedensowe wyzwania, przed którymi stanął unijny blok od czasu objęcia przez nią urzędu w 2019 r. oraz jej dążenie do bardziej ekologicznej i cyfrowej przyszłości". Jak wiadomo, niemiecki przemysł jest mocno do tyłu w cyfryzacji, stąd tak duże zaangażowanie szefowej unijnej egzekutywy. Rzeczniczka Komisji Arianna Podesta powiedziała Politico, że podczas organizacji spotkań z von der Leyen i jej gabinetem „nie bierze się pod uwagę" kraju, w którym firmy mają siedzibę. „Spotkania przewodniczącej i jej gabinetu w pełni odzwierciedlają priorytety polityczne Komisji" – czytamy. Jednym z tych priorytetów, oprócz ekologii i cyfryzacji, ma być „transformacja technologiczna UE".

Nie da się ukryć, że von der Leyen preferuje towarzystwo sektora prywatnego: 72 proc. organizacji, z którymi się dotąd spotkała, to firmy lub stowarzyszenia branżowe. Chociażby 19 lutego br. odbyła spotkanie za zamkniętymi drzwiami w zakładach niemieckiego giganta chemicznego BASF w Antwerpii. Premier Belgii Alexander De Croo zaprosił ją tam na rozmowy o przyszłości „europejskiego przemysłu chemicznego", który od dawna skarży się na konkurencję z Chin, wysokie ceny energii i surowe unijne regulacje środowiskowe. BASF to największy przemysłowy konsument gazu w Niemczech. W październiku 2022 r. koncern ogłosił, że „na stałe" ograniczy swoją działalność w Europie, powołując się na rosnące koszty energii i obawy dotyczące regulacji. Firma rozważa przeniesienie do Chin. Utajniony charakter spotkania z branżą chemiczną został skrytykowany zarówno przez dziennikarzy, jaki i ekologów. Ale skoro Unia Europejska ma się stać superpaństwem, geopolitycznym graczem zdolnym do konkurowania z takimi mocarstwami, jak USA, to takie rozmowy są zapewne nieuniknione.

Koncerny, szczególnie niemieckie, domagają się od KE przede wszystkim poluzowania zasad dotyczących państwowych subwencji. Inaczej przeniosą swój kram na bardziej przyjazne pastwiska, gdzie nie straszy europejski Green Deal, podatki są niskie, a subwencje dostępne aż w nadmiarze, jak choćby w USA, gdzie w 2022 r. prezydent Joe Biden ogłosił tzw. pakiet antyinflacyjny. Daje on nie tylko szansę na skuteczniejszą walkę ze zmianami klimatu, lecz także na wzmocnienie amerykańskiego przemysłu. Twórcy programu liczą na budowę nowych fabryk w „pasie rdzy" – środkowych stanach, które szczególnie ucierpiały w globalnej konkurencji o miejsca pracy. Część produkcji zamierza tam przenieść m.in. niemiecki koncern Bayer.

> Von der Leyen udowodniła, że preferuje rodzimy biznes. Mowa o spotkaniach z 69 firmami i organizacjami z Niemiec, a dla porównania zaledwie z jedną z Polski czy z trzema z Estonii. W przypadku Francji było to 49 firm

POWTÓRKA?

Von der Leyen rozpoczynała kadencję w grudniu 2019 r., w przededniu licznych kryzysów, z którymi sobie nie poradziła. Sprawa zakupu szczepionek za pomocą SMS od koncernu Pfizer ciągnie się za nią do dziś, m.in. w formie procesów sądowych. Rozszerzyła także znacznie granice swojego mandatu, próbując przekształcić UE w bardziej asertywnego aktora globalnego ze sobą na czele. Rezultatem było rozszerzenie uprawnień bloku, nadmiernie ambitny i kontrowersyjny program redukcji emisji CO_2, który stał się powodem protestów rolników na całym kontynencie, wdrożenie 13 pakietów szeroko zakrojonych sankcji na Rosję, których skuteczność jest ograniczona, oraz plany wspólnych zamówień na zbrojenia, które nie ziściły się do dziś.

Mimo to von der Leyen marzy o drugiej kadencji. Do tego będzie potrzebowała poparcia państw członkowskich. Złośliwcy twierdzą, że je otrzyma, bo jest tak mało kompetentna, że nikomu nie zawadza, szczególnie Niemcom, którzy pozbyli się jej z MON, gdzie usiłowała zreformować wojsko za pomocą zewnętrznych konsultantów oraz pokazów mody ciążowej dla żołnierek. Może dlatego kanclerz Scholz opowiedział się przeciwko jej kandydaturze na stanowisko szefa NATO. Inni wskazują na skomplikowaną relację szefowej KE z własną partią, niemiecką CDU, na rodzimym gruncie bardzo krytyczną wobec europejskiego Green Dealu. Manfred Weber, szef EPL, europejskiej rodziny CDU i główny kandydat CSU, bawarskiej siostrzanej partii CDU, otwarcie opowiadał się za wycofaniem unijnego zakazu stosowania silników spalinowych. „Jeśli EPL uda się zapewnić większość po wyborach europejskich, cofniemy zakaz" – obiecał w grudniu, w innym miejscu twierdząc, że ta polityka szkodzi sztandarowemu przemysłowi motoryzacyjnemu Bawarii".

Von der Leyen jest na ścieżce kampanijnej, dlatego lawiruje między rolą kandydata a szefowej KE. W szczególności w sprawie klimatu balansuje między obroną swojego dziedzictwa Zielonego Ładu a odpowiedzią na obawy wyborców swojej partii, takich jak rolnicy i biznes, skupiając się na konkurencyjności, bezpieczeństwie i migracji. Raz wyraża gotowość do cofnięcia najbardziej drażniących środowiskowych przepisów, innym razem podkreśla, że w przypadku drugiej kadencji „utrzyma kierunek najważniejszych reform", ustalony w ramach jej obecnego mandatu – Zielonego Ładu, federalizacji czy transformacji cyfrowej. Bądź co bądź, von der Leyen jest Niemką i szefową egzekutywy (niemieckiej) Europy. A jeśli zostanie na kolejną kadencję i nawet cofnie część środowiskowych regulacji pod presją ulicy, ta rzecz na pewno się nie zmieni.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Dzieje miliona pocisków

Rzadko które przedsięwzięcie tak dobrze ilustruje obłudę Unii Europejskiej, jej niezborność i dysfunkcjonalność, jak próby dostarczania amunicji walczącej Ukrainie

DARIUSZ MATUSZAK

Dokładnie rok temu Kijów zwrócił się do Unii Europejskiej z prośbą o dostarczenie 1 mln sztuk najczęściej używanych pocisków artyleryjskich – kal. 155 mm. Wydaje się, że to dużo, ale to zapas ledwie na pięć miesięcy. Ukraińscy żołnierze wystrzeliwują ok. 7 tys. pocisków dziennie. W marcu 2023 r. Rada Europejska podjęła zobowiązanie, a Komisja Europejska je potwierdziła, że do marca 2024 r. amunicja dotrze na Ukrainę.

Dostawy miały pochodzić z trzech źródeł. Pierwsze to zapasy państw unijnych; dzięki temu, że ogołocono europejskie magazyny, 300 tys. sztuk amunicji dotarło na Ukrainę. I to wszystko, póki co koniec. Pozostałe pociski miały być zakupione w europejskich fabrykach (180 tys. sztuk) i pochodzić z dodatkowych zamówień, kiedy ich moce produkcyjne zostaną zwiększone. Na to UE ma osobny program. Tak czy owak amunicja może kiedyś dotrze na Ukrainę. Albo i nie. Zaś powody, dla których Ukraińcy otrzymują zbyt mało pocisków, są i poważne, i groteskowe. Wszystko sprowadza się do unijnej niemożności, dysfunkcjonalności oraz zwykłej obłudy. Bruksela zrobiła to, co potrafi najlepiej – ogłosiła programy pomocy i nadała im wdzięczne nazwy.

300 TYS. POCISKÓW ROCZNIE

UE jest rozbrojona i to pierwszy powód braku dostatecznej pomocy dla Ukrainy. Państwa członkowskie przez lata zaniedbywały swój przemysł obronny i siły zbrojne, ustawiając się w roli pasażera na gapę, któremu pokój i bezpieczeństwo się należą. Jest przecież darmowy ochroniarz, czyli Stany Zjednoczone. Niech spokój Europejczyków opłacają amerykańscy podatnicy.

Kiedy więc złożono zamówienia, okazało się, że nie ma ich kto wykonać. Np. fabryka norwesko-fińskiego koncernu Nammo w szwedzkim Karlskoga, pracująca całą dobę przez siedem dni w tygodniu, produkuje dwa razy więcej niż przed wybuchem wojny, jednak zamówień jest tak dużo, że czas oczekiwania na amunicję sięga nawet pięciu lat. Są zakłady po drugiej stronie granicy, w norweskim Hamarze, ale tam nie ma dość energii, by zwiększyć produkcję. Prądu brakuje, bo jest zasysany przez wielką serwerownię chińskiego TikToka, a nie da się go przesłać, bo sieć nie wytrzyma obciążeń. Wojna trwała już ponad 12 miesięcy, gdy dyrektor zakładów Morten Brandtzæg ostrzegał w rozmowie z „Financial Times", że przechowywane na serwerach TikToka filmy o kotkach zagrażają rozwojowi fabryki. Chińczycy jakimś cudem dostali zgodę na postawienie swego internetowego biznesu w Hamarze, więc fabryka się nie rozwija, a tabuny przybyszy z Państwa Środka mogą się kręcić w okolicy wielkich zakładów zbrojeniowych i służbom nic do tego. Są jak u siebie. Tak więc unijne 180 tys. pocisków dla Ukrainy czeka na swą kolejkę.

Gdzieś one powstają, ale z dokumentów, które w ub.r. wyciekły z estońskiego resortu obrony, wynika, że wszystkie europejskie zakłady mają potencjał produkcji w wysokości ok. 230 tys. pocisków artyleryjskich rocznie. To tyle, ile Ukraina zużywa w miesiąc. W listopadzie 2023 r. unijny komisarz Thierry Breton twierdził, że w ciągu roku moce produkcyjne wzrosły 20–30 proc. ale to wciąż oznacza zaledwie 300 tys. pocisków rocznie.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Nie ma pewności, czy te dane są prawdziwe, bo informacje o potencjale zbrojeniowym stanowią tajemnicę. Dość prawdopodobne liczby pokazują jednak, jaka jest skala wieloletnich zaniedbań i aktualnych potrzeb. Jeszcze w ub.r. ok. 40 proc. europejskiej produkcji szło na eksport. Producenci nie mogą zrywać kontraktów ot tak, bo przyjdzie zamówienie z UE.

Sposobem na rozwiązanie problemu jest rozbudowa firm produkujących amunicję. Te jednak nie chcą ryzykować własnymi pieniędzmi, co jest zrozumiałe, zwłaszcza po doświadczeniach przedsiębiorstw farmaceutycznych z okresu pandemii. Po spotkaniu z przedstawicielami branży zbrojeniowej ukraiński minister spraw zagranicznych Dmytro Kułeba mówił, iż jego rozmówcy obawiają się, że dokonają ogromnych inwestycji, zatrudnią ludzi, a po roku, dwóch zamówienia gwałtownie się skończą i ich firmy upadną. Potrzebują więc gwarancji zamówień oraz funduszy, a na te UE w ramach nie wiadomo już którego podprogramu (nazywa się on ASAP – Act in Support of Ammunition Production) przeznacza ok. 0,5 mld euro.

I tu jawi nam się cała ona, cała Unia, cała na biało, w swej najczystszej, najszczerszej postaci. Jest marzec 2024 r. i wojna na Ukrainie trwa już ponad dwa lata, a Bruksela być może, bo nie wiemy, czy na pewno, właśnie zaczęła rozpatrywać wnioski firm (termin ich składania upływał w grudniu 2023 r.) o przyznanie funduszy na rozbudowę potencjału produkcji pocisków. To w ramach owego wielkiego projektu, czyli zobowiązania Rady Europejskiej i Komisji Europejskiej z marca 2023 r., że do marca 2024 r. UE dostarczy Ukrainie 1 mln pocisków. Nie wiadomo, by w lutym 2024 r., a tak przewidywał harmonogram ASAP, ktokolwiek pochylił się nad wnioskami. ASAP to też skrót od powiedzenia „As soon as possible" („tak szybko, jak to możliwe"), więc być może już w kwietniu 2024 r. pierwsze firmy dostaną środki na rozbudowę zakładów, by wyprodukować amunicję, która do marca 2024 r. miała być wysłana na Ukrainę.

> Zakłady zbrojeniowe w norweskim Hamarze mogłyby zwiększyć produkcję, ale potrzebują prądu. Tego jednak brakuje, bo energia w tej okolicy jest zasysana przez wielką serwerownię chińskiego TikToka

HAMULCOWI

Ale nie tylko Unia jest jedyna w swym rodzaju, niepowtarzalna. Podobny urok mają poszczególne kraje członkowskie, np. Niemcy, które jak żadne państwo na świecie dmą w trąby na pomoc Ukrainie. Właśnie się okazało, że po raz enty zablokowano wysyłkę pocisków samosterujących Taurus. Tym razem na osobisty rozkaz kanclerza Scholza. Jak oznajmił przywódca narodu niemieckiego, mogłyby one uderzyć w coś w Rosji i w ten sposób Niemcy wplątałyby się w wojnę. Ta logika jest niepodrabialna, aż lepka od obłudy. Ukraińcy powinni obiecać, że będą strzelać tylko w Ukrainę, ale tylko w wybrane obszary, np. już nie w ruskie jednostki na Krymie. Najlepiej, żeby Ukraińcy sami się zbombardowali, bo dzięki temu może zapanuje szybciej pokój.

Ale my jako szczerzy Europejczycy kochamy nie tylko rząd federalny w Berlinie, lecz także władze poszczególnych landów czy miast. Jak się okazuje, w rozbudowie fabryk amunicji mogą przeszkodzić nie tylko filmiki z kotkami – również salon meblowy, stacja benzynowa, plac zabaw czy cokolwiek, co sobie wymyślą miejscy rajcy. Oto w położonym niedaleko Kolonii Troisdorfie firma DyniTEC produkuje materiały wybuchowe, używane m.in. w rakietach przeciwlotniczych Iris-T, chroniących niebo nad Kijowem. Właścicielem firmy, jak i producentem rakiet jest niemiecki koncern Diehl Defence, który potrzebuje teraz dwa, trzy razy więcej materiałów i dlatego chce rozbudować fabrykę w Troisdorfie. Do tego są potrzebne dodatkowe tereny, ze względów bezpieczeństwa oddalone od zabudowań. Pomysł rozbudowy fabryki nie spodobał się jednak radnym CDU i Zielonym, więc miasto zastrzegło sobie prawo pierwokupu gruntów, które chciałby nabyć DyniTEC, a rajcy oświadczyli, że na tych coś działkach stanie. Co? Na razie nie wiadomo – może centrum ogrodnicze, a może osiedle mieszkaniowe albo coś innego, w każdym razie nie hale produkcyjne.

Fabryka materiałów wybuchowych w Troisdrfie nie będzie rozbudowywana, ale za to niedaleko Drezna w ogóle nie powstanie zakład prochu nitrocelulozowego, także potrzebnego w pociskach. Chciał ją postawić największy niemiecki koncern zbrojeniowy Rheinmetall, któremu Bundestag obiecał wielkie zlecenia. Przeciwko budowie zaprotestowało jednak 16 z 22 tamtejszych radnych, więc burmistrz, którego czekają wybory, oświadczył, że trzeba się wsłuchać w głos ludu i zorganizować referendum w tej sprawie. W międzyczasie Bundestag, a jakże, znów potwierdził obietnicę zamówień, oświadczył, że lokalizacja fabryki w Saksonii bardzo się podoba, ale nie da żadnych gwarancji finansowych i nie wypłaci zaliczek, więc po kolejnych korowodach Rheinmetall zrezygnował i zakładów nie będzie.

Oto więc nauka dla wielkich strategów od geopolityki, wojskowych i ekspertów. Oni mogą rozgrywać partię na wielkiej szachownicy, rozmyślać, co się stanie, gdy Huti z Jemenu zablokują cieśninę Ormuz, jak potoczy się ukraińska kontrofensywa i narzekać na Ukraińców, że za mało się starają, a tu okazuje się, że najwięcej do powiedzenia mogą mieć panie Berta i Helga z panami Olafem i Hansem z lokalnych rad. Nie ma nawet sensu zastanawiać się, czy płynęły tam kochane pieniążki z Rosji, czy co tam w Saksonii wyprawia jakiś były agent Stasi.

Cała historia z owym 1 mln pocisków, jeden z wielu przykładów tego, jak Unia i niektóre jej państwa pomagają Ukraińcom, jest tak żenująca, że aż brakuje słów komentarza. Wojna na Ukrainie trwa już 740 dni.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Płyta na złe czasy

Z Dariuszem „Maleo" Malejonkiem, wokalistą i gitarzystą zespołu 2Tm2,3, rozmawia Goran Andrijanić

24 lutego br. miała miejsce premiera nowej płyty zespołu 2Tm2,3 „Sursum Corda". Jest to pierwsza „czadowa" płyta zespołu po 18 latach.

Dariusz „Maleo" Malejonek: Tak. W 2006 r. nagraliśmy płytę „888". Potem przez długi czas nie było „czadowej" płyty. „Dementi" i „Źródło" były raczej spokojniejsze, bardziej akustyczne.

Ale to właśnie z „czadową muzyką" są związane początki zespołu.

Od takiej muzyki zaczęliśmy i ta muzyka z pierwszych lat naszej aktywności zrobiła w Polsce duże poruszenie. To było tak mocne, że wyszło poza kręgi chrześcijańskie. W ub.r. grałem dużo koncertów. Zdarzało się, że byłem w miejscach, w których graliśmy z 2Tm2,3 nawet 20 lat wcześniej. Spotykałem tam ludzi, którzy mówili mi, że nawrócili się wtedy na koncertach Tymoteusza. Okazuje się, że jest rzesza tych, którzy po naszych występach zmienili swoje życie. Znam wiele takich świadectw. Niektórzy z tych ludzi są dziś księżmi albo zakonnikami.

Pokolenie 2Tm2,3?

Można tak powiedzieć [śmiech]. Ale była też Armia i Houk. Jakiś czas temu dostałem e-maila od chłopaka, który opisał mi, jak przed 20 laty był na koncercie Houka pijany i naćpany. Pamiętam ten występ, bardzo dziwnie się na nim czułem. Na koncertach zawsze mówiłem świadectwa, a tu nie mogłem nic powiedzieć. Powiedziałem tylko: „Zostańcie z Bogiem". I ten chłopak po ponad 20 latach napisał, że kiedy usłyszał te słowa, on po prostu poczuł się wściekły, zaczęło w nim coś mocno targać. Po pewnym czasie poszedł do spowiedzi i wrócił do Kościoła. Założył rodzinę i dziś ma piątkę dzieci. Czuł nawet pragnienie, żeby wyjechać na misję do Chin. To nie jest tak, że wydaje się nam, że coś robimy. Są konkretne świadectwa ludzi, których życie zmieniło się po naszych koncertach.

Czy ta płyta też będzie działała na słuchaczy w taki sposób?

Tego się nigdy nie wie. Ale mam świadomość, że zapotrzebowanie na tę płytę jest duże. Dostaliśmy mnóstwo wiadomości od ludzi, którzy się cieszyli, że ją wydajemy i że na nią czekali. To nie jest tak, że sami ustalamy, kiedy mamy nagrywać, a kiedy nie. Głęboko w sercu czuję, że to Bóg nas natchnął, aby zrobić ją teraz. To nie wyszło od nas.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

W czasie prób i nagrywania tej płyty czuliśmy niesamowitą atmosferę, braterstwo. Wróciła ta chemia, wspólny duch, który nie jest dany raz na zawsze, wiele kapel go traci

Płyta na te czasy. A jakie one są?

Wydaje mi się, że ludzie są bardzo przygnieceni wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich lat. Pandemią, wojną na Ukrainie, wszystkimi zmianami, których doświadczamy. Bardzo potrzebują nadziei, podstawy i fundamentu na życie, które jest niestabilne i kruche. Wszystko zmienia się bardzo szybko, a ludzie potrzebują czegoś stałego, żeby mogli się tego złapać. Dlatego ta płyta jest tak ważna. Czasy, w których żyjemy, są coraz bardziej apokaliptyczne, to widać gołym okiem. Zło jest bardzo mocne i widać je wszędzie. Dosłownie bombarduje nas, nasze dzieci i wnuki w szkołach oraz mediach. To zło powoduje, że mnóstwo nie tylko młodych ludzi zatraca się w tym. Nawet dorośli są atakowani i, np. w czasie pandemii i po niej mnóstwo dorosłych mężczyzn wpadło w sidła pornografii. Coraz młodsi mają problemy z sobą. Brakuj miejsc na oddziałach psychiatrycznych dla dzieci i młodzieży. Mam znajomą pielęgniarkę, która mówi, że do jej szpitala prawie codziennie trafiają dzieciaki po próbie samobójczej.

Żyjemy w coraz bardziej sztucznym świecie szklanych ekranów, które niszczą relacje międzyludzkie i ludzie czują się coraz bardziej samotni i wyalienowani. Rodzice nie mają kontaktu ze swoimi dziećmi. Brak sensu życia wielu wpędza w depresję.

Jaka jest wasza odpowiedź na te ataki?

Tylko jedna: modlitwa i Pismo Święte. Bardzo nam zależało, żeby teksty na płycie były dokładnie na obecne te czasy.

Apokaliptyczne?

Tak. Ale w tych czasach jest bardzo obecna Maryja. Św. Jan Paweł II mówił, że wchodzimy w czasy Ducha Świętego, czyli czasy Maryi, bo ona jest pełna Ducha Świętego. Można zobaczyć coraz większą rolę Maryi w świecie i w Kościele. Widać to też w Medjugorie, gdzie od wielu lat jeżdżę z rodziną. To miejsce jest dla mnie pewnym drogowskazem. Tam jest Maryja, która właśnie teraz chce działać i pomagać ludziom. Chce ich przeprowadzić przez ten ciężki czas.

Zawsze mnie ciekawiło, jak wygląda proces pisania piosenek w 2Tm2,3.

Przeważnie najpierw powstaje muzyka, a potem szukamy do tego odpowiedniego tekstu. Często po prostu biorę Pismo Święte i nagle doznaję inspiracji, widzę wtedy, że to nie jest ode mnie, ale że prowadzi to Bóg. My jesteśmy tylko przekaźnikami, nie czujemy się niczym więcej. Przekaźnikami nadziei i dobrej nowiny, że Bóg nas kocha i przeprowadzi przez ten ciężki czas.

Zawsze robiliście muzykę, która docierała do młodych. Czy ta płyta też ma taki cel?

Nie wiem, czy teraz zostaliśmy posłani do młodych. Wydaje mi się, że jesteśmy raczej do utwierdzania tych, którzy byli bardzo młodzi, kiedy zaczynaliśmy. Dzisiaj młodzież w znacznej części słucha rapu i popu. Moim zdaniem większość przychodzących na nasze koncerty to ci, którzy znają naszą muzykę, wychowali się na niej, pomagała im w życiu. Teraz znaleźli się w jakichś trudnych sytuacjach i potrzebują od nas wzmocnienia, pokrzepienia serca. Chociaż na koncertach widzę sporo młodych twarzy. Może to dzieci naszych starych fanów? [śmiech]

Wszyscy księża, z którymi rozmawiam, mówią mi, że młodzi są największym problemem i ciężko jest dotrzeć do nich z Dobrą Nowiną. Masz jakiś pomysł, jak to zmienić?

Nie mam żadnego. Myślę, że oni mają swoją muzykę i pewnie teraz Bóg powoła jakichś ludzi, którzy będą im to głosić. Byłem i dalej jestem zapraszany do szkół, gdzie na spotkaniach mówię o Panu Bogu i trochę gram na gitarze. Młodzież dobrze na to reaguje. Może właśnie to jest pomysł na nich: traktować młodych indywidualne, spotykać się z nimi twarzą w twarz. Masowe zgromadzenia nie są już tak ważne jak kiedyś.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Powiedziałeś wcześniej, że album powstał po tym, jak wszyscy poczuliście, że przyszedł na niego czas.

Od kilku lat mówiliśmy sobie, że trzeba nagrać płytę. Nagle przyszedł taki moment, że wszyscy zrozumieliśmy, że trzeba to zrobić teraz. Robert Friedrich „Litza" zarezerwował termin w swoim studiu, umówiliśmy się na próby, które trwały kilka dni. Po trzech takich spotkaniach weszliśmy do studia i nagrywaliśmy na żywo. Ja, Tomasz Budzyński oraz „Litza" robimy swoje numery w domu, a potem przychodzimy z tymi pomysłami do zespołu. Dwie piosenki na tej płycie skomponował Robert Dręże k. Każdy utwór zawsze trochę się zmienia, bo każdy coś od siebie dodaje. Kiedy wszystko skończyliśmy, byliśmy zadowoleni, a wręcz szczęśliwi. W ogóle w czasie tych prób i nagrywania czuliśmy niesamowitą atmosferę, braterstwo. Wróciła ta chemia, wspólny duch, który nie jest dany raz na zawsze, wiele kapel go traci.

Dlaczego znowu płyta „czadowa"?

Bo są takie czasy. Brakowało nam też grania „czadowego", nowych piosenek w takim stylu. To nie jest tak, że mieliśmy zupełną przerwę, bo zawsze wciągu roku graliśmy kilka „czadowych" koncertów. Natomiast tęskniliśmy już do tego, żeby zrobić coś nowego, bo jednak po pewnym czasie brakuje nowego ducha, takiej świeżości i powiewu nowego czasu. 2Tm2,3 chciał nagrać płytę „czadową" i taką ona jest. Tak naprawdę, w muzyce było już wszystko, teraz tylko łączymy rożne elementy jak klocki Lego.

Dla mnie niezależnie od gatunku w muzyce liczą się przede wszystkim szczerość, prawda i emocje. Zawsze śledziłem nowe trendy, a od kiedy mam audycje w radiu, jeszcze bardziej staram się odkrywać nowe, ciekawe kapele – polskie i zagraniczne. Zauważyłem, że młodzi bardzo się inspirują muzyka z początków lat 90. XX w. Ciekawostką jest, że ostatni album Micka Marsa z zespołu Mötley Crüe jest na szczytach wszystkich list przebojów. Zdetronizował nawet najnowszego Kanyego Westa, a brzmieniowo to przecież lata 80.

Kiedy zespół 2Tm2,3 zaczynał swoją muzyczną drogę, czyli w drugiej połowie lat 90., wasze nawrócenia zrobiły zamieszanie w opinii publicznej. Wielu ludzi wracało do Kościoła. Teraz mamy do czynienia z coraz większą liczbą publicznych apostazji. Co się z nami stało?

Żyjemy w czasach polaryzacji, w których trzeba będzie się opowiedzieć. Jesteś na tak czy na nie? Jesteś po tej stronie czy po tamtej? Tak się dzieje w wielu kwestiach, ale szczególnie w duchowej. Zauważyłem, że jest wielkie zamieszanie duchowe, jeśli chodzi o mężczyzn w średnim wieku. Rozmawiam z księżmi i mówią mi, że dużo dorosłych szuka Boga, bo ich życie jest niespełnione, zawiedli się na sobie, na żonie, na różnych sytuacjach. Co więcej, powstają wspólnoty, w którym gromadzą się sami mężczyźni, np. Wojownicy Maryi to wspólnota dojrzałych ludzi, którzy idą za Maryją. W czasach, w których zaczynaliśmy, tego nie było.

> To nie jest tak, że sami sobie ustalamy, kiedy mamy nagrywać, a kiedy nie. Ja to czuję głęboko w sercu, że Bóg nas natchnął, aby zrobić tę płytę teraz. To nie wyszło od nas

Bardzo ważna jest tu rola różańca. To jest dla mnie niesamowite. Zostało zresztą przepowiedziane, że w tych czasach różaniec będzie bardzo ważny, będzie dawał ludziom siłę do wychodzenia z nałogów, ze zła i prostowania swojego życia. Niedawno spotkałem w Medjugorie kolegę, który po 40 latach życia w uzależnieniach poszedł do spowiedzi właśnie tam. A to znaczy, że nie jest tak, że wszyscy teraz odchodzą z Kościoła. Sporo ludzi dalej szuka Boga. Tyle że to nie jest takie medialne, bo więcej się mówi o odejściach.

Jest natomiast jasne, że skończyła się pewna epoka. Benedykt XVI mówił, że Kościół idzie jednak w kierunku mniejszych wspólnot, ten masowy już się kończy. Ale wspólnoty, które teraz powstają, są źródłem światła i będą promieniować na innych. Kościół musi też znaleźć inną drogę do młodych ludzi, bo rzeczy, które były dobre 30 lat temu, teraz nie działają.

Gdzie jest miejsce 2Tm2,3 w tym wszystkim?

Jesteśmy tylko częścią całego procesu, małą cegiełką w odrodzeniu wiary.

W ostatnich czasach robiłeś dużo muzyki związanej z tematami patriotycznymi i żołnierzami wyklętymi. Na ręce masz tatuaż z Danutą Siedzikówną. Jak komentujesz fakt, że historia o „Ince" ma być wyrzucona z programu szkolnego?

Kiedy 12 lat temu nagrywaliśmy pierwsze płyty na ten temat, nie mówiło się o tym ani w mediach, ani w szkole. Byliśmy wtedy awangardą. Potem przyszła moda na patriotyzm, na temat żołnierzy wyklętych. Teraz ta fala minęła, ale paradoksalnie chyba niedługo powróci.

Młodzi ludzie mają to do siebie, że jeśli czegoś nie ma w szkole, będą tego szukać sami. Jeżeli teraz naprawdę będzie tak, że znowu spróbują zepchnąć do kąta wyklętych, to wszystko wróci. Patriotyzm może oficjalnie będzie niemodny, ale wróci w formie undergroundowej.

Ktoś z kreatorów nowego programu powiedział, że młodzi nie muszą się uczyć o męczeństwie „Inki" w katowniach UB. Co ty na to?

Oni mogą żyć bez tej wiedzy, bo ludzie żyli bez niej przez lata, ale to jest życie niepełne. Ludzie mogą żyć bez wiary, mogą żyć bez Boga, ale to już mieliśmy. To było w ZSRR, to było w Chinach, próba tworzenia człowieka bez wartości i bez korzeni. I to się nie udało. Myślę, że nie uda się też teraz w Unii Europejskiej, bo okazuje się, że program i wytyczne UE są po to, żeby po prostu stworzyć nowego człowieka, którego będzie można kształtować po swojemu i który będzie podatny na wszelkie ideologie.

Jeśli młodzi nie będą słuchali w domach i szkołach o patriotyzmie, będą szukali wiadomości na ten temat w internecie. Te tematy ich poruszają, bohaterowie, którzy oddają swoje życie za Polskę i bliźnich. Ludzie potrzebują takiego romantyzmu, poruszenia serca, szczególnie młodzi. Moim zdaniem nie da się tego tak łatwo wykorzenić.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

To będzie tydzień pełen wielu filmowych wrażeń. W TVP1 premiera kostiumowego serialu „Matylda". W kinach trzy nakręcone w Polsce produkcje: „Strefa interesów", „Biała odwaga" i „Tyle co nic". 4 marca poznamy laureatów Polskich Nagród Filmowych Orły, a sześć dni później zdobywców Oscarów

Matylda i statuetki

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 5f6f9c76fc

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Jest 1878 r. Matylda Bilińska (w tej roli Maria Kowalska) uczy się na jednej z lubelskich pensji, ale nie jest potulną panienką. To natura niezależna i buntownicza. Za mówienie po polsku, czytanie narodowej literatury romantycznej oraz udział w konspiracyjnych zebraniach kobiet właścicielka bursy postanawia oddać dziewczynę w ręce policji. Matylda ucieka do Brzeziny na Podlasiu, by szukać schronienia u prawnego opiekuna, Witolda Różańskiego (Dariusz Chojnacki). Jej przybycie burzy plany żony Witolda Heleny (Małgorzata Buczkowska). Mocno niepokoi też Maurycego Rubina (Mirosław Haniszewski), który przyczynił się do zesłania ojca Matyldy, przejął jego majątek i zamieszkał w pałacu Bilińkich. Powrót zdeklasowanej dziedziczki rozpoczyna serię zdarzeń, których rozwój i konsekwencje przez 13 odcinków będą mogli śledzić widzowie serialu „Matylda", od 10 marca emitowanego w TVP1 w niedzielne wieczory.

BOHATERKA W PANORAMIE

„W losach głównej bohaterki koncentrują się doświadczenia epoki, także te obyczajowe, związane z pozycją młodej kobiety w tamtym okresie – zapowiada reżyser Krzysztof Lang, dodając: „Pokazujemy również panoramę czasów – opresyjnych politycznie (Polska jest pod zaborami, ponosi konsekwencje upadku powstania styczniowego), ale i obyczajowo".

Reżyser przypomina o ruchach emancypacyjnych, które pojawiły się pod koniec XIX w., przywołuje też powieść Bolesława Prusa „Emancypantki". Jednocześnie zwraca uwagę na znaczącą różnicę cywilizacyjną. Dla nas 1863 r. nierozerwalnie wiąże się z wybuchem powstania styczniowego. Dla mieszkańców Londynu jest to data oddania do użytku pierwszej stacja metra. „To są dwa bieguny historii. My jesteśmy zanurzeni w walce o niepodległość, a Anglicy wkraczają w erę rewolucji przemysłowej. My jesteśmy rozdarci między te dwie epoki, ale w pewnym momencie i Polki zaczynają dążyć do tego, do czego zmierzają kobiety w Europie Zachodniej" – dodaje Lang.

Twórcy serialu obiecują, że śledząc losy głównej bohaterki, widzowie będą mogli zobaczyć szeroką panoramę obyczajową XIX w.: polski dwór, wieś, miasteczko. A na tym tle perypetie, które mogły się przytrafić młodej kobiecie w tamtym czasie i tamtych okolicznościach, a jednocześnie są bliskie współczesnym potrzebom emocjonalnym.

INTRYGUJĄCA PRZESZŁOŚĆ

„Matylda ma urok, ale i siłę" – ocenia Maria Kowalska, absolwentka łódzkiej Filmówki (2020). Widzowie mogą ją kojarzyć z serialem „Pod powierzchnią" (2018–2019), w którym zadebiutowała. W biograficznym serialu „Osiecka" (2020) zagrała Agatę Passent. Przede wszystkim jednak dała się zapamiętać jako Marysia Wilczur w nowej filmowej adaptacji „Znachora" (2023) zrealizowanej dla platformy Netflix. W ub.r. dzięki „Matyldzie" na kilka miesięcy zanurzyła się, jak mówi, w intrygującą przeszłość.

„»Osiecka« przenosiła nas w czasie, ale kobiety nosiły już wtedy dżinsy i w sposobie poruszania się w kostiumie było to zadanie zbliżone do współczesności – komentuje aktorka. – »Znachor« był pierwszym projektem, w którym pojawiły się sukienki, halki, pończochy i pantofle – nieodłączne elementy

eprasa.pl 5f6f9c76fc

kobiecego ubioru, które bardzo mocno »budowały« postać. A »Matylda« to już i gorsety, i tiurniury, i długie suknie, i odpowiednie uczesanie... Chociaż muszę zaznaczyć, że moja bohaterka jest w jakimś stopniu buntowniczką. Jej niezależność, odrębność i charakter przejawiają się także w sposobie ubierania, we fryzurze. Choćby upięcie włosów bardzo mocno odzwierciedlało nastrój Matyldy, moment, w którym się znalazła. Rozpuszczenie włosów stawało się ucieczką od sztywnych konwenansów. Ich ułożenie oznaczało wejście w wymaganą społecznie rolę".

Zdjęcia do serialu trwały od końca wiosny przez całe lato i część jesieni. „Pokochałam w tym czasie Matyldę. Za jej optymizm i nieustające próby mierzenia się z tym, co niesie los – deklaruje Kowalska. – Prywatnie jestem większą życiową realistką, a w działaniach Matyldy widać niepoprawną wiarę w pozytywny obrót spraw. Jej sprzeciwianie się obowiązującym regułom bywa też bardzo spontaniczne, niekiedy wręcz szalone".

ZE STINGIEM

Aktorka zdradza, że przygotowując się do kolejnych ról, do każdej tworzy odrębną, towarzyszącą jej w pracy playlistę. Przy budowaniu postaci Matyldy były to m.in. muzyka Ennia Morriconego i utwory Stinga, których dynamika, jak podkreśla Kowalska, kojarzy jej się z byciem w ciągłym ruchu. „W muzyce Stinga uwielbiam to, że nie pozwala odpocząć, odetchnąć. Oraz że jest w niej, jak w postawie Matyldy, optymizm, wiara, że los może się odmienić i wiele zależy od nas".

Na planie „Matyldy" Maria Kowalska spotkała się m.in. z Karolem Franciszkiem Nowińskim (serialowym Michałem Rubinem). „Z Frankiem bardzo się prywatnie lubimy, studiowaliśmy w łódzkiej Filmówce, byliśmy nie tylko na jednym roku, lecz także w jednej grupie – zdradza. – Na różnych zajęciach zawsze nas razem dobierano. W serialu też tak się stało".

W obsadzie poza wymienionymi aktorami znaleźli się też: Małgorzata Buczkowska, Urszula Grabowska, Ireneusz Czop, Mirosław Zbrojewicz, Jędrzej Hycnar, Emma Giegżno, Maurycy Popiel, Grażyna Sobocińska i Dariusz Chojnacki. Autorem znakomitych zdjęć jest Adam Bajerski.

Oceniając serial „Matylda", Mirosław Haniszewski podkreśla rozmach, wspaniałą scenografię, kostiumy i wciągającą narrację oraz świetną obsadę. O swojej roli mówi: „Maurycy Rubin to jedna z najbardziej odstręczających antypatycznych, ale zarazem charyzmatycznych postaci serialu. Zło wcielone, niezwykle inteligentny, bez hamulców. Wydawałoby się, że takiego bohatera nie da się obronić, ale próbowałem i mam nadzieję, że się udało".

NA EKRANIE I NA GALI

Premiera szeroko filmowanego kostiumowego serialu „Matylda" jest jednym z wydarzeń nadchodzącego weekendu. W tym samym tygodniu do kin trafi walcząca o Oscary brytyjsko-polsko-amerykańska „Strefa interesów" w reżyserii Jonathana Glazera. Pojawi się też „Biała odwaga". Film Marcina Koszałki jest propozycją wyważoną i zarazem poruszającą z powodu losu bohaterów, a także rewelacyjnych zdjęć Tatr, brawurowych wspinaczkowych sekwencji i świetnych ról, choć w wielu medialnych przekazach zapowiadaną jedynie jako „kontrowersyjna" z powodu podjęcia tematu Goralenvolku.

Trzecia ważna kinowa premiera tygodnia to debiutancki film Grzegorza Dębowskiego „Tyle co nic". Opowieść zaskakująca, oryginalna i bardzo na czasie, nagrodzona w Gdyni za reżyserski debiut, scenariusz i dwie aktorskie kreacje. Z szansą na kolejne statuetki – tym razem Orłów.

DLA KOGO STATUETKI?

Gala wręczenia 26. Polskich Nagród Filmowych Orły odbędzie się w poniedziałek, 4 marca. „Tyle co nic" zdobyło nominacje w trzech kategoriach: reżyseria, scenariusz i reżyserskie odkrycie roku. Zwycięzców (w 20 kategoriach) wyłania w głosowaniu ponad 800 członków Polskiej Akademii Filmowej. W tej edycji najwięcej nominacji zdobyły filmy „Kos" Pawła Maślony (16) oraz „Doppelganger. Sobowtór" Jana Holoubka i „Filip" Michała Kwiecińskiego (13). „Chłopi" DK Welchman i Hugh Welchmana mają szansę na osiem statuetek.

Znając już wybory członków Polskiej Akademii Filmowej, w nocy z 10 na 11 marca naszego czasu będziemy mogli śledzić najważniejsze filmowe wydarzenie roku, czyli 96. galę Oscarów. Wśród faworytów są filmy: „Oppenheimer" (13 nominacji), „Czas krwawego księżyca" (11) i „Barbie" (8). „Strefa interesów" otrzymała pięć nominacji, w tym dla najlepszego filmu.

Czytaj też Moje szlaki str. 74

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 5f6f9c76fc

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Wojsko przed sądem: amerykański dwugłos

Podejmuję heroiczną próbę przywołania na tak ograniczonej przestrzeni aż dwóch filmów. Tak się bowiem złożyło, że dwie stacje przypomniały niemal równocześnie dwa amerykańskie tytuły, które tworzą coś w rodzaju dwugłosu na temat amerykańskiej armii i amerykańskiej sprawiedliwości.

AMC pokazał „Ludzi honoru" z 1992 r. Nakręcił to Rob Reiner, twórca m.in. „Misery" i „Wilka z Wall Street". To klasyczny dramat sądowy z całym widowiskowym rytuałem amerykańskich rozpraw, zarazem mamy opowieść o procesie przed sądem wojskowym. Wszyscy protagoniści noszą mundury. Stawką staje się los oskarżonych oraz reputacja armii USA.

Dwaj marines są sądzeni za zabójstwo kolegi. Trójka obrońców (Tom Cruise, Demi Moore, Kevin Pollack) stopniowo się przekonuje, że wykonywali oni tylko rozkazy przełożonych, a ci organizowali falę przeciw komuś, kto ich zdaniem był zakałą jednostki. Na dokładkę rzecz cała działa się w bazie Guantanamo na Kubie, a więc w miejscu niemal frontowym.

Rzecz kończy się widowiskowym starciem prawdziwego winnego, apodyktycznego płk. Jessepa z por. Kaffee. Poza wszystkim to wielkie role Jacka Nicholsona (obecnego tylko w tej jednej scenie) i Toma Cruise'a. Jessep patrzy na sąd z góry, ale posługuje się formułkami na temat żołnierskiego obowiązku wykonywanego w miejscu szczególnie niebezpiecznym. Macie do mnie pretensje, ale oczekujecie, że będę was bronił – do tego sprowadzają się jego tyrady. Ostatecznie z powodu własnej pychy oficer sam się pogrąża.

Jest to bardzo dobrze zagrane, trzyma w napięciu przez cały czas. Co więcej – uzasadnione w swej wymowie, jeśli przyjąć prawdopodobieństwo takiego zdarzenia. Zresztą w finale amerykański system otwartej sprawiedliwości działa. I tylko jedna wątpliwość. Takich filmów trochę było, może to nawet realizacja popkulturowego stereotypu armii. Jessep działa w złej wierze, ale przecież jego słowa o obronie ojczyzny są prawdziwe. A odruchem widza będzie po takich widowiskach uznanie podobnych argumentów za podejrzane, osłaniające złą, autorytarną instytucję niepasującą do postmodernistycznego pięknoduchostwa.

Z kolei Stopklatka pokazała „Regulamin zabijania" wybitnego twórcy Williama Friedkina („Egzorcysta"). Tu z kolei niemłody wojskowy obrońca, płk Hodges (Tommy Lee Jones), walczy o uratowanie kolegi z Wietnamu, oficera, który broniąc budynku ambasady w Jemenie atakowanej przez demonstrantów, kazał otworzyć ogień. Ambitny prokurator (Guy Pierce) stara się dowieść, że zrobił to niepotrzebnie, wręcz dopuścił się zbrodni. Groźniejszymi przeciwnikami od oskarżyciela okazują się biurokraci z Departamentu Stanu. Aby zadowolić Arabów, zatajają kluczowe dowody: nagranie zdarzeń.

Zapewne aby wzbudzić większe współczucie do oskarżonego płk. Childersa, zrobiono z niego czarnoskórego (w tej roli znakomity Samuel L. Jackson). W „Ludziach honoru" złe było militarystyczne szaleństwo. W „Regulaminie zabijania" zły jest oportunizm tzw. gołębi, gotowych poświęcić swojego człowieka, bo był wierny do końca.

Pierwszą narrację można nazwać liberalną, drugą – konserwatywną. Która jest prawdziwa? Otóż w różnych sytuacjach obie mogą się okazać prawdziwe. Tyle że liberalna jest modna w świecie artystów. Ta patriotyczna, prowojskowa – dużo mniej.

Lecz fakt, że w popkulturze obie są wciąż obecne, budzi wątłą nadzieję na to, że debata się toczy. I że nie będziemy osądzali wszystkiego zgodnie z jednym schematem. Chociaż...

„Regulamin zabijania" nakręcono w 2002 r. Friedkin umarł przed rokiem. Czy dziś któryś z filmowców chciałby podążyć jego śladem?

Piotr Zaremba

Reklama | 15/0224/F

Prowadzimy w zielonej zmianie

7,0
GW MOCY

ŁĄCZNIE DO 2040 R.
Z FARM ZAINSTALOWANYCH
NA BAŁTYKU

1,7
GW MOCY

ZAINSTALOWANEJ
W LĄDOWYCH FARMACH
WIATROWYCH DO 2030 R.

3,0
GW MOCY

NA FARMACH PV
DO 2030 R.

3,7
GW

MAGAZYNÓW
ENERGII DO 2035 R.

PGE Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl 5f6f9c76fc

3 MIŁOŚCI

Błogosławione zburzenie Niniwy

ROBERT TEKIELI

Żądać sakramentów dla niewierzących to podlewać kamienie, chcieć, by lampa elektryczna świeciła bez prądu. Grzech przynosi śmierć, żądać błogosławieństwa dla katolickich par niezwiązanych sakramentem to oczekiwać, by śmierć dawała życie.

Bóg jest wszędzie, sakramenty są tylko w Kościele. Dla ochrzczonego rezygnacja z nich jest złym wyborem. Łaskę Bożą mamy za darmo, Jezus przyprowadza do siebie ludzi, którzy są daleko, w sposób zależny tylko od jego woli. Ale potem chce, żebyśmy czerpali siłę w miejscu, którego nie zniszczy nienawiść złego ducha, w Kościele.

Nie ma po co chodzić do spowiedzi, jeśli nie ma skruchy. Człowiek może zamknąć wszechmocnemu Bogu drogę do swej duszy. Skruszone serce, pragnienie poprawy, zadośćuczynienie. Jak spraw nie da się naprawić, to post w intencji skrzywdzonej osoby. Duchowe wsparcie.

Pomyślał głupi: co mi tam, zgrzeszę, a potem się wyspowiadam. Grzech niszczy nieodwołalnie. Jezus uzdrawia, jeśli chcę do niego wrócić. Ale pewne rzeczy straciłem na zawsze. Można przynieść plon stukrotny, sześćdziesięciokrotny i trzydziestokrotny. Bunt kaleczy człowieka, nie Boga. Możemy się przejrzeć w Jego przykazaniach. Ściga mnie sfora, którą sam spuściłem z łańcucha.

Na początku grzech może być pociągający. Liczy się jednak to, jak się on kończy. Liczy się jakość towaru, nie opakowanie. Nie chodzi o to, by odrzucić wszystkie przyjemności. Istnieją takie, które są przeznaczone dla mnie. Jednak nie zabierzemy na drugą stronę kart kredytowych, tam będzie się liczył każdy moment, kiedy komuś bezinteresownie pomogłem. Każdy, kto wierzy, może stać się błogosławieństwem dla drugiego człowieka w jego cierpieniu, zwątpieniu, zagubieniu. A do tego wierzącym jest niezbędny Kościół, by w nim nabierać sił i iść do ludzi.

W podręczniku do biologii widzę tablicę poglądową, na niej rysunki dwóch odmian ludzkiej miednicy plus opis różnic między nimi. Miednicy męskiej i miednicy żeńskiej. Nie ma 3. ani 5., ani 56. odmiany. Archeolog wykopuje jedynie albo męskie, albo kobiece kości. Czemu zatem marksistowski hegemon kulturowy tak mocno promuje łatwy do zweryfikowania fałsz? W przewrotnym celu.

Istnieją dwa typy sekt. W jednych ideologia jest niezbyt odległa od prawdy. Łatwo ją przyjąć, lecz adept jest słabo związany z sektą. W drugim typie destrukcyjnych sekt ich ideologia jest absurdalna, trudno ją zaakceptować. Proces intelektualnego zniewolenia jest dłuższy i bardziej skomplikowany. Do takich sekt – sekt w sensie ścisłym – trafia mniej ludzi, są jednak uzależnieni totalnie. Tak robią marksiści kulturowi. Mają dużo czasu i coraz większe możliwości. Od pół wieku działają na najszerszą możliwą skalę. Zmienili kulturę w ideologię, zdeprawowali naukę. Hegemonia informacyjna plus absurd. Mamy cię! Istnieje kilkadziesiąt płci, mężczyzna może rodzić...

Jeśli wbrew temu, co mówią podręczniki biologii, połowa Zachodu wierzy, że mężczyzna może urodzić dziecko, dysputa, argumenty mogą się okazać nieskuteczne. Dobro i piękno może przywrócić zniewolonym jedynie świadectwo prawego życia, bezinteresowne rozdawanie siebie. Warto o tym pamiętać w czasie Wielkiego Postu. Świadków Bożej miłości – tego potrzebuje człowiek sprowadzony do najprostszych instynktów, spauperyzowany i zastraszony. Wychowany przez panseksualną popkulturę, przyuczony do myśli, że nie będzie mógł jeść mięsa, zimą będzie mu się wyłączało prąd, nie będzie go stać na zakup samochodu, a podróże lotnicze będą nieosiągalne. Nie pójdzie na demonstrację przeciwko zielonemu ładowi i zmuszaniu dzieci do masturbacji w szkole, bo dzielnicowy zamrozi mu konto bankowe.

Niebieski kolor zastąpił brunatny. Poza tym dla Polski nic się nie zmieniło. Pomiędzy niebieskim a czerwonym nie ma miejsca na nasze państwo.

Czasem zburzenie Niniwy może być dla jej mieszkańców błogosławieństwem. Jezus cierpiał za grzechy Dawida na Górze Oliwnej. Za moje i twoje grzechy. Dzięki temu każdy ma nową szansę i nową nadzieję. Nad jeziorem Genezaret wszyscy zobaczyli potopioną trzodę świń, mało kto zauważył opętanego, który został uwolniony, siedział na brzegu ubrany i przy zdrowych zmysłach. Jezus nawet dla jednego człowieka przeszedłby na Golgocie przez te same potworne tortury. Z jego ran płynie siła sakramentów. To pozwala wstać z łóżka i walczyć. Jest czas strapienia, będzie czas pocieszenia. Trzeba uwierzyć w obietnicę Jezusa, by nie bać się świata. Korzystać z mocy sakramentów. Kiedy w sercu człowieka jest Bóg, nie ma w nim miejsca na lęk, który dusi i paraliżuje.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Warte San Francisco, XIX w. Właściwie Chinatown i okolice. Nie ma jeszcze linii kolejowej, jest dziki kapitalizm. ***„Wojownik"*** to dramat kryminalny i wysokiej jakości kino akcji. Nigdy nie widziałem w telewizyjnych produkcjach, by przez 30 odcinków kolejne sceny ulicznych walk wręcz były robione z takim szwungiem, trzymały tak wysoki poziom, a ich choreografia za każdym razem wnosiła coś nowego, nie pozwalając widzowi się nudzić. Do tego mamy w „Wojowniku" wielowątkową fabułę, sensownie odmierzaną porcję zwrotów akcji i momentami błyskotliwe dialogi. Od pierwszego odcinka, gdy główny bohater – gra go Andrew Koji – schodzi z pokładu statku, który przypłynął z Chin i zostaje sprzedany jednemu z miejscowych gangów, na szachownicy miasta konsekwentnie są rozstawiane kolejne figury, poznajemy jego dziki klimat, odkrywamy panujące tu układy i rozkład sojuszy.

Zaletą serialu jest galeria doskonale napisanych postaci, zaczynając od wspomnianego już młodego mistrza kung-fu, trochę aroganckiego, trochę postrzelonego, trochę tajemniczego i bardzo pogubionego. Swoją rolę świetnie poprowadził też Hoon Lee, grając żyjącego w zgodzie ze wszystkimi, błyskotliwego handlarza i pośrednika; tak samo ciekawie, choć przy użyciu zupełnie innych środków aktorskich i na granicy przeszarżowania wypada Jason Tobin, grający młodego i brutalnego syna przywódcy jednego z gangów. Wartością „Wojownika" jest także chemia pomiędzy Kieranem Bewem a Tomem Westonem-Jonesem. Ten policyjny duet, ogrywający zderzenie cynizmu i życiowego doświadczenia uzależnionego od hazardu i uwikłanego w śmiertelne zależności sierżanta z wydawałoby się szlachetną naiwnością młodego południowca, daje widzom dużo przyjemności. Wymieniając wyróżniających się aktorów, warto też wspomnieć o Joannie Vanderham w roli Penny, żony burmistrza, która niewypowiedzianą prośbą ojca zostaje zmuszona do prostytuowania się z własnym mężem zboczeńcem.

Postacie rozwijają się z sezonu na sezon, bohaterowie albo dają się skazić chorobliwej atmosferze miasta, albo zaczynają swoją prywatną wojnę o zachowanie godności. Jedna rozmowa młodej dziewczyny z dobrego domu wystarczy, by postać irlandzkiego osiłka (Dean Jagger), bezwzględnego lidera własnej społeczności, nabrała głębi, a ujawniona wrażliwość pozwoliła widzowi zrozumieć oszczędnie pojawiające się wcześniej sygnały jakiejś jego – może nawet – szlachetności. Bo w cynicznym świecie, w którym liczy się tylko przetrwanie, przemoc zdaje się cnotą, a jakiekolwiek pozytywne relacje grożą tym, że zostaną wykryte i wykorzystane, tak ważne stają się okruchy lojalności czy wdzięczności, których okazanie może kosztować życie.

„Wojownik" to kolejny amerykański serial mierzący się z problemem rasizmu. Tym razem wymierzonego w Chińczyków. Pomiędzy doskonale zaaranżowanymi scenami kopnięć i ciosów nożem przewijają się wątki z dzisiejszą gorącą tematyką. Główną osią wszystkich intryg serialu jest kryzys migracyjny oraz wynikające z niego strajki i krwawe starcia. Mamy też polityków, którzy wykorzystują realne problemy, wzbudzają nienawiść do obcych, podsycając i tak rozpalone emocje. Osadzony w areszcie Chińczyk nie widzi sensu w obronie na sali sądowej, gdyż wie, że wyrok został już wydany przez społeczność. Policjant oznajmia, że „nie płacą mu wystarczająco dużo, by myślał", a podsumowanie pracy władz samorządowych brzmi równie swojsko i współcześnie: „Za późno i za mało".

Oglądanie serialu można jednak ze spokojem zakończyć na dwóch sezonach. W trzecim wątki homopoprawnościowe stają się niesmaczne i zaczynają dominować, zgodnie ze strategią niektórych lewicowych platform streamingowych: zainteresuj widza normalnością przedstawionego świata, a gdy się przywiąże do serialu, dokonuj przekroczeń, miażdż wrażliwość, oswajaj ze złem. Obyczajowe transgresje oceniam na własny użytek na zasadzie: co mógłbym obejrzeć z 8-, co z 12-, a co z 17-letnim dzieckiem. Tych nie chciałbym oglądać wspólnie z nikim.

Trzeciego sezonu „Wojownika" nie ratują pojawiające się co jakiś czas naprawdę sensowne refleksje. Np. prawda, którą wygłasza jedna z bohaterek do młodego mistrza sztuk walki po jego przegranym pojedynku: „Kiedy umiejętności są równe, wygrywa lepiej zmotywowany, warto mieć cel w życiu, warto jest mieć o co walczyć...". Pełna zgoda. Sens nie jest w życiu przeszkodą.

Na koniec świetny monolog jednego z bohaterów serialu o żonach: „Te dobre się wściekają. Wiesz dlaczego? Bo wiedzą, że tacy jak my nie zasługują, by je kochać. I nie mogą sobie wybaczyć, że kochają nas. I za to płacimy. Bo sięgnęliśmy po to, co nam się nie należało".

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Dzieciuki, „Haradzenski Harmidar", Haradzienskaja Biblijateka 2014

Punk pod znakiem Kalinowskiego

Dziecinki! – w ten sposób w czasie powstania styczniowego Wincenty Kastuś Kalinowski zwracał się do białoruskiego chłopstwa z terenów Wielkiego Księstwa Litewskiego. Dekadę temu o jego istnieniu głośno przypomniały grodzieńskie Dzieciuki na płycie „Haradzienski harmidar". Zaczęła się wtedy zmieniać również sytuacja polityczno-wojskowa na obszarze Międzymorza. Ich utwory natychmiast stały się popularnymi hitami, a Kalinowski jest dziś patronem pułku walczącego na Ukrainie. Wszystko brzmi harmonijnie i uderzająco, a kapela często zbliża się do klasyków celtyckiego punku spod znaku Dropkick Murphys. Ajriszów i Białorusów łączą melodyjne dudy i akordeon, wmontowane w pracę hałaśliwej, punkrockowej maszynerii. Tych drugich wyróżnia naturalny, słowiański śpiewokrzyk i odwołania do antyrosyjsko-antykomunistycznych nastrojów.

Zespół często koncertował w Polsce, jego muzycy byli też ofiarami represji ze strony reżimu Łukaszenki. Nie ma tu antypolskich wycieczek (może te uszczypliwości w stronę panów i podpanków szlachty), jest poczucie wspólnego dziedzictwa Rzeczypospolitej. Gwoździem tego debiutu są „Chłopcy-Bałachowcy" o „dzielnie tnących szablami" odważnych zagończykach gen. Stanisława Bułaka-Bałachowicza, walczących na Słuczczyźnie po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej. Na tym skrzyżowaniu trotuarów historii jest też wiele cmentarzysk ludzi zabijanych „bez miłosierdzia i litości". Okraszone pulsacją „Smutne reagge" snuje opowieść o sowieckich zbrodniach w Kuropatach i niemieckiej pacyfikacji Chatynia, gdzie „płomienie nie paliły się od ognisk Kupały, to naszą wioskę zabrała ciotka śmierć". W bojowo-marszowych „Leśnych braciach" przypominają o własnych żołnierzach wyklętych. Tutaj duch świetnych Irlandczyków z Bostonu jest najwyraźniejszy. Gitary, rock'and'roll i dudy niosą prawdę powszechną – że „zamiast żyć jak niewolnik w kołchozie", lepiej wybrać się do lasu, być wolnym i zwyciężyć komunistów. Niosą też pocieszenie wszystkim współczesnym uciekinierom za chlebem („Pieśń dla haradzienskich gastarbeiterów"). Nie zarobimy tam wszystkich pieniędzy, a spokój ducha i szczęście znajdziemy tylko w rodzinnym domu. A już z pewnością w „Karczmie" – tam pokrzepimy ciało, duszę, słowem znajdziemy wszystko, co jest szczęściem mężczyzny. Punks Not Red!

Maciej Walaszczyk

Wykład klasyka realizmu

Tukidydes, najbardziej filozoficzny z greckich historyków, ciągle imponuje bezstronnością narracji i lakonicznym chłodem opisu. Dostajemy do rąk kolejne, znakomite pod względem edytorskim wydanie jego dzieła w powojennym tłumaczeniu Kazimierza Kumanieckiego. Pozostaje ono obowiązkową lekturą dla wszystkich chcących komentować, analizować i uprawiać politykę. Jak bowiem twierdzi Tukidydes, wielkimi politykami stają się ci, którzy potrafią trafnie przewidywać przyszłość na podstawie znajomości historii i niezmienności ludzkiej natury. Choć jego dzieło by nie powstało, gdyby on sam nie wpadłby w tarapaty. Nie zdążył bowiem z odsieczą do podbijanych przez Spartan ateńskich kolonii, co złamało jego karierę i spowodowało banicję. Własną winę przyjął jednak godnie, co po wiekach Herbert zestawił ze skamleniem „generałów ostatnich wojen", oskarżających o klęski „podwładnych, zawistnych kolegów i nieprzyjazne wiatry", ale nie siebie („Dlaczego klasycy").

To historia skomponowana w tonie beznamiętnym, poszukującym przyczyn, zderzaniu nawet sprzecznych ze sobą źródeł, lecz odartych z poetyckich wyolbrzymień. Tukidydesa interesują tylko motywy ludzkich decyzji, także te ukryte. Uważa, że w całych dziejach decydują żądza władzy, bogactw i osobistych ambicji. Targa nim też lęk przed wrogami, skłaniając do irracjonalnych reakcji. Nie jest również moralistą – pozostaje analitykiem ludzkich postaw, bo „wojna […] jest brutalnym nauczycielem". Analizuje również zjawiska ekonomiczne, unika wyjaśnień mitologicznych. Tukidydes jest jednym w pierwszych, którzy podjęli refleksję nad zależnościami między geografią, historią i polityką. Wojna peloponeska to konflikt aspirujących do hegemonii Aten i broniącej status quo Sparty, mocarstwa morskiego i lądowego, dwóch różnych form państwowych. Eskalację wywołuje bowiem wzrost potęgi Aten i lęk, który wzbudziło to u Spartan.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Tukidydes, „Wojna peloponeska", Czytelnik 2023

Tym, co jednak w kontekście wojny ukraińskiej porusza szczególnie, jest „Dialog melijski", prowadzony między składającymi „ofertę nie do odrzucenia" Atenami a chcącymi zachować neutralność prostodusznymi Melijczykami. Słabsi – jak dowodzą cynicznie Ateńczycy – mają do wyboru kapitulację albo szukanie pomocy u innej potęgi. Bo sprawiedliwości można oczekiwać tylko u równych sobie. Przekonują ich, że wiara w ocalenie złożona na gwarancjach innego państwa jest mrzonką. Nadzieja „tych, którzy mają dostateczne zasoby, nie przywodzi do zguby […] jednakże tym, którzy cały swój byt rzucają na szalę, odsłania swą nicość dopiero wtedy, gdy upadną".

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Ucieczka

Ucieczka nastolatka w poszukiwaniu pierwotnej anarchii życia szybko przeradza się w twardą konfrontację z rzeczywistością. Uciec od niej po prostu nie można

„Gry afrykańskie" to powieść Ernsta Jüngera, która stała się rzadką w jego przypadku ucieczką w przeszłość. Wielokrotnie potem poprawianą i przepracowywaną. A tak naprawdę kolejną – zdaniem prof. Wojciecha Kunickiego – próbą sfabularyzowania własnej, zakończonej fiaskiem młodzieńczych marzeń, ucieczki ze świata mieszczańskiego porządku do Afryki. W przestrzeń, będącą dla młodego chłopaka uosobieniem utęsknionego, utraconego pierwotnego stylu życia, przygody i niebezpieczeństwa. Herbert Berger, główny bohater tej opowieści, cierpi na nadwyżkę energii i szlakiem wyznaczonym w książkach przygodowych ucieka ze świata porządku oraz komfortu do świata nieładu, w szeregi francuskiej Legii Cudzoziemskiej. „W życiu konieczny jest pewien okres, w którym zastane porządki odbiera się jako skostniałe i zmurszałe, a własnych ojców i wychowawców jako naturalnych wrogów" – pisał Jünger w przedmowie do wydania z 1936 r. To o tyle ważne, że zarówno nastoletni autor, jak i jego książkowy bohater wracają w końcu do Europy z pomocą ojca, jego pieniędzy i koneksji. Ta ucieczka jest jednocześnie ostatnim aktem dzieciństwa, które w ten sposób dochodzi swojego kresu. A powieść, jest jej wspomnieniem, świadectwem nieco ironicznej refleksji.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Ernst Jünger „Gry afrykańskie", Evviva L'arte 2024

Z tego przedsięwzięcia odbiera jednak lekcję życia. Przykład legionisty po 15 latach służby pokazuje, że pieniądze zdobyte w grze i wojnie zazwyczaj nie trafiają na rachunek bankowy. W areszcie dowie się, że bezczynność dostarcza nam przyjemności jedynie wtedy, kiedy sami dysponujemy naszym czasem, a traci swój urok, gdy jest narzucona. W sytuacji opresji nie stosujemy prowadzących donikąd uników, bo tylko dobrowolne poddanie się dyscyplinie umacnia wewnętrznie „niczym lekarstwo". Siłę porządku społecznego poznaje się dopiero w momencie, gdy udaje się nam z niego wystąpić. Często w kręgach ludzi kryminalnego półświatka i społecznych nizin lub takich, jakich spotkał w Legii, uciekinierów od życiowych kłopotów. Jeden z nich robi mu wykład o doświadczeniach opiumowego rauszu, które Jünger rozwinie potem w „Przybliżeniach. Narkotykach i upojeniu". Ucieczka do Afryki, mająca przynieść poczucie wolności i poszerzenia świadomości, jest jednak iluzją pozornego oddalenia, kończy się rozczarowaniem, a w przypadku wielu powrotem do beznadziei. „Na tym odcinku nie wykonuje się już ruchów walczącego, ale idącego na dno" – zauważa. Ostatecznie dojrzalszy już o 20 lat Jünger odnajduje świat prawdziwych niebezpieczeństw w przestrzeni nowoczesnego społeczeństwa.

Dla książkowego Bergera i bliskich mu duchowo elit intelektualnych prawdziwą enklawą wolności, przestrzenią nieznającą żadnych ograniczeń wymiany myśli, praktykowanej tam przez grupę wolnomyślicieli, jest uczestnictwo w zajęciach obozowej szkoły. Dowiaduje się tam o istnieniu rozległego „tajnego zakonu", z którym, jak komentuje, stykał się potem w jego wojskowym, politycznym i artystycznym kamuflażu, który przywdziewał przez lata. Powieść jest więc dokumentem przemiany awanturnika-fantasty, a także narodowo-radykalnego publicysty, w uważnego obserwatora. Narodzin Jüngera pisarza i stylisty. Gdy ją pisze, ucieka przed policją polityczną narodowo-socjalistycznego państwa i jego cenzurą („jego walka nie jest już naszą walką" – oświadczy urzędnik ministra Rosenberga) do Goslaru. Ukryje się tam za maską dandysa, eksploratora bezdroży, społecznego i politycznego banity, przekonanego, że nawet w warunkach totalitarnego państwa „wolność wciąż jest możliwa". Określi w ten sposób styl bycia, zawierający wzorce pozwalające na zachowanie godności oraz niezbędnego minimum osobistej wolności.

Zerwać się ze smyczy smartfona, wyprowadzić z niewoli aplikacji, sieciowych społeczności, chaosu dezinformacji, perswazji wszechobecnej reklamy i państwowego, technokratycznego monstrum, którego symbolem jest „mętne oko" fabrycznego czy osiedlowego monitoringu. Czy jest jeszcze dokąd? „Żyje pan w świecie, z którego nie ma ucieczki" – klaruje Bergerowi dr Goupil, lekarz z komisji werbunkowej. Bo z kręgu znanego nam świata niepodobna zniknąć bez śladu.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Gdzie się schowały żurawie

To tajemnicze stworzenie od tysięcy lat intrygowało ludzi – pisał o nim Homer, jego zwyczaje chciał zgłębić Arystoteles, a Megastenes na podstawie fragmentarycznych przesłanek próbował wydedukować, co się z nimi dzieje, kiedy znikają

Fot. Shutterstock

„Z takim klangorem podniebnym lecą odlotne żurawie,
Co uciekając przed zimą i od nawałnic śnieżystych,
Z krzykiem ogromnym wędrują nad bystry prąd Okeanu,
Zły los i krwawą zagładę ludowi niosąc Pigmejów [...]”
(przeł. K. Jeżewska)

Migracje zwierząt od tysięcy lat były przedmiotem obserwacji ludzi, po części z racji zależności, np. łowców od stad wędrujących trawożerców, a po części z racji fascynacji – dokąd, do jakich krain (wymiarów?) udaje się zwierzę, kiedy podąża coraz dalej i dalej, aż za horyzont, albo kiedy po prostu pewnego dnia znika, by następnej wiosny równie zagadkowo powrócić? Gdzie było, jak tego dokonało, jakich wydarzeń było świadkiem, jakie dziwy, odległe królestwa, nieznane ludy widziało?

Do dziś nie potrafimy wyjaśnić wielu aspektów wędrówek zwierząt. Istotnie, mają w sobie coś wyjątkowego, pozbawionego przyziemności. Spójrzmy w lecie na ciemne sylwetki jerzyków, śmigających po niebie. Zaledwie lipiec przejdzie w sierpień, pewnego dnia znikną. Nie będą musiały znosić zimna i głodu ani długich nocy; za cenę wielkiego wysiłku i stawienia czoła niebezpieczeństwom wyruszą na spotkanie przygody za morze, za pustynię, docierając do gorących, tropikalnych rejonów świata.

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Żurawie, ciągnące z klangorem wielkimi kluczami po niebie, pobudzały wyobraźnię i rodziły pytania, na które dawano odpowiedzi – niektóre zbliżone do prawdy, inne zupełnie fantastyczne, choć oparte na interpretacji szczątkowych informacji, które udawało się pozyskać podczas obserwacji.

GDZIEŚ W ZIEMIACH PIGMEJÓW

Powyższy cytat pochodzi z „Iliady”. Pojawiają się w nim i żurawie, unikające zimy oraz śnieżnych nawałnic, i wielki, niezbadany ocean, za którym leżą nieznane ziemie, i lud osobliwych Pigmejów, do których krainy miały odlatywać. Jedni, jak Megastenes, zimowiska żurawi umiejscawiali w Indiach. Arystoteles zaś pisał: „Te bowiem ptaki emigrują z równin Scytii do bagnistych krajów Egiptu Górnego, w którym wypływa Nil; mówią, że tam żurawie atakują Pigmejów. Istnienie tych ostatnich nie jest bynajmniej bajką, istnieje rzeczywiście, jak mówią, rasa ludzi małego wzrostu i konie małe; prowadzą życie w jaskiniach”.

W niektórych opisach zamiast koni małej rasy Pigmeje mieli dosiadać owiec i kóz. Według opisów starożytnych autorów uzbrojeni w łuki i strzały najeżdżali kolonie lęgowe żurawi, tocząc z nimi walki i plądrując gniazda w poszukiwaniu jaj, którymi się żywili, zachowując przy tym umiar, żeby całkiem nie wytępić tych ptaków. Żurawie nie pozostawały im dłużne i wojny, jak pisał Homer, były krwawe, wcale niekoniecznie zwycięskie dla ludzi.

Skąd te przypuszczenia, ile w nich prawdy, a ile romantycznej fantazji zapełniającej świat cudami, zrodzonymi w wyobraźni?

Megastenes mógł istotnie widzieć żurawie, przedstawicieli tego samego co w Europie (w tym w Polsce) gatunku szarego (*Grus grus*), przylatującego na zimę do Indii z Syberii. W III w. p.n.e. przebywał bowiem na dworze indyjskiego króla Ćandragupty, pierwszego, który panował nad całymi Indiami, jako ambasador Seleukosa I Nikatora, jednego z wodzów Aleksandra Wielkiego, który po jego śmierci zawładnął częścią macedońskiego imperium. Megastenes mógł też widzieć lud niewielkich wzrostem Weddów, pędzących w lasach życie nieróżniące się od tego, jakim żyli ludzie dziesiątki tysięcy lat temu.

Arystoteles z kolei obserwował żurawie lecące z Europy przez Azję

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Mniejszą do Afryki – do Egiptu i dalej na południe (część zimowisk żurawi, których lokalizację można było wówczas ekstrapolować jedynie w bardzo przybliżony sposób, istotnie znajduje się w rejonie źródeł Nilu, które wiele wieków po Arystotelesie pozostawały nieznane – zadziwiająca intuicja).

Podobnie jak zdarza się obecnie, wśród powracających trafiały się ptaki, które po takiej wędrówce docierały z ranami, niekiedy po strzałach lub nawet ze strzałami tkwiącymi w ciele. Stąd przypuszczenia o walkach z Pigmejami – nie do końca zresztą przecież mijające się z prawdą, bo strzały i rany nie biorą się znikąd.

Oczywiście takie wojny nie mogły toczyć się o gniazda i jaja, ponieważ żurawie nie gnieżdżą się w gorących krajach. 2000 i więcej lat temu nikt jednak tego nie wiedział, bo kto z wielkich badaczy z regionu śródziemnomorskiego zapędziłby się do Skandynawii czy na ziemie będące dziś naszą ojczyzną?

ŻURAW POLSKI

Choć jak można przypuszczać, największa część światowej populacji żurawi szarych gnieździ się w Rosji, a następnie w Skandynawii, to licząca się, coraz większa liczba żurawi zakłada gniazda w Polsce – spośród ok. 500 tys. osobników żyjących na świecie w naszym kraju gniazduje corocznie ponad 20 tys. par, a więc ok. 10 proc. światowej populacji. Jeszcze większe zgrupowania docierają do Polski podczas jesiennych i wiosennych przelotów, kiedy w samym tylko Parku Narodowym „Ujście Warty" gromadzi się kilkadziesiąt tysięcy tych ptaków.

Nasz kraj w pełni zasługuje więc na miano ojczyzny żurawi, słusznie też to właśnie sylwetka tego pięknego ptaka reprezentuje polskie linie lotnicze LOT.

Żurawie, choć ich klangor daje się słyszeć z daleka, a w czasie migracji, jeżeli znajdziemy się na trasie ich wędrówek, bez trudu można je zobaczyć, w czasie lęgów są zadziwiająco ostrożne. Ulubiony biotop lęgowy żurawi to podmokłe lasy, np. bagienne olsy, które zwłaszcza wczesną wiosną są zalane wodą, spod której ponad powierzchnię wystają jedynie jak wyspy kępy turzyc; olsze, przyzwyczajone, a nawet wymagające okresowego zalewania, wyrastają wówczas wprost z topieli.

W takich właśnie niedostępnych, odludnych miejscach żurawie budują gniazda, mające postać kopców uformowanych z bagiennych roślin, do których znoszą dwa duże, maskująco ubarwione jaja. W czasie wysiadywania i opieki nad młodymi zachowują szczególną ostrożność, mimo swoich rozmiarów potrafią zachowywać się i przemieszczać przez podmokłe ostępy w sposób niedostrzegalny oraz bezszelestny.

Czy wraz z rosnącą liczebnością żurawie zmienią swoje obyczaje i zaczną się gnieździć blisko ludzi? W ornitologii znane są przypadki, kiedy ptak, przełamując lęk przed człowiekiem, zasiedla miasta i nagle, skokowo, staje się liczny – takim przykładem są chociażby sójki, które z rzadko widywanego w lasach gatunku przeistoczyły się w stały element krajobrazu miast. Proces ten zachodzi jednak tylko u części gatunków. Inne, jak głuszce czy cietrzewie, pozostają ostrożne i zachowują dystans. Póki co również u żurawi nie widać takich tendencji, więc najwłaściwszym sposobem ich ochrony jest zachowanie podmokłych lasów i utrzymanie ich w formie niedostępnej, zapobiegając wkraczaniu do nich ludzi czy rozjeżdżaniu ich.

„Mgła opadła, brzegi zarysowały się wyraźnie. Nad głowami płynących ulatywały miliony ptactwa wodnego, pelikanów, dzikich gęsi, żurawi, kaczek i czajek, kulonów i rybitew; w oczeretach przybrzeżnych słychać było taki gwar, takie kotłowanie się wody i szum skrzydeł, że rzekłbyś, iż odbywają się tam sejmy lub wojny ptasie".

Ponieważ nadszedł właśnie okres, kiedy ptaki, w tym żurawie, wracają do Polski, każdemu życzę właśnie takich obserwacji i przygód.

eprasa.pl 5f6f9c76fc

CHRISTOPHER NOLAN | REŻYSER

Nieprzerwana pętla wyobraźni

Kim jest najczęściej dziś nagradzany reżyser? Jakie trasy i labirynty doprowadziły go do filmu „Oppenheimer". Dokąd zmierza ten „piekielnie inteligentny Anglik, odnoszący największe kasowe sukcesy w Hollywood od czasów Hitchcocka"? Jak tworzy swoje projekty? Co go inspiruje? Na te i inne pytania stara się odpowiedzieć Tom Shone w obszernej książce „Christopher Nolan. Reżyser wyobraźni" (Wydawnictwo Znak Koncept).

Zacznijmy od sprecyzowania. Z urodzenia Nolan jest londyńczykiem (rocznik 1970), ale dzieciństwo spędził też na przedmieściach Chicago, od czasu do czasu odwiedzając babcię w Ohio (to tam w 1977 r. obejrzał „Gwiezdne wojny" – film, który zaważył na jego przyszłości). Do szkoły z internatem uczęszczał w Wielkiej Brytanii, na Wyspach także studiował.

„Jestem produktem dwóch kultur" – mówi. „Kiedy byłem dzieckiem, usłyszałem, że gdy skończę 18 lat, będę musiał zdecydować, czy chcę brytyjskie, czy amerykańskie obywatelstwo (ojciec Nolana jest Anglikiem, matka Amerykanką). Na szczęście do tego czasu prawo się zmieniło, więc mogłem uzyskać oba".

Miał siedem lat, kiedy ojciec kupił mu kamerę 8 mm. Dziś w jego filmografii znajdziemy m.in. trylogię o Batmanie (2005–2012) oraz filmy: „Incepcja" (2010), „Interstellar" (2014), „Dunkierka" (2017) i najnowsze dzieło – „Oppenheimer".

Od brytyjskich lat szkolnych inspirują go dzieła M. C. Eschera, holenderskiego rytownika, którego „niekończące się krajobrazy zdawały się przywoływać świat nieograniczony, a jednocześnie klaustrofobiczny". Swój filmowy proces tworzenia opisuje jako połączenie intuicji i geometrii. Pociągają go labirynty i tzw. niemożliwe konstrukcje.

„Zawsze interesowały mnie iluzje optyczne [...] ponieważ w pewien sposób kreślą narrację, stają się fascynującą łamigłówką" – mówi. „Dobrym przykładem będą tu schody Penrose'a, które skonstruowaliśmy do »Incepcji« (cztery razy zakręcają o 90 stopni, prowadząc w górę lub w dół, a mimo to tworzą nieprzerwaną pętlę)".

W wykreowanym w nowym tysiącleciu świecie Batmana znalazło się miejsce na młodzieńcze inspiracje. „Kiedy miałem 16 czy 17 lat i wracałem do domu na święta, jechałem pociągiem do Chicago, wjeżdżałem na 110. piętro Sears Tower i robiłem zdjęcia" – wspomina. „Architektura i atmosfera miasta są oszałamiające. Bardzo interesował mnie ten aspekt amerykańskiego doświadczenia miejskiego". W innym miejscu zdradza: „Kiedy pisałem »Batmana: Początek«, spędziłem trochę czasu w San Francisco i Londynie [...]. Znaczna część »Mrocznego rycerza« powstała w Hongkongu".

Jeśli chodzi o plenery, które mogłyby udawać Himalaje, Nolan postawił na Svínafellsjökull na Islandii, „surowy, niepokojąco piękny krajobraz lodowcowy przerywany niebieskimi szczelinami". To właśnie tam Bruce Wayne walczy z Ducardem. Lodowce pojawiają się także w „Bezsenności" i „Incepcji".

„Uwielbiam lodowce – deklaruje reżyser. – Pamiętam, jak uczyłem się o nich na geografii, ale dopóki jakiegoś nie zobaczysz albo nad nim nie przelecisz, a przeleciałem nad jednym na Alasce, gdy kręciliśmy »Bezsenność«, nie pojmiesz, jakie są niezwykłe".

Blisko dwie dekady przed premierą „Dunkierki", podczas całorocznej produkcji pierwszego filmu „Śledząc" (1998), wraz z Emmą Thomas (producentką i wtedy od roku żoną) wynajęli niewielką łódź, by przepłynąć kanał La Manche. Dziś komentuje: „Uczyniliśmy to o tej samej porze roku, aby poczuć, jak to było, i okazało się, że jest to niezwykle niebezpieczne doświadczenie, nawet bez spadających bomb".

Nieustanne przemieszczanie się od początku jest wpisane w życie Nolana. „Latanie było stałym elementem dorastania" wspomina. „Matka przez wiele lat pracowała jako stewardesa w United Airlines, więc dostawałem darmowe bilety i latałem bez rezerwacji – wsiadałem do samolotu i udawałem się, dokąd tylko chciałem".

Ojciec również podróżował służbowo. Sporo czasu spędził w Afryce i Azji Południowo-Wschodniej. Jego trzej synowie – Matthew, Chris i Jonathan – bawili się w zgadywanie, w jakim państwie świata przebywa.

Dziś Christopher Nolan deklaruje: „Od kilku lat moim domem jest Los Angeles, bo dzieci [jest ich czworo] chodzą tam do szkoły, ale dość dużo pracuję w Anglii [...]. I wciąż lubię jeździć do różnych krajów. Lubię to orzeźwienie [...] przechodzenie z jednej kultury do drugiej. To mnie pobudza".

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Featureflash Photo Agency/Shutterstock.com, materiały prasowe

eprasa.pl 5f6f9c76fc

SŁODKO-SŁONY

Własne wędliny

ANNA MONICKA

Rzadko kupuję wędliny, a wielkich producentów staram się unikać. Nie znaczy to jednak, że mam tyle odwagi, by zaopatrywać się na targowiskach. Napatrzyłam się na brudne skrzynki i plastikowe worki, w których duszą się kiełbasy. Fakt, nie słyszałam o zatruciach, ale brak chłodziarki dyskwalifikuje sprzedawcę. Zwłaszcza wtedy, gdy robi się ciepło. Mam swojego zaufanego producenta, który dwa razy w tygodniu otwiera sklepik i wyprzedaje szynki oraz schaby (czasem jeszcze ciepłe, bo uwędzone i upieczone kilka godzin wcześniej) na pniu. Na większość rzeczy trzeba się u niego zapisać, bo coraz więcej sąsiadów woli wędliny domowe niż sklepowe.

Ale po informacjach o śmiertelnym zatruciu galaretą kupioną w okolicach targowiska w Nowej Dębie poszłam do naszego sklepiku porozmawiać o tym, czy właściciel aby na pewno ma zezwolenie sanepidu. Był bardzo przejęty, zwłaszcza że tego dnia nie ja pierwsza wzięłam go na spytki. „Podejrzewam, że kontrolerzy zaczną nas teraz czochrać we wszystkie strony – powiedział ze smutkiem. – Przygotowałem już dokumenty. Na wszelki wypadek, gdyby przyszli dzisiaj. Ci handlarze narobili szkód nam wszystkim".

Trudno się z tym nie zgodzić. Przed świętami na pewno wezmę sprawy w swoje ręce – kupię schab i polędwiczki, jedno i drugie można śmiało piec we własnym piekarniku i podawać z chrzanem czy ćwikłą nie tylko od wielkiego dzwonu.

Tajemnicę soczystego schabu zdradził mi kiedyś mąż koleżanki, który jest kucharzem. Gdy kilka lat temu zrobiłam go po raz pierwszy, a był to Wielki Piątek, wraz z teściową zjedliśmy prawie kilogram i musiałam nocą jechać do sklepu, żeby kupić kolejny kawał mięsa, bo nie wystarczyłoby dla gości. Natarty oliwą z czosnkiem, majerankiem i solą zawija się bardzo szczelnie w folię aluminiową matową stroną do góry i piecze w 170–180 st. – zazwyczaj godzinę na kilogram, ale będzie lepszy, gdy skrócimy czas o 10 min, a potem pozwolimy mięsu dojść w sreberku, żeby było bardziej soczyste. Oczywiście kroimy po wystudzeniu, by nie wypłynęły soki. Jeszcze łatwiej zrobić polędwiczkę wieprzową – posoloną i nasmarowaną zmielonym kminkiem i czosnkiem (lub musztardą) obsmażamy ze wszystkich stron i dopiekamy w żaroodpornym zamkniętym naczyniu przez kilkanaście minut, oprószoną płatkami masła lub polaną oliwą. Wystudzone i pokrojone w cienkie plasterki smakują wybornie.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Migdałowe latte

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Coffea to afrykańska roślina z rodziny marzanowatych. Po polsku ten krzew nazywa się kawowcem lub kawą. Kwitnie i owocuje prawie przez cały rok. Obecnie jest uprawiany we wszystkich międzyzwrotnikowych zakątkach globu. W mięsistym owocu znajdują się dwie pestki, zawierające kofeinę w stężeniu ok. 1,5 proc. – alkaloid, w którym zakochał się świat. Napar z wyprażonych nasion kawy pierwsi pili Etiopczycy. A jak to było w Polsce?

Obecnie o symbolice „sojowego latte" można by się rozpisywać – ogólnie o tych, którzy piją taki napój, mówi się mało pochlebnie. Że to niemęskie, że obciachowe. Bardzo błędnie. Migdałowe latte piło się w Polsce już 200 lat temu. I nie było to oznaką obciachu, lecz... Wielkiego Postu. W staropolskiej kuchni znano tyle samo rodzajów napojów kawowych, ile obecnie serwuje się w najlepszych kawiarniach. Pomińmy dobrze znaną historię Kulczyckiego, Polaka, który po bitwie pod Wiedniem w uznaniu zasług mógł wybrać, co chciał z obozu wroga. Wziął 300 worków nasion kawy i założył w Wiedniu pierwszą w Europie kawiarnię.

Przyjrzyjmy się natomiast encyklopedii Glogera. Wymienia w niej typy kawowych naparów, obecnych w menu XVIII- i XIX-wiecznych dworów. Rano pito więc kawę ze śmietanką, w czasie postu wspomnianą kawę z dodatkiem mleka migdałowego lub „ukropku, czyli po prostu wrzątku" (americano?). Po obiedzie serwowano czarną, a na podwieczorek znów ze śmietanką, lecz tym razem podawano ją w filiżankach. O kawie przyrządzanej w „pomniejszych dworach" Gloger pisze tak: „Musiała być tęga i z grubym kożuchem, a taką zwano kawą polską". Czy wróci zwyczaj picia mocnej kawy z kożuchem?

Zanim nastały złote czasy kawy, napój ten długo wydawał się podejrzany: „Gdy z nastaniem czasów saskich jeden z dworzan Augusta II założył pierwszą kawiarnię za żelazną bramą królewskiego, czyli saskiego ogrodu, to przez długi czas uczęszczała do niej sama tylko niemiecka służba dworu. Dopiero w 1763 r. otworzono drugą kawiarnię w Warszawie". Wtedy zaczęła się kawowa moda.

Wielkopańskie zwyczaje picia różnych rodzajów kawy wytępił komunizm. Co więcej, system ten postawił na wyroby kawopodobne, które Gloger także wymienia w „Encyklopedii staropolskiej": „Niekiedy dla oszczędności robiono kawę z pszenicy palonej, żyta, cykoryi, żołędzi albo mieszano je z prawdziwą".

eprasa.pl 5f6f9c76fc

Michał Korsun prezentuje:
Chorobowa śledcza Eliza Michalik

Wycinki z przeszłości

W naszym kąciku tym razem wyjątkowo propozycja czytelnika. Ilustrację z pisma „Dzień Dobry" z 1 stycznia 1939 r. nadesłał do nas Michał Sławiński wraz z celnym komentarzem: „Znamienne jest to, że Pan Wróżbita wywróżył, że «wojny nie będzie«. To ci wróżba, chciałoby się powiedzieć".

Co nam niesie rok 1939?

Wojny nie będzie

Przed Polską nowe drogi rozwoju i znaczenia

To prawda – tyle warte wszelkie takie wróżby i gusła. Na usprawiedliwienie Saida Foady, bo tak się nazywa cytowany w artykule wróżbita, dodajmy, iż zauważył on także: „Rok 1939 pozostaje pod wpływem planety Mars. Mars jest bogiem wojny". Nie spełniło się za to oczekiwanie, że „pomyślne aspekty innych planet osłabią jego ekspansywność i żywiołowość".

W sumie niewiele to wszystko warte.

(mk)

Leszek Długosz

Wiatry marcowe wieją

Jak śpiewała koleżanka E.D.: „Wiatry wieją, sosny krzywe, nieprzydatne, lecz prawdziwe...". Taka pora. Szanowni Państwo, obawiając się, że może ponieść i tę rubrykę, chciałbym państwu podziękować za ponad 11-letnią obecność tutaj. Mam też nadzieję, że jak to bywa w życiu, nie wiadomo jeszcze jak powieje.

Wasz Leszek Długosz

WYJECHAŁEM I MNIE NIE MA

I na Rynku i na Brackiej
– To się może przedłużyć?
– Może nawet na zawsze?
Wyjechałem i mnie nie ma

Ani głos mój się odzywa
Tu wprost brzmiący
Nic nie spieszno moim krokom
Na Gołębiej i na Brackiej
Cień się zabrał razem ze mną
Nie ma nas tu przykładnie
– Mała próba generalna
Większej tu nieobecności
Kiedyś do cna?

Wyjechałem, nie zalegam
Nie zagrażam, nie zabiegam
– Ale gdyby tak ciekawość?
– Ktoś zatęsknił gdyby?
(Bez przesady, lecz przez chwilę
To się może zdarzyć?)
Ach zakręćcie kółkiem płyty
Tak jak dawniej – w kółko
Się odezwę
– Pobiegnijcie śladem wiersza
Może co tam zaszeleści?
Ze mnie
Po mnie
– Dno szuflady komuś prześle
esemesik?

Wyjechałem i mnie nie ma
Ot na razie próbka
Po sąsiedzku z humorem
traktowana
Przeróbka Kantorowskiej tej
sztuczki
„Nigdy tu już nie powrócę"
Wyjechałem – małą wprawką
Prawdziwego zniknięcia
Ale kiedyś dokładnie
Już tu więcej nie zajrzę?
W świat nie ruszę gdzieś dalej
Na Sławkowską na Sienną
nie skoczę
Cień w „Prowincji" mój
za szybą
Nie pochyli się naprawdę...
Kiedyś... ktoś zapyta
To jest – kiedy, co to znaczy?
A ja powiem – Szanowni
Państwo
– Zgodnie z duchem czasu
Kiedyś?... To jest dziś,
istniejące inaczej.

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Autopromocja

eprasa.pl 5f6f9c76fc

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz

WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Bal marionetek

„Sok z Buraka", „Pablo Morales" i Tomasz Lis (ten ostatni bez cudzysłowu). Co łączy te trzy fenomeny obecnej kultury masowej? Aktywność w mediach społecznościowych – to na pewno. Do wpływu tych mediów na naszą psychikę przejdziemy później, teraz przyjrzyjmy się innym podobieństwom.

Nie potrzeba wyrafinowanych narzędzi oceny, by dostrzec, że „Sok", „Pablo" i pana Lisa na platformie X (d. Twitter) łączą wspólne cechy przekazu: agresja, chamstwo, posługiwanie się fake newsami, uleganie niskim instynktom oraz prymitywna proplatformerska plemienność. To nie były jednorazowe erupcje złych emocji, ale ich regularne propagowanie. Dla wielu osób jest to widoczne.

Ostatnio, dzięki materiałowi Wirtualnej Polski, dowiedzieliśmy się, że politolog Bartosz Kopania, który zapewnił sobie miejsce w historii dzięki hejterskim praktykom Pabla Moralesa, latami był finansowany ze środków Platformy Obywatelskiej. To oczywiście przypomniało nam rolę ważnych osób w PO w sponsorowaniu wulgarnego „Soku z Buraka".

Czołowe postacie Platformy nie tylko obserwowały te paskudne konta, lecz także je wspomagały. To powinno być, ale nie jest, ważne dla wszystkich wyborców. Na przykładzie Tomasza Lisa widać, że odruchy środowiskowego potępienia wątpliwych zachowań nie okazały się na tyle zdecydowane, by trochę jednak ucywilizować tego autora wielu prostackich wpisów na platformie X (d. Twitter).

PRZESTROGA

Przypominamy to wszystko nie po to, by namówić czytelników do załamywania rąk czy potępiania polityków PO za ich obłudę. Jesteśmy przeciw nadmiernemu skupianiu uwagi na trio „Sok", „Pablo", Lis czy na politykach, którym dla sukcesu wyborczego były potrzebne (może nawet niezbędne) marionetki hejtu. Skupiając bowiem uwagę na tych nielicznych dobrze widocznych, tracimy z pola widzenia licznych znacznie słabiej widocznych.

Nie próbujmy ścigać się z „tamtą" stroną na agresję, tandetę i obrażanie – oni mają w tym większe doświadczenie

Mamy na myśli wyborców Donalda Tuska, te tysiące naszych rodaków, którzy lajkowali i rozprzestrzeniali hejterskie wpisy, którzy, wierząc w fake newsy, dzielili się z nimi na lewo i prawo.

WYBORCY NASI I TAMCI

Z badań socjologicznych zrealizowanych przez naukowców sympatyzujących z ekipą rządzącą dziś Polską wyraźnie wynikają dwie ważne rzeczy. Po pierwsze, zwolennicy PiS regularnie oglądający TVP Info często włączali także Polsat i TVN, natomiast zwolennicy Platformy zwykle nie czuli potrzeby poszerzania swojego obrazu świata, poznając przekaz TVP. Po drugie, badania pokazały, że na skali nienawiści zwolennicy PO byli znacznie wyżej od zwolenników PiS. Czy ma to związek z rodzajem oglądanej telewizji, ze stosunkiem do wiary katolickiej, czy wynikało z czegoś innego – to pozostawiamy na uboczu. *O przyczyny* różnych postaw różnych elektoratów można się spierać, ale *same odrębności* tych postaw nie ulegają wątpliwości.

Nasuwa to wniosek, iż światli (bo korzystający z szerszej gamy informacji) i bardziej kulturalni (mniej nienawistni) wyborcy przegrali z bardziej prymitywnymi – choć statystycznie wyżej wykształconymi. Żeby to trochę uogólnić: lepsza część Polski przegrała z tą gorszą – ośmiogwiazdkową.

Ktoś spyta: czy po stronie konserwatywnej nie ma ludzi szpetnych? Jasne, że są. Ale statystyka tu nie kłamie. Psychika wyborców dobrej zmiany jest wyraźnie mniej zapaskudzona niż tych, którym obecna władza zawdzięcza zwycięstwo wyborcze. Nieraz to już w historii bywało: gorsza moneta wyparła lepszą.

PRZESTROGA!

Nie próbujmy ścigać się z „tamtą" stroną na agresję, tandetę i obrażanie – oni mają w tym większe doświadczenie. Chodzi o to, byśmy zrozumieli, dlaczego tak łatwo udało się wyhodować liczny i nienawistny elektorat.

DWIE PODPOWIEDZI

Pierwsza rzecz to nieszczęsne media społecznościowe, które nie tylko umożliwiły szerzenie paskudztw, co wręcz je lansowały. Lansowały – bowiem to algorytmy Big Techu promowały wpisy płytkie, agresywne, tandetne.

Druga rzecz to nasze „dobrozmianowe" błędy. Przecież spora część hejtu bazowała na grzechach, na które sami należycie nie reagowaliśmy. Niestety, do fazy wniosków z powyższego jeszcze nie dotarliśmy.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 5f6f9c76fc

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

Konkursy Technologiczne Gazety Bankowej

TechnoBiznes 2024

Konkurs HIT ROKU 2024

Dla kogo:
skierowany do firm tworzących oprogramowania, aplikacje i sytemy bezpieczeństwa (w tym tzw. insurtechy i fintechy)

Cel konkursu:
wyłonienie oraz promowanie rozwiązań, produktów i usług z obszaru nowoczesnych i innowacyjnych technologii

Konkurs LIDER 2023

Dla kogo:
skierowany do wszystkich, którzy wdrożyli u siebie rozwiązania technologiczne poprawiające bezpieczeństwo i funkcjonowanie firmy

Cel konkursu:
wyłonienie oraz promowanie firm i instytucji, które wdrożyły rozwiązania w obszarze nowoczesnych i innowacyjnych technologii

Kategorie konkursów

- Gospodarka 4.0
- Ubezpieczenia i inne usługi finansowe
- Bankowość

Zgłoszenia przyjmujemy do **2 kwietnia 2024 r.**
Więcej informacji na: **www.gb.pl/konkursy**

eprasa.pl 5f6f9c76fc

NOWA TELEWIZJA W POLSCE PL

OGLĄDAJ NAS

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI 196

NETIA
NA POZYCJI 192

orange
NA POZYCJI 32

vectra
NA POZYCJI 825

PLAY
dawniej UPC
NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 5f6f9c76fc